

Poznaj Świat

6
2011

Cena 9,95 zł (w tym 8% VAT)

UKAZUJE SIĘ OD 1948 ROKU

Albiński, Mazurek, Rosiak
W numerze:

Rodzina Z WIRUNGA

str. 18

str. 28

Monika Witkowska
GRENLANDIA

str. 52

Grzegorz Kapla
BELGRAD

str. 76

Krzysztof Szwedzik
MALEDIWY

RWANDA

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9177003216141001 06



EGIPT SZWECJA TUNEZJA CHINY WENEZUELA USA

www.poznaj-swiat.pl

NEVER STOP

THE
NORTH
FACE

EMILY HARRINGTON, SHOT BY JIMMY CHIN
ON LIMESTONE IN GEYIKBAYIRI, TURKEY

SEE THE FULL STORY ON [THENORTHFACE.COM](https://thenorthface.com)

EXPLORING

THE NORTH FACE® TRAILHEAD APP

Available on the
App Store



Grenlandia str. 30



Egipt str. 44



Rwanda str. 18



Tunezja str. 86



Wenezuela str. 100

Nasz świat **FotoForum Czytelników** str. 5

Soweto – my love str. 10

Jako pierwsi publikujemy najnowsze opowiadanie
Wojciecha Albińskiego

Cisza w Teremiskach **felieton Dariusza Rosiaka** str. 16

RODZINA Z WIRUNGA str. 18

Góry Wirunga w Rwandzie są jednym z ostatnich miejsc na Ziemi, gdzie żyją górskie goryle. **Tekst Alicja Kafarska**

Mazurek na wynos **felieton Roberta Mazurka** str. 28

DISKO POD BIEGUNEM str. 30

Grenlandzkie Dysko – tutejsze atrakcje to góry lodowe, spotkania z Inuitami i słońce świecące o północy. **Tekst Monika Witkowska**

Navigator str. 40

PLAC TAHRIR str. 44

Plac jest tradycyjnym miejscem demonstracji. Tutaj zaczęła się kairska rewolucja. **Tekst Jacek Herbich**

BLISKI BELGRAD str. 52

To jedno z najstarszych miast świata. Ponoć historia wyrzuciła je na drugi, gorszy brzeg. Czy tak jest? **Tekst Grzegorz Kapla**

Trzy panie wśród Samojedów **felieton Ryszarda Badowskiego** str. 60

Geoskop str. 62

GDY BAŁTYK JEST NA POŁUDNIU str. 66

Blekinge – region w południowo-wschodniej Szwecji – wydaje się być stworzony dla potrzeb turystyki. **Tekst Dominika Szy-narowska**

CHMURY NAD TYM RAJEM str. 74

Malediwy są maleńkie, zagubione w bezkresie Oceanu Indyjskiego. Mało kto potrafi znaleźć je na mapie. **Tekst Krzysztof Szwedzik**

Muzy Ataturka **felieton Agnieszki Bartusiak** str. 84

MIASTO KARAWANA str. 86

Choć to niedaleko od Tunisu, do Kairouan pełnego bezcennych zabytków przyjeżdżają nieliczni turyści. **Tekst Krystyna i Aleksander Rabij**

JEDNĄ STOPĄ W SERCU AZJI str. 92

Sinciang zajmuje jedną piątą terytorium Państwa Środka. Także dla wielu Chińczyków to obszar odległy i nieznany. **Tekst Marta Zdzieborska**

Poznaj Świat w delegacji str. 98

ELDORADO POD CHAVEZEM str. 100

Poznanie Wenezueli zwykle rozpoczyna się od Caracas – 6 milionowej metropolii. Potem, obowiązkowo, podnóże Andów, rzeczne rozlewiska i Angelo Fall – najwyższy wodospad świata.

Tekst Roman Rojek

WZLOT I KLĘSKA SALTON SEA str. 108

Pośrodku kalifornijskiej pustyni, powstało jezioro. Przez kilkadziesiąt lat jego okolice były żyłą złota dla przedsiębiorczych. Dziś jest to miejsce wymarłe. **Tekst Magdalena Czarnecka**

Jak nas widzą **Spotkanie z przewodnikiem** str. 113

Outdoor str. 116

Polska, której nie ma str. 120



NA OKŁADCE:
Goryle górskie.



MALEDIWY

CHMURY NAD TYM RAJEM

str. 74

POŻEGNANIE Z AFRYKĄ

Lato blisko. Gdy piszę te słowa, przez otwarte okno redakcji sący się prawdziwie letni już żar. Może nie są to jeszcze afrykańskie upały – ten jednak, kto ruszy z nami w kolejną podróż przez świat – już na widok okładki poczuje w czym rzecz. Czarny Ląd!

Ten kontynent szczególnie fascynuje globtroterów i zwykłych turystów. Na hasło: Afryka – rozpalają się ognie w oczach młodych ludzi, a i starszym z zakątków duszy wypływają dawno spłowiałe już, a niespełnione tęsknoty.

Bo tam jest inaczej. To wszak Afryka przetrwała do dziś w stanie najbardziej zbliżonym do pierwotnego, wciąż jeszcze konserwując swój koloryt – mimo całego bagażu naleciałości tak zwanej cywilizacji białego człowieka.

To jednak już niedługo. Zbliży się dzień, gdy globalizacja zwycięży ostatecznie. Nim to nastąpi – ciągną tam więc tłumy. Afryka już rozplywa się w do bólu zunifikowanym świecie, który sami tam w naszych portfelach przynosimy.

Janusz Czerwiński

REDAKTOR NACZELNY



Dariusz Małkowski

WARMIA

Bocianie wioski

Z tak bliska bocianie rodziny najłatwiej zaobserwować na terenie tzw. bocianich wiosek – miejsc, gdzie bociania populacja wielokrotnie przewyższa ludzką. W Polsce takie miejscowości są co najmniej dwie – pod Tykocinem nad Narwią oraz w Żywkowie, małej wiosce leżącej pół kilometra od granicy polsko-rosyjskiej, gdzie w dziewięciu gospodarstwach mieszka 25 osób, zaś co roku do Żywkowa przylatuje około 80 bocianów, a odlatuje dwa razy tyle.



Przyślij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg. W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.





Piotr Kowal

GRECJA

Wzniesione na skale

Klasztorne centrum wschodniego kościoła ortodoksyjnego w Grecji położone jest w paśmie Meteorów. Tysiące skał układa się tu w tajemniczą całość. Odosobnienie, panująca cisza, wznoszące się na szczytach klasztor, tworzą dla pielgrzymów podniosłą atmosferę.

Paweł Chara

NAMIBIA

Piekielne Wybrzeże

Tak nazwali to miejsce portugalscy żeglarze. Nic dziwnego, Wybrzeże Szkieletów jest usiane wręgami rozbitych okrętów, które zabłądziły w gęstej mgłę. Na rozległych piaszczystych plażach Namibii rokrocznie żeruje około 150 tys fok oraz lwów morskich. To doskonały fotograficzny plan, by jednak nie odurzyć się ilością morskich stworów, weźmy głęboki oddech i zrobmy coś, co nie do końca przypominać będzie klasyczny kadr – po prostu zabawmy się tematem pamiętając o możliwościach własnego aparatu, a nie programów komputerowych!



Przyślij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg. W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.





Szanowni Państwo, po raz kolejny serdecznie zapraszam do zapoznania się z Kalendarzem imprez regionalnych promujących żywność naturalną, tradycyjną, lokalną i regionalną województwa warmińsko-mazurskiego. W 2011 roku odbędzie się 20 wydarzeń, podczas których przybliżymy Państwu kulinarną mapę regionu. Ten jedyny w swoim rodzaju cykl przedsięwzięć, niezwykle ważnych dla całej branży rolników i przetwórców żywności, stanowi wspaniałą okazję do zaprezentowania dziedzictwa kulinarnego regionu warmińsko-mazurskiego. Jest to miejsce spotkań znawców oraz miłośników kuchni regionalnej i tradycyjnej. W tym roku mieliśmy okazję spotkać się już w Olsztynie podczas Regionalnego Jarmarku Wielkanocnego oraz Regionalnych VIII Ekologicznych Targów Chłopskich, a także w Morągu w trakcie Regionalnego Święta Agrokuchni. Tradycyjna kuchnia regionalna ma same zalety, a tylko jedną wadę – ciągle jest zbyt mało znana. Stąd nasze działania, propagujące tradycyjny sposób pozyskiwania surowców i przygotowywania potraw, w myśl zasady „od pola do stołu”. Zaczynamy od miejscowych surowców rolnych, które trafiają do przetwórci. Produktem końcowym jest regionalna potrawa, serwowana przez lokalną gastronomię. Funkcjonowanie producentów i przetwórców żywności w Sieci Dziedzictwo Kulinarne Warmia Mazury Powiśle przekłada się z kolei bezpośrednio na kształtowanie regionalnego rynku pracy. Serdecznie zapraszam do przyjazdu i uczestnictwa we wszystkich wydarzeniach. Będzie to wspaniała okazja do skosztowania niepowtarzalnej kuchni Warmii, Mazur i Powiśla.

Z poważaniem

Jacek Protas, Marszałek Województwa Warmińsko-Mazurskiego



KALENDARZ IMPREZ promujących produkt regionalny Warmii i Mazur

REGIONALNY FESTIWAL KULTURY ŁOWIECKIEJ

WĘGORZEWO • 2 LIPCA 2011

Konkursy:

- „Na najlepszą potrawę z mięsa dzikiego”
- „Na najlepszą domową potrawę z mięsa dzikiego”
- „Na najlepszą nalewkę myśliwską”
- konkurs publiczności „Na najlepszy gulasz z dzikiego”



REGIONALNY FESTIWAL POTRAW Z MIĘSA DROBIOWEGO

NIDZICA • 9 LIPCA 2011

Konkursy:

- „Na najlepszą zupę na mięsie drobiowym”
- konkurs publiczności „Na najlepszy gulasz drobiowy”
- „Na najlepszą potrawę z drobiu”



REGIONALNY FESTIWAL POTRAW Z MIĘSA WIEPRZOWEGO, WOŁOWEGO, JAGNIECEGO, KOZIEGO

MRAŁOWO • 23 LIPCA 2011

Konkursy:

- „Na najlepszą potrawę z wołowiny”
- konkurs publiczności „Na najlepszy gulasz wołowy”
- pokaz grillowania koźliny



REGIONALNE ŚWIĘTO MAZURSKIEGO KARTOFLAKA

SZCZYTNO • 6 SIERPNIA 2011

Konkursy:

- „Na najlepszą zupę ziemniaczaną”
- „Na najlepsze danie główne z ziemniaków”
- konkurs publiczności „Na najlepszego Kartoflaka”



REGIONALNY FESTIWAL POGRANICZA KARTACZEWO 2011

GOŁDAP • 7 SIERPNIA 2011

Konkursy:

- „Mistrz Kartaczy”
- konkurs publiczności – „Mistrz kartaczy – kartacze domowe”
- „Na najlepszą potrawę z jelenia hodowlanego”



REGIONALNA WARMIŃSKA UCZTA PIEROGOWA

BISKUPIEC I BIESOWO • 13 SIERPNIA 2011

Konkursy:

- „Na najlepszego domowego pieroga” – dla sołectw
- konkurs publiczności „Na najlepszego pieroga warmińskiego”



REGIONALNE ŚWIĘTO MLEKA

OLECKO • 14 SIERPNIA 2011

Konkursy:

- „Na najlepszą zupę mleczną”
- konkurs publiczności „Na najlepszy sernik”



REGIONALNE ŚWIĘTO RYBY

ŁĘK • 21 SIERPNIA 2011

Konkursy:

- „Na najlepszą potrawę rybną – danie główne”
- konkurs gotowania zupy rybnej „Warmińsko-Mazurski Kociołek Rybny” – dla samorządowców



NASZE KULINARNE DZIEDZICTWO – SMAKI REGIONÓW

LIDZBARK WARMIŃSKI • 27 SIERPNIA 2011

Konkursy:

- „Na najlepszą potrawę regionalną”
- „Na najlepszy regionalny produkt żywnościowy”



FESTIWAL – DZIEDZICTWO KULINARNE WARMII, MAZUR I POWIŚLA

OLSZTYN • 3-4 WRZEŚNIA 2011

- prezentacje regionalnych potraw
- kiermasz tradycyjnych produktów żywnościowych



REGIONALNE ŚWIĘTO CHLEBA

ELBLĄG • 3-4 WRZEŚNIA 2011



REGIONALNY FESTIWAL RUNA LEŚNEGO

PISZ • 10 WRZEŚNIA 2011

Konkursy:

- „Na najlepsze danie główne na bazie runa leśnego”
- „Na najlepszą zupę grzybową”
- „Na najlepszą nalewkę leśną”
- konkurs publiczności „Na najlepszą zupę grzybową”



REGIONALNE ŚWIĘTO MIODU

ŁĘK • 24 WRZEŚNIA 2011

Konkursy:

- „Na najlepszy miód rzepakowy, lipowy, gryczany, wielokwiatowy”
- „Na najlepszą miodówkę”



REGIONALNY DZIEŃ PLACKÓW ZIEMNIACZANYCH

OSTRÓDA • 8 PAŹDZIERNIKA 2011

Konkursy:

- „Na najlepsze placki ziemniaczane”
- konkurs publiczności „Na najlepsze placki ziemniaczane”



Zenon Płachta

INDIE

Będzie curry

Różowe i pomarańczowe kobierce na dachach – to okoliczni mieszkańcy domostw w starym Delhi, położonych niedaleko bazaru, suszą dojrzewające zioła i papryczki chili.



Janusz Kafarski

MALAWI

Herbaciane pola

Rejon Mulanje to centrum upraw herbaty w Malawi, państwie leżącym na obszarze Wielkich Rowów Afrykańskich. U podnóża góry Mulanje Mountain (3001 m n.p.m.) kilometrami ścielą się herbaciane plantacje.

Przyślij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg. W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.





SOWETO - MY LOVE

– *Co robi Martin?*

– *Zakochał się w pięknej Zulusce.*

Dwaj przyjaciele, obaj znacznie po pięćdziiesiątce, spotkali się na lunchu w Klubie Przemysłowców. Oba cechowało umiarkowanie w ruchach i nabyta stateczność. Klub, wyłożony dywanami i boazerią, o tej porze trochę się ożywił. Zjawili się także kilku akcjonariuszy Towarzystwa Kopalnianego, jedni w towarzystwie pretensjonalnych żon, inni ponuro ciągnęli whisky wpatrzni w holenderskie malowidło na ścianie. Gdy zbliżył się kelner, Roger i Simon zamówili różowe befsztyki, smażone ziemniaki w plasterkach i umiarkowane ilości czerwonego wina.

Do restauracji weszło trzech dyrektorów z podległej korporacji. Widząc akcjonariuszy, rzucili się, aby uściśnąć im dłonie. Właściciele odpowiadali skinieniami głowy, w duchu powtarzając sobie, że jeśli trzeba będzie, wyrzucą tamtych na zbity pysk. Co do jednego, Smita odpowiedzialnego za Dział Zbytu, już istniały podejrzenia, że próbuje coś sobie zachować na boku. Nic w tym zdrożnego, ale czy zna miarę? Czy nie zepsuje reputacji firmy? Najprościej byłoby wrzucić go do kopalnianego szybu i ten szyb zamurować, z drugiej strony warto tę sprawę rozpatrzyć. A jeśli te wciąż napływające doniesienia, to wyrafinowana intryga pozostałych dwóch?

Roger wskazał na rozsypanych po sali bywalców. Mało co wystawali zza wysokich oparc. Tu i tam jaśniała łysina albo wysoko podniesiona gazeta.

– *Myszę, że od ćmienia cygar i przesiadywania w skórzanym fotelu stanę się angielskimi lordami* – rzucił. – *Spójrz, Le Bryun czyta „The Times”! Dotychczas rozumiał tylko notowania na giełdzie.*

Szef kelnerów oznajmił, że podano befsztyki. Przenieśli się do sąsiedniej sali. Upieczone mięso było soczyste, ale nie ociekające krwią. Do tego chrupki talarki cebuli i rzucony liść sałaty. Obok tale-

rzy leżały ostre noże o drewnianych trzonkach w kształcie pasterskich kozików. Bez wysiłku wchodziły w różowe mięso i odsłaniały strukturę jego włókien.

– *Pytales, dlaczego Martin nie poszedł na ekonomię – zagadnął Roger. – Ciesz się, że masz tylko córki. On nie chce prowadzić ksiąg. Twierdzi, że to by zawęziło jego umysł, chce patrzeć na świat z lotu ptaka. Nie lubi podliczać słupków, potrącać procentów, odprowadzać podatków... Jest to ciężka praca, cięższa od wbijania gwoździ. Twierdzi, że ma do niej ludzi: „przysięgłych księgowych”.*

– *Zbyt dużo widziałem katastrof... Zdawanie się na innych, niepilnowanie swego, kończy się nieuchronnie utratą dobytku.*

– *Tłumaczyłem to chłopakowi... Nie chce słuchać. Mówi, że zanim to się stanie, przełożymy zagrożone zakłady ich prawowitym właścicielom.*

– *Komu?*

– *Twierdzi, że czarni zdążą ze swoją rewolucją. Chciałby przekazać je ludowi.*

Gdyby ktoś obserwował obu mężczyzn z łatwością dostrzegłby istniejące między nimi różnice. Simon w garniturze, którego klapy, zwinięte w trąbki przypominały wołowe zrazy. Skarpetki jedwabnym połyskiem rozświetlały salę. Na jego tle matowe tweedy Rogera schodziły w cień. A jednak coś ich łączyło... Złośliwy obserwator zaprzeczyłby, że takie sentymenty istnieją, ale była to stara przyjaźń. Obaj wyposażeni w zmysł przygód, oszlifowany oksfordzką edukacją, mieli dar rozszyfrowywania prób nieczystej gry albo dwuznacznych zamiarów z czyjejkolwiek strony. Byli skazani na wzajemną lojalność.



Martin skręcił w szeroką Potch Road, która prowadziła do Soweto. Po obu stronach wyschnięte trawy strawił pełzający ogień. Czarne ślady zaczynały się przy asfalcie i ciągnęły daleko w pola. Wśród popiołów błyszczały placki po piwie i porzucone butelki.

W odległości pół mili pojawiły się rzędy ceglanych domów. Dwa okna, metalowe drzwi. Lekko opadający eternitowy dach z wystającym pośrodku kominem. Progi i podłogi wyblaszczone czerwoną pastą.

O piątą drogą była zatka, posuwali się bardzo wolno. Przed nim dymił autobus opatrzony napisem: „School Bus”. Czarne uczennice wracały do domów po lekcjach w prywatnych szkołach. Mogła to być St. Mary, Rodean albo Kingsmead w Rosebanku. Rząd dopuszczał do białych szkół ograniczoną liczbę uczniów należących do „innych rasowych grup”. Z nudów dziewczynki robiły miny do samotnie jadącego chłopaka.

O tej porze, w każdym domu kobiety rozniecały ogień w kaflowych kuchniach. Na metalowej płycie z fajerkami stał czajnik i kilka aluminiowych garnków. W izbach pachniało sosem mięsnym albo pap z kukurydzanej mąki.

Nad dachami unosił się dym węglowy i kurz podnoszony przez samochody. Czarna chmura wisiała nad całą okolicą. Zwykle wiatr pędził ją w stronę Johannesburga, rzadniała nad Południowymi Dzielnicami albo wędrowała na wschód, aby połączyć się z tymi znad Tembisy i Sharpville.

Autobus z uczennicami skręcił w boczną drogę. Martin znalazł się na skrzyżowaniu, gdzie zwykle stała policja. Specjalne zatoki pozwalały na zatrzymanie samochodu i zadanie kilku pytań kierowcy. Jeśli jechali czarni, sprawne ucho policjanta rozpoznawało, czy są to Zuli czy Xhoza. Gdy zatrzymany twierdził, że mieszka tu od dziecka, powinien znać Soweto slang. Z tytułu urodzenia lub długiego okresu zamieszkania mógł nabrać praw „miejskiego czarnego”. Taka osoba, byle tylko miała ze sobą dokumenty, mogła spokojnie kontynuować podróż, poruszać się swobodnie po całym Transwalu.

Biały jadący do Soweto stanowił dla policji niemal problem. Co go tu sprowadza? Nie można wykluczyć, że działalność wywrotowa. Podejrzane odczyty, szkolenia pod pokrywką działalności kulturalnej. Szykuje się do podburzania czarnych? Czy im dostarcza broń? Być może, przynaglony chęcią odwiedzenia kochanki, chce do niej dotrzeć przed zapadnięciem nocy. Później może być trudno znaleźć właściwy domek, wszystkie są do siebie podobne. Świąteł ulicznych tu nie było. Niemasensuich tu zakładać, wiadomo, że wytłukają żarówkę i podłączą kuchenki do gotowania. Tylko na wysokich, metalowych masztach, wyglądających jak obserwacyjne wieże wisiały pęki lamp. Girlandy świateł oświetlały dachy, ulice i przejścia pomiędzy domami.

Biały sierżant policji powitał Martina z uprzejmością należną białemu. Poprosił o wyjście z samochodu. Zaproponował, by Martin wyjął z prawej kieszeni kancasty przedmiot, który ją rozpierał.

– *Klucze – stwierdził. – W porządku.*

Potem prosił Martina o otwarcie bagażnika.

– *Chcę sprawdzić, czy nie wieziecie zabronionej literatury. To rutyna.*

– *Niczego nie wiozę – odparł Martin.*

– *Materiały wybuchowe? Zapalniki nitroglicerynowe? Własnej roboty bomby z ulotkami?*

– *Też nie.*

Sierżant spróbował z innej beczki. Jego oczy wyrażały chęć pomocy, biały chłopak jest zagubiony. Łatwo popełnić błąd, gdy dokładnie nie zna się prawa. Przyjął rolę rodzica. Mówił z naciskiem, jak się mówi do nierozgarniętych.



– *Jedziecie, aby dopuścić się aktu niemoralności z przedstawicielką innej grupy rasowej? Taki akt jest karany dwunastoma miesiącami.*

Martin wyraził zdziwienie.

– *Jaką przedstawicielką, jakiej grupy?*

– *Nie udawajcie głupiego! Innej niż biała!*

Wrócił do poprzedniego, rzeczowego tonu.

– *Spiskowanie w celu popełnienia aktu niemoralności także jest karalne.*

– *Spiskowanie?* – zdziwił się Martin.

– *Nie jesteście dzieckiem, nie muszę wam tłumaczyć. Na przykład ona goła, a wy w stanie silnego podniecenia seksualnego. Taka sytuacja kosztuje sześć miesięcy. Czasem, jeśli jest to uzasadnione, sąd zawiesza wykonanie kary. Wasza przyjaciółka, tak czy inaczej, dostanie podwójny wyrok.*

– *Dlaczego podwójny?*

– *Zawsze aplikujemy podwójną karę, ażeby lepiej zapamiętali. A teraz zjedźcie na bok, bo tamujecie ruch.*

Martin zjechał na pobocze, które wrzynało się w pole. Patrzył na linię domów, ogródki zaczynały się pół mili stąd. Z okien, przez zasłony, prześwitywały żółte światła, z kominów wydobywał się dym. Najpierw siwy z palenia patyków i połupanych szczap, a potem czarny węglowy. Była pora przyrządzania posiłków. Dym pomieszany z pyłem, podnoszonym przez koła samochodów, układał się w chmurę, która budowała się nad dachami. Wieczór był spokojny, chmura przesuwiała się leniwie w stronę szosy. Martin poczuł w ustach węglowy pył, obłoki kurzu docierały już do skrzyżowania.

Florence Matumbe, koleżanka ze studiów, mieszkała w domku o numerze 1548, przy Alice Street. Zawsze roześmiana, miała figurę, której zazdrościły jej białe koleżanki. Dzisiaj mieli być sami, zupełnie sami. Myśl, że na skutek spotkania z nim narażona byłaby na wrzucenie do policyjnego wozu, potem długie czekanie w sądowych korytarzach i szorowanie więziennej celi, wydała się Martinowi nieznosna.

Wrócił sierżant.

– *Teraz mogą spokojnie wami się zająć* – oświadczył.

– *No więc, zdecydowaliście się? Późno jest, a was ciągnie do czarnej kochanki. Jak ona się nazywa? Gdzie na was czeka? Numer domu?*

Sierżant wyjął notatnik i zamierzał sporządzić meldunek.

– *Zdecydowałem się. Wracam do Johannesburga. Nie będę tam się pchał* – Martin wskazał na domki ginące za zasłoną kurzu. – *Zresztą i tak nie znalazłbym drogi.*

– *Wyglądacie na rozsądnego człowieka* – zgodził się sierżant. – *Z czasem nabierzecie rozumu.*

Czuł się jak spowiednik, który uratował błądzącą duszę. Martin wybrał Soweto Highway. Tak nazywała się droga prowadząca wprost do centrum miasta. Mijał ciągnący

zprzeciwnejstronyrządczarnychtaksówek,półcieżarówek i samochodów osobowych. Ciasno zbite wozy wlokły się w ślimaczym tempie. Raz po raz zirytowany kierowca wyrwał się z szeregu i gwał z włączonymi światłami. Natykał się na wozy, jadące z przeciwnika, wszyscy błyskali światłami. Samobójca szukał luki, w którą mógłby się schować. Ludzie ustępowali niechętnie, nie chcieli mieć ryzykanta przed sobą. Zdarzało się, że to Martin, wytrzymawszy do ostatniej chwili, zjeżdżał raptownie na pobocze, przepuszczał taksówkę pełną pasażerów i walizek ułożonych na dachu.

Dostał się na rampę prowadzącą na autostradę w kierunku Sandton. Inny świat, prawidłowo ustawione światła nie oślepiały jadących z przeciwnika. Spojrzał w dół na ulice City, były puste. Za kwadrans będą wyglądały jak po ataku broni bakteriologicznej. Psy rozwlekły worki ze śmieciami i odganiały miauczące koty. Na skrzyżowaniu wtoczył się porzucony wózek z deskami. Jakaś kobieta uciekała przed natrętnym kochankiem. Położył go celnie wymierzony strzał. Na chwilę zatrzymała się, a potem zniknęła za kolumną mostu.



Upper Houghton było ciche i spokojne. Niskie mury i schody prowadzące na ganki zbudowane były z naturalnego, żółtego kamienia. Piętrowe wille przypominały obrotowe zamki i tylko parapety ze starej cegły przypominały o angielskich upodobaniach mieszkańców.

Martin jechał aleją porośniętą wysokimi drzewami jacarandy. Gałęzie spotykały się nad ulicą, fioletowe kwiaty opadały na jezdnię i układały się niczym śniegowa pokrywa. Gniecione oponami wydawały gniewne prychnięcia, a na jezdni zostawał ślad samochodu.

Ogrody w tej dzielnicy starano się zostawić dzikie i zarosnięte. Ciemne kąty przypominały ich pierwotny stan. Należało uważać na węże, śpiące wśród kamieni i nie kaleczyć się o osty.

Po światłach w oknach poznał, że ojciec był już w domu, matka jak zwykle wracała wcześniej. W ostatnich latach przyjmowali mniej zaproszeń na kolacje do nowych znajomych, twierdzili, że nie starcza im sił. Natomiast nigdy nie opuszczali premier w „Market Theatre”. Była to scena, którą firma ojca praktycznie utrzymywała przy życiu.

Młodzi dramaturdzy, Martin ich podziwiał, wyrażali swój protest poprzez walkę z językiem. Tworzyli nowe słowa, które nie nabrały jeszcze znaczeń, przeciwstawiali się zastanej składni i deptali ją z upodobaniem. Po zakończonym spektaklu widzowie mieli uczucie, że dotknęli czegoś wielkiego, przy tym usilnie pracowali, aby sens tego odkrycia im nie umknął.

Rodzice często wychodzili na przyjęcia do starych przyjaciół, a tych mieli w mieście bardzo wielu. Niektóre były interesujące, w większości wypadków oboje cierpieli, cały wieczór grzecznie się uśmiechając. Powodem mogło być wadliwe podanie potraw, złe ich przygotowanie, odrażający wygląd któregoś z biesiadników albo wisząca nad stołem i oplatająca lichtarze nuda.

Zdumiewające, nieodmiennie dziwili się, że w momentach historycznych zwrotów zawsze znajduje się tak wielu polityków. Nie wiedząc, że rozwój wypadków jest już przesądzony, wygłaszali swoje racje z troską w głosie i wielką powagą. Ci dobrze życzący krajowi eksperci proponowali cudaczne rozwiązania. Zastanawiali się nad podziałem kraju na osiem małych republik albo na murzyńskie królestwo i białą republikę. Pragnęli oddzielić Prowincję Cape Town od reszty gnijącego kontynentu i tak uratować produkcję najlepszych win. Zastanawiali się, jak przepchnąć takie projekty przez parlament, a jeśli to się nie uda, dokonać zmian w porozumieniu z armią. Za tak ryzykowne przedsięwzięcia brali na siebie całą odpowiedzialność.

Roger uśmiechał się zaskoczony trafnością tych pomysłów. Jednocześnie deklarował swoją niemoc wobec przebiegu wypadków. Gdyby wypowiedział głośno co się stanie, sto procent murzynów i wszyscy biali jednym głosem zakrzyknęliby: „Zdrada!”. Po tym wybuchu jedności narodowej odbyłaby się spektakularna rzeź.



Martin wszedł na ganek i spojrzał na ogród po drugiej stronie ulicy. Nowy właściciel wytrzebił każdy krzak, wyrównał nierówności. Sprowadził tony ziemi ogrodowej, zasadził kwiaty o wrzaskliwych kolorach. Gdyby to był czarny, sąsiedzi chętnie by mu wybaczyli. W pobliżu murzyńskich chat wyrывa się każda trawka, zostawiając nagie klepisko. To zabezpiecza przed pełzającą gadziną, która może ukłuć lub kąsać.

Ojciec Martina zapraszał grupy przyjaciół, aby nacieszyć ich oczy złym gustem sąsiada. Ze szklankami w dłoni ironizowali wzniosłe, do czego może doprowadzić nagle wzbogacenie.

– Kwiatki posadzili, czy widzicie?

– W równych grządkach.

– Kochają wrzaskliwe kolory. Różowy, niebieski... A może to ich kolory narodowe? Ciekawe, skąd przybyli?

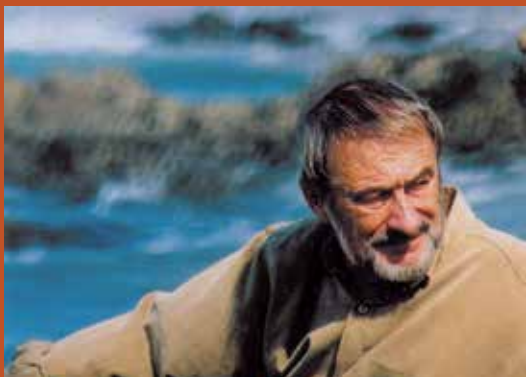
– I drzewa... Cienkie i bezlistne. Pozwalają im rosnąć do wysokości dwóch metrów, a potem ścinają!

– Dziwny obyczaj.

– Niezrozumiały.

Martin analizował swój stosunek do rodziców. Próbował wiele im wybaczyć, coraz bardziej go jednak razili. Sposób wymawiania pewnych słów przez ojca i akcent, który się zmieniał w zależności od rozmówcy... Lordowskie napuszenie na zebraniach w klubie i prosta serdeczność ze szklanką piwa na wizytach u techników kopalnianych. Przed każdą rozmową z górnikami ćwiczył sanago. Tu przekleństwo, tam narzekanie, lekki zgryw kierownika zmiany. Czarni mają specjalny zmysł do wyczuwania nienaturalności. Jeżeli biały zaczyna wkoło nich tańczyć, zagadywać o zdrowie i pomyślność rodziny, zadają pytania. Czy on się nas boi? Czy to my wzrosliśmy w siłę, czy on osłabł? Na wszelki wypadek postanawiają pracować mniej. Lecz nie było to łatwe do osiągnięcia. Kolejność czynności, system pracy stworzony przez Holendrów, Niemców i Anglików nie był łatwy do wykolejenia.

O Autorze...



Wojciech Albiński (urodzony w 1935 roku w Warszawie) od najmłodszych lat pasjonował się literaturą. Podczas studiów geodezyjnych na Politechnice Warszawskiej był jednym z założycieli pisma „Współczesność” – wraz ze Stanisławem Grochowiakiem, Ireneuszem Iredyńskim, Romanem Śliwonikiem – na jego łamach publikował swoje wiersze i opowiadania. Należał też do Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich. W 1963 roku wyjechał za granicę, mieszkał w Paryżu, a później w Genewie, współpracował z paryską „Kulturą”. W roku 1969 wyjechał do Afryki, przez wiele lat pracował jako geodeta w Botswanie i RPA.

W 2003 roku opublikował w Polsce tom opowiadań „Kalahari”, który otrzymał nagrodę im. Józefa Mackiewicza i został nominowany do nagrody Nike. Od tego czasu Albiński wydał: „Królestwo potrzebuje kątą” (2004), „Antylopa szuka myśliwego” (2006), „Lidia z Kamerunu” (2007) i „Achtung! Banditen!” (2009).

Starych górników dziwiła ta niecierpliwość młodych. Potraktowani uprzejmie natychmiast spodziewali się podwyżki. Nie rozumieli, że tak jak żrebaka kopie się po zadzie, żeby szybciej rósł albo z przyjemnością wodzi się dłonią po łbie leżącego psa, tak doświadczony właściciel utrzymuje kontakt z załogą.

Rozmowy ojca z synem przy każdej okazji schodziły na jeden temat. Kiedy ojciec przekaże Martinowi tytuł własności i prawa zarządzania kopalniami. Wydawało się to normalną kolejną rzeczą, ojciec powinien odpocząć, syn poda mu ramię. Padały zachęty takie, jak zasłużony relaks, nowi ludzie u steru, syn podaje ramię nadwątłemu przewodnikowi stada i przeprowadza go przez kładkę. Ostatnia rozmowa miała miejsce przy śniadaniu. – *Jaką kładkę?* – z drugiego końca stołu zapytała matka. – *Czy myślisz o wyprawieniu nas na Borneo? Tam są kładki nad strumieniami... Chcesz, żebyśmy się bujali na linach?* – *Dom byłby wasz. To ja wyprowadziłbym się...* – zapewniał Martin. – *Zamieszkałbym w Orange Free State. Wśród górników, blisko kopalni.*

– *Zostawiam was... powiedzcie kucharce, że płatki owsiane były dziś przypalone.*

Roger pocałował żonę w policzek, odszedł od stołu. Wedle starego porzekadła, już samo słuchanie podobnej dyskusji może być niebezpieczne. Człowiek bez szkody może wysłuchać pewnej liczby głupstw. Po jej przekroczeniu zaczynają w niego wsiąkać.



Sprawy pochodzenia rodzinnego majątku i jego rozgospodarowania zajmowały im coraz więcej czasu. Według Martina pagórki, wśród których została odkryta żyła złota, należały do pasterskiego plemienia Kumba, będącego blisko spokrewnionego z Xhoso. W końcu nie były to czasy prehistoryczne, ale działo się to zaledwie sto lat temu. Przy odrobinie dobrej woli, można by ustalić, gdzie ich teraz można odnaleźć i co się z nimi dzieje. Roger odpowiadał, że to nie ziemia, ale kapitał wtopiony w budowę kopalni jest istotny, a jeżeli już znajdzie się na powierzchni grudkę złota, można w tym miejscu wybudować kolejne szyby albo uklepać ją na ozdobę do ucha.

Martin nie ustępował. Tłumaczył ojcu, że Kumba na pewno przyjąłby większość akcji i sami pokierowali kopalnią. Postawiłoby to przed plemieniem wyzwanie, któremu z pewnością by podołali.

– *Ten człowiek nawet tak nie myśli!* – irytował się Roger, wskazując na syna. – *Opowiada te głupstwa, żeby mnie zabić.*

Rozmowa często zbacziała na opowieść, jak pradziad

i założyciel dynastii siedł sobie ze strzelbą po veldzie, który o tej porze był spieczony, kamienisty i ranił stopy, przy pasku miał przytroczony młoteczek i torbę. Z zamiłowania był geologiem, tu i tam odłupywał fragment skały albo w żwirowisku znajdował barwny otoczek.

Zastanowiła go metrowej szerokości linia w nierównych odstępach wychodząca ze zbocza wzgórza. Nie błyskała złotym piaskiem, ale stanowiła szarą, regularną masę. Tam, gdzie ta warstwa chowała się w ziemi, wyluskał z niej kilka większych kawałków. Nie ulegało wątpliwości... Była to żyła złota. Pan Bóg wynagrodził jego trudy! Pradziad ukląkł i złożył ręce do nieba.

Inna wieść głosi, że pradziad starannie zamaskował odsłonięte miejsce i zaznaczył je, aby następnego dnia móc łatwo je odnaleźć. Całą noc przygotowywał dwa bardzo szczególne ładunki do dubeltówki. Zostawił ładunek prochowy, natomiast wysypał z niego śrut. Na opróżnione miejsce ciasno upakował drobiny złotego piasku. Po namyśle dodał jeszcze większe grudki złota naturalnego pochodzenia.

Następnego dnia rano wsiadł na konia i powrócił na to samo wzgórze. Oczyszczył kilka jardów żyły i z bliskiej odległości wypalił w nią. Złoty piasek głęboko wszedł w szarą masę. Tak wzbogaconą próbką pradziad wypełnił dwie brezentowe torby, zadbał, aby całość wyglądała naturalnie, dorzucił kilka kamieni. Z niedbałą miną złożył torby w biurze Przysięgłego Geologa, poprosił o ocenę. I, jeżeli warto, o wydanie właściwych certyfikatów.

Kiedy zjawił się po kilku dniach, witały go znaczące spojrzenia urzędników. Dyrektor urzędu zaprosił go do swego gabinetu. Z dobroci serca radził mu zakupić całą farmę, aby mieć prawa także do powierzchni a nie tylko do minerałów. Ułatwi to budowę baraków dla górników, usprawni przejazd wozów i doprowadzenie wody.

Odkrycie bogatych wzgórz giełdą przyjął z entuzjazmem. W ciągu tygodnia sprzedano akcje i znalazły się kapitały na podjęcie kopalnianych prac.



Do początków firmy Martin odnosił się ze szczególną podejrzliwością. Sprawiały mu ból.

– *To wszystko...* – wskazywał ręką na statuetki na kominku, boazerie i złocone żyrandole – *zbudowane jest na wyłudzeniu i fałszach! Jest coś takiego jak sprawiedliwość dziejowa! Nikt przed nią nie ucieknie!*

– *Na początku każdej fortuny powinien być jakiś przekręt – tłumaczył mu spokojnie ojciec. – Inaczej taka fortuna nie ma solidnych podstaw. A reszta to języki żmij. Rozdwojone.*

Czy nie widzisz, że buduję ochronki dla dzieci górników?



– *Znaleziono go w Pimiville! Na wysypisku śmieci!* – postać Rogera wyrażała wielkie wzburzenie. W rozpiętej marynarce i przekrzywionym krawacie jakby po omacku szukał fotela.

– *Kogo znaleziono? Gdzie?* – odwrócił głowę Simon.

– *Martina! W Soweto. Wyobrażał sobie, że można bezkarnie odwiedzać czyjąś narzeczoną, a miejscowa ludność będzie zachwycona! Ale ponieważ to ja mówiłem, chłopakowi wydało się bez sensu!*

– *Dwie whisky* – Simon skinął na kelnera. – *Podwójne.* Roger ciężko się zwałił obok przyjaciela, dyszał z wysiłkiem. Wydało mu się, że w sali jest bardzo gorąco i zażądał od kelnera Thomasa, aby ten natychmiast włączył klimatyzację. Nie chciał słyszeć, że klimatyzacja już działa. Wiernego sługę nazywał poldiotą.

– *Tsotsi zabrali Martinowi samochód i zdarli z niego koszulę. Zawieźli go na wysypisko i tam wypchnęli z wozu – wyrzucił z siebie. – Ma do nich największy żal, że rzucili go na stary rower i zardzewiałe szprychy wbiły mu się w plecy.*

– *Chłopak wyliże się. W jego wieku...*

– *Leży w szpitalu w Rosenbanku. Rozmawiałem z lekarzem. Jeśli tylko te szprychy nie były zardzewiałe i nie pokłuli go brudnymi nożami, wyjdzie za tydzień.*

– *Nietadnie z ich strony.*

– *Czyjej?*

– *Tsotsi.*

– *Tak, czy inaczej wina jest moja* – ciągnął Roger.

– *Według Martina cały incydent trzeba brać w szerokim kontekście klasowym. Tsotsi tylko próbowali wyrównać rachunek krzywd. Nie oddaliśmy kopalni plemieniu Kumba i tak musiało się to skończyć.*

– *Kto go znalazł?*

– *Sierżant Joubert z policji. Usłyszał krzyki dochodzące z wysypiska i znalazł zakrawionego chłopaka leżącego na kole rowerowym. Joubert zetknął się już z nim kilka dni wcześniej. Jak twierdzi, po ojcowsku przestrzegał go przed wyprawami w głębokie Soweto. Co gorsza zastanawia się teraz, czy nie wytoczyć mu sprawy o „spiskowanie w celu przekroczenia Immorality Act.”*

– *Myszę, że policja ma za mało dowodów. Nie może mieć...*

– *uspakajał przyjaciela Simon. – Gdzie są zdjęcia z ukrytej kamery? Gdzie świadkowie? Nie ma nagrań wymiany słodkich słówek połączonych przez mikrofony w ścianie.*

Spojrzał na ozdobny zegar stojący na kredensie.

– *Czas na lunch. Przestań się martwić stary przyjacielu. Jak każdy syn, zrobił to, żeby tobie uprzykrzyć życie. A dzisiaj jest znakomita ryba. Chodźmy.*



W Teremiskach, pod słupem z gniazdem bocianim, jest ławeczka. Na niej siedzą mężczyźni. Godzinami siedzą. Kawalek dalej, jakieś trzydzieści metrów za spożywczym jest inna ławeczka, na niej siedzą kobiety. Nic nie robią, tylko siedzą. W Teremiskach nikt nic nie robi.

CISZA W TEREMISKACH



Zwyłkaniem paru alkoholików, którzy pracują w miejscowych tartakach.

– U nas mieszkają tylko renciści i alkoholicy – mówi mi moja gospodyni – reszta się wyniosła do miasta.

Oprócz alkoholików i rencistów jest kilka rodzin, które dojeżdżają do pracy w Hajnówce albo Białowieży. I chyba trójka dzieci w wieku szkolnym. Dorośli przy puszczy pracują w administracji albo w straży granicznej, a oprócz tego domy na gospodarstwa agroturystyczne przerabiają, bo z samej puszczy wyżyć się już nie da. Zwierząt się nie odstrzeliwuje, wszystko pod ochroną, drzew nie tylko ścinać, ale nawet usuwać z lasu nie wolno. Bo przecież w każdym sparciałym pniaku mogą zalegnąć się setki żyłatek.

W muzeum Białowieskiego Parku Narodowego dowiaduję się, że w żywej sośnie

żyje co najwyżej z pięćdziesiąt parę gatunków zwierząt i roślin. A jak ta upadnie, to ze trzy razy tyle. W związku z tym, jak spadnie – tak leży. Jak będzie trzeba to i ze sto lat poleży. I słusznie. Po co ruszać, jak może leżeć.

Mój sąsiad w z naprzeciwnika, pan Zbyszek – stoi. Oparł się łokciami na płocie i stoi tak oparty. Popatrzy trochę w lewo, ale nic nie jedzie. No to w prawo popatrzy, tam też nic nie ma. Potem znowu w lewo. Pytam go, jak mu się tu żyje.

– Dobrze – mówi – ale nudno. Ale w mieście za żadne skarby bym nie zamieszkał. Zasnąć bym nie mógł.

Jest piękny kwietniowy poranek, słońce praży, ciszę przerywają tylko okrzyki wakacyjnych dzieci na podwórku albo klekot bocianów.

– Ja – mówię – jakoś tutaj, w Teremiskach spać nie mogę – za cicho.

On się śmieje:

– Przyzwyczaj się pan – mówi – i tak stoimy sobie i rozmawiamy o niczym po dwóch stronach drogi, po której nic nie jedzie już godzinę albo i dłużej. W Teremiskach w ogóle nic nie jeździ, dlatego zresztą przyjeżdżają tu tacy jak ja. Są tu tylko ludzie przyspawani do płotu albo do ławeczki. Sklepowa otwiera spożywczak na chwilę, bo ją ktoś poprosił, ale zła jest, bo to dzień wolny, ale co tam, jutro sobie wolne odbierze.

Pan Zbyszek nie ma racji, niestety. Nie zdążę się przyzwyczaić, bo jak zacznę łapać o co w tej ciszy chodzi, to trzeba będzie do domu wracać. Do tej nowej Polski, świeżej, młodej, na wskroś rozwiniętej, w przód zapatrzonej, a nie łokcującej

na płocie, jak pan Zbyszek, w której nie ma miejsca dla alkoholików (sami sobie winni), ani rencistów (urodzili się w nienajlepszym momencie, przejściowym mianowicie), ani nawet dla zacofanych tradycjonalistów, którym nie przeszkadza krowie, za przeproszeniem, gównu na wsi, albo klepisko w wiejskiej chałupie, albo baby kłękające przed kapliczką z Matką Boską na krzyżówce. Zacofanie i przesady to my lubimy w Afryce jakiegś albo w Indiach, tam one pasują, u nas budzą wstyd albo pusty śmiech.

Oglądałem ostatnio film na Animal Planet o tygrysach ludojadach grasujących w Sundurbanach. Co roku po 20-30 osób pożerają te bestie i nikt biednym ludziom nie pomaga, bo tygrysy, w przeciwieństwie do ludzi, są w Indiach pod ochroną. Tylko z jednej strony pomoc przyjsć może, wynika z filmu, uratować ich może bogini lasu Bonobibi.

Bonobibi panuje nad krokodylami, rekami i tygrysami, dzikie bestie słuchają jej, a ludzie modlą się do niej, by ocaliła ich przed śmiercią w męczarniach. Hinduiści i muzułmanie modlą się, najzarliwiej jak potrafią, bo wierzą, że od tej modlitwy ich życie zależy. I modli się też prezenter filmu. Bez żenady modli się z poważną miną, siada obok miejscowych, jakieś kadzidła wypuszcza i rusza ustami jakby wierzył,

w to co bąka pod nosem, mimo że przecież Anglikiem jest albo jakimś innym rozwiniętym inaczej człowiekiem i założę się, że poza kadrem traktuje wierzenia mieszkańców Sundurbanów jak debilne przesady.

Jaka bogini? U nas ani bogiń, ani bogów od dawna nie ma, a jak nas atakują jakieś zwierzęta (komary, lisy, albo szczury na przykład) to rozpylamy środki owadobójcze albo trujemy plugastwo.

Ja oczywiście jestem całym sercem za rozwojem (zwłaszcza za traktowaniem ludzi z Sundurbanów z większym szacunkiem niż tamtejsze tygrysy), ale przesady, ani zacofanie umysłowe nie przeszkadza mi. Podobnie jak brud, smród, plastik albo kicz. I niechętnie szukam takich zapyziałych miejsc za granicą, wołę znajdować je u nas. Polacy myślą, że nasz bajzel i rozlazłość, nasz gnój na wiejskim podwórku, odrapane ściany i obszcymurki na osiedlach są obciachem, w przeciwieństwie np. do brudu w Bombaju, smrodu w Akrze i alkoholików pracujących w winnicach w Burgundii. U nas obciach, u nich prawda życia i siła tradycji.

Obciachem jest co najwyżej takie myślenie. I bezmyślnym oddawaniem własnej przeszłości bez walki. A ja boję się

o naszą odmienność, również tę zapyziałą. Pan Zbyszek z Teremisek nie będzie fokiował na płocie w nieskończoność, bo kiedyś może podkupi go bogaty dziennikarz z Warszawy. PRL-owskie wielkopłytowe rudery z miast i miasteczek zmieniają się w apartamentowce i szklane ofisbuildings, pstrokate budy sklepowe nakrapiające polski krajobraz zastępują podmiejskie betonowe molochy z plastikowym jedzeniem. Kto wie, może i przydrożne kapliczki z modlitwami wypisanymi niewprawną ręką na świętych obrazkach będą musiały się tłumaczyć przed siłami nowoczesności. Cisza w Teremiskach, żubry na polanie pod Białowieżą i zwalone, porośnięte mchem olchy są chwilowo bezpieczne, ale nie tylko one są ciekawe.

Należymy do pokolenia szczęściarzy, którym przyszło w udziale obserwować, jak cały nasz kraj przybiera nowe formy. Chaos walczy z wymarzoną porządkiem, wieczne rozczochanie z uczesaniem, naturalny smród z perfumowanym, szuter z asfaltem, który następnie wyrusza na wojnę z betonem. Wielu z nas marzy o tym, żeby to przepoczwarczenie już się skończyło, żebyśmy wreszcie byli „normalnym” krajem, jak Niemcy albo jakaś Szwecja. A ja chciałbym, żeby to tak trwało i trwało...

Reklama

Bornholm - słoneczna wyspa Danii

DANIA. Wpadnij do sąsiadów!

visitdenmark.com



Bornholmtours

Oferujemy 400 domów wakacyjnych i apartamentów, 30 hoteli, pensjonatów i centrów wakacyjnych a także wiele domków kempingowych. Odwiedź naszą stronę i zaplanuj wycieczkę na Bornholm. Tanie bilety promowe.

www.bornholmtours.com



Promem na Bornholm

Szybko i wygodnie promem z Sassnitz (Rugia/Niemcy) na Bornholm! Prom kursuje od 02.04. do 30.10.2011. Czas podróży ok. 3,5 godz. Ceny biletów w jedną stronę: Pasażer pieszy: od 20 Euro. Samochód + 5 pasażerów – od 107 Euro.

www.bornholmerfergen.dk



DK-Camp Bornholm

Na Bornholmie znajdziecie jedno z najpiękniejszych miejsc kempingowych w Danii. Możecie spędzić wspaniałe wakacje w bliskim kontakcie z przyrodą, w pobliżu pięknych plaż Bornholmu i ciekawych atrakcji.

www.dkcampbornholm.dk



Feriepartner Bornholm

Wiele domów wakacyjnych w niższej cenie. Indywidualna obsługa. Ponad 300 domów na dłuższe wakacje i na plażowanie w trakcie przedłużonego weekendu. Zobacz nasze domy i łatwo zarezerwuj przez naszą stronę.

www.feriepartner-bornholm.dk



Bornholmhotels

Zapraszamy do przyjemnego pobytu w jednym z naszych dwóch 4**** hoteli: Radisson BLU Fredensborg lub Hotel Griffen. Rezerwacja biletów promowych, lotniczych, atrakcji turystycznych.

www.bornholmhotels.dk



Novasol Polska

NOVASOL oferuje swoim gościom 500 domów wakacyjnych na słonecznym Bornholmie. Znajdziesz i tradycyjne domki i komfortowe, nowoczesne wille – wszystkie w ciekawych lokalizacjach i doskonałej duńskiej jakości.

www.novasol.pl



Polferries / Team Bornholm

W biurach Polferries oferujemy ośrodki wczasowe i apartamenty cenionej firmy Team Bornholm. Korzystając z oferty pobytowej przed lub po wysokim sezonie oszczędzasz 45%-65%. Połączenie promowe z rabatem.

www.polferries.pl



Visitdenmark.com

Sprawdź jak dojechać na Bornholm, jaka jest aktualna pogoda, gdzie zamieszkać i co warto zobaczyć. Zapisz się by otrzymywać najnowsze informacje, zamów naszą bezpłatną broszurę Dania 2011.

www.visitdenmark.pl



Hotel Ryttergaarden Bornholm

Czterogwiazdkowy hotel na południe od centrum Ronne, w pobliżu dzielnicy handlowej ale także lasu, piaszczystej plaży i pola golfowego. Od lotniska tylko 3 km, a od portu 2 km.

www.hotelryttergaarden.dk



Hotel Balka Strand Bornholm

Idealny dla rodzin na letnie wakacje. Wszystkie pokoje usytuowane są wokół ogrodu i w pobliżu basenu. W odległości 150m znajdują się jedne z najwspanialszych plaż Bornholmu.

www.HotelBalkaStrand.dk

www.visitdenmark.com/wyspa-bornholm

AFRYKA | RWANDA

Alicja Kafarska

Rodzina Z WIRUNGA



A large gorilla is sitting in the foreground on the left, looking towards the camera. It has dark black fur and a prominent silver-colored nose. In the background, to the right, a smaller gorilla is sitting and eating. The background is a lush green forest with bamboo and other tropical plants.

Przyjeżdżamy do Rwandy goniąc za marzeniami o spotkaniu filmowych 'goryli we mgle'. Będąc w sercu Afryki pokonujemy bezdroża, zmagamy się z własnymi słabościami, a wszystko po to, aby po kilkunastogodzinnej wędrówce stanąć wreszcie oko w oko z prawdziwym władcą Gór Wirunga – gorylem górskim (*Gorilla beringei beringei*). Tak przynajmniej było ze mną.



KRAINA WULKANÓW

Obecnie spokój Gór Wirunga zakłócają jedynie częste w tym rejonie trzęsienia ziemi. Na szczęście lekkie.

Położoną w strefie środkowoafrykańskich rowów tektonicznych Rwandę, równą około 9 proc. powierzchni Polski, zwykle określa się mianem „krainy tysiąca wzgórz”, a znajdujące się w jej granicach Góry Wirunga, ostatnim bastionem goryli górskich na Ziemi. Jeszcze nie tak dawno toczyła się tu najkrwawsza wojna domowa kontynentu afrykańskiego, będąca w istocie ludobójstwem. Na szczęście od kilkunastu lat głównym problemem stała się tu ochrona dzikiej przyrody, bo to ona właśnie jest teraz zagrożona najbardziej. Parki Narodowe Wulkanów (Rwanda), Park Narodowy Mgahinga (Uganda) oraz Park Narodowy Wirunga (Demokratyczna Republika Konga) przed 1960 rokiem wchodziły w skład Parku Narodowego Alberta, utworzonego w czasach belgijskiej kolonizacji tych terenów, która też w istocie była ludobójstwem (Książkę Svena Lindqvista „Wytepić całe to bydło” uważam za lekturę obowiązkową dla każdego, kto jedzie na Czarny Ląd). Założony w 1925 roku Park



FOT. ROMAN POLEK



FOT. ROMAN POLEK

Narodowy Alberta miał być sanktuarium dla zamieszkujących te tereny goryli górskich. To właśnie tutaj, na granicy trzech afrykańskich państw, goryle walczą obecnie o przeżycie.

NAJPIERW MIEJSKA DŻUNGLA

Po dziewięciogodzinnym locie z Brukseli samolot ląduje na betonowym pasie lotniska w Kigali. Z podekscytowania nie przejmuję się strugami oblewającego mnie potu. Szybka odprawa, dobytek na plecy i już zardzewiałe drzwi lotniska otwierają się ku przygodzie. Gdzieś tam, ale niedaleko, czeka dżungla i goryle!

Na zewnątrz od razu otacza mnie tłum taksówkarzy, z których każdy próbuje zaciągnąć mnie w kierunku swojego pojazdu. Decyduję się na ten, którego kierowca wydaje się najlepiej rozumieć, do którego hostelu muszę się dostać. Kigali to największe miasto Rwandy i zarazem jego stolica. Nigdy nie było tutaj wielu atrakcji dla turystów.

Ponadto łatwosię zgubić, bo ulice są pomyślane, a większość mieszkańców wskazując drogę, podaje charakterystyczne dla danej dzielnicy punkty terenu. Tak więc zwiedzanie Kigali przypomina bieg na orientację, tyle że bez mapy i kompasu. Poruszając się po mieście – kilku wzgórzach oraz dolinie, na których się ono rozwija – skazana jestem na dwa środki transportu: taksówki lub motocykle. Te pierwsze to zazwyczaj nieoznakowane, prywatne samochody. Motocykle są zdecydowanie ciekawszą, choć mniej bezpieczną formą podróżowania po Kigali. Siedząc jako pasażer na motorze, rozpaczliwie staram się trzymać czegośkolwiek, by nie dać się zgubić kierowcy już na pierwszej dziurze.

KUMPLE Z MATATU

Po kilkugodzinnym zwiedzaniu miasta jestem gotowa do dalszej drogi. Rwandyjczycy są narodem bardzo otwartym i chętnym do pomocy,

BANYARWANDCZYK Z KIGALI

Już nie Hutu, Tutsi czy Twa. Wszystkich obywateli Rwandy nazywamy teraz Banyarwanda.

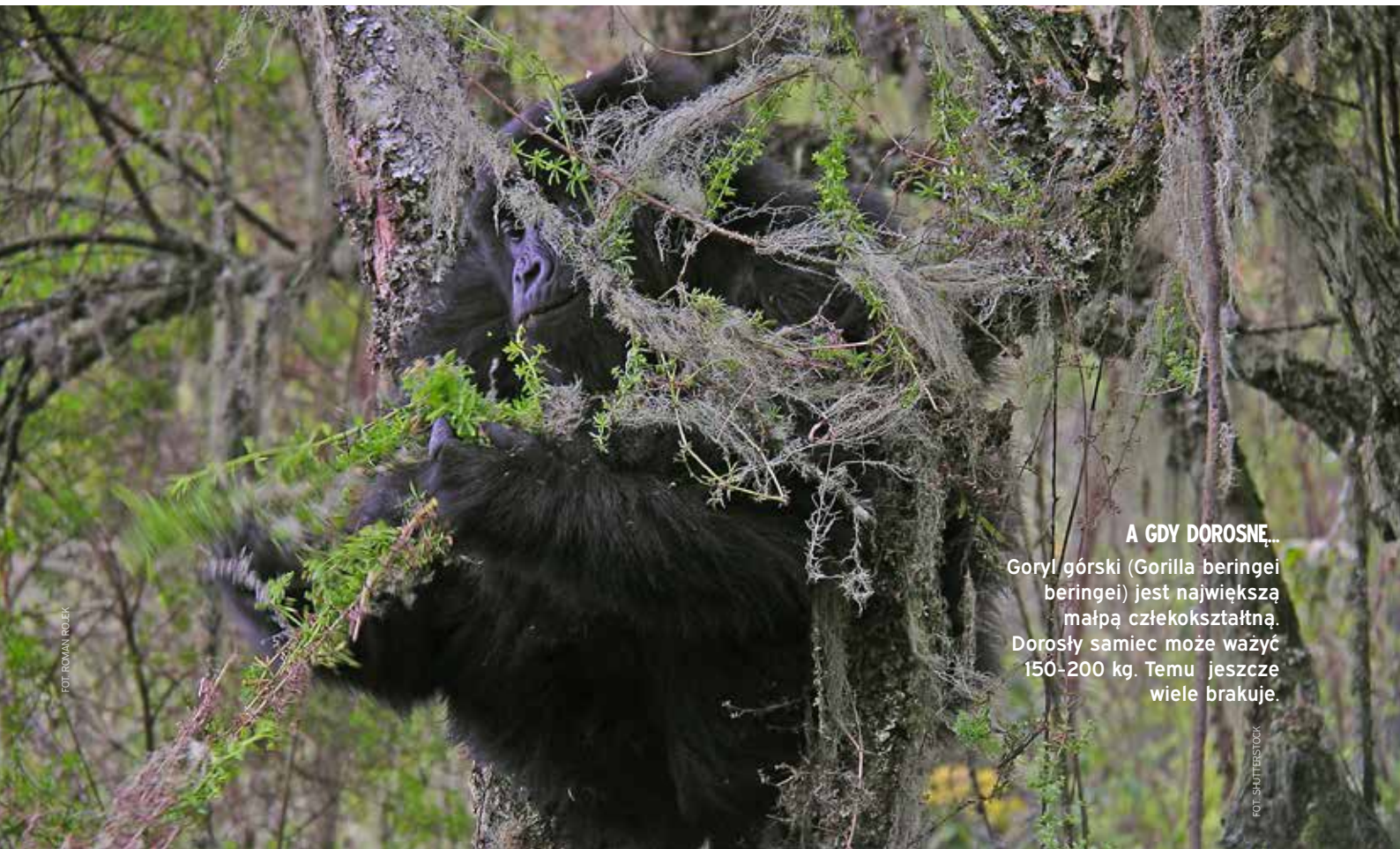
Mieszkańców Rwandy nazywamy, zgodnie z wolą i polityką obecnych władz, dążących do stworzenia w państwie jednego narodu – Banyarwanda. Wszyscy posługują się tym samym językiem, mają takie samo podłoże kulturowe, zamieszkują te same tereny i przez wieki zawierali między sobą związki małżeńskie. Rwandyjczycy to trzy grupy etniczne: Batutu, Batutsi i Batwa, bardziej znani w świecie jako Hutu, Tutsi i Twa. Twa, antropologicznie bliscy Pigmejom, zajmują się myślistwem. Także większość kłusowników wywodzi się właśnie spośród nich.

Przedstawiciele tej grupy etnicznej zamieszkują głównie południowe tereny Rwandy. W regionie Ruhengeri, spotykamy przedstawicieli Hutu (głównie rolników) i Tutsi (dawniej zajmujących się pasterstwem). W 1994 roku to właśnie Hutu dokonali bratobójczej rzezi, mordując w ciągu stu dni ponad 800 tysięcy Tutsi. Dzisiejszą traumę tych, którzy wtedy uszli śmierci, z bolesną wnikliwością przedstawia Wojciech Tochman w książce „Dzisiaj narysujemy śmierć”.



tak więc szybko dowiaduję się, jak i skąd najlepiej dostać się w pobliże Parku Narodowego Wulkanów, właściwego celu mojej małej, jednoosobowej ekspedycji. Po głównej drodze – o przeważnie dobrej nawierzchni – z dzikim rykiem klaksonu pędzi ma-

tatu, a w nim ja i czternaście innych osób. Ściśnięci, częstujemy się nawzajem jedzeniem, śpiewamy i rozmawiamy. Po 90 minutach wysiadam w Ruhengeri, 12 km od granicy parku narodowego. Żegnana przez roześmiane twarze współtowarzy-



A GDY DOROSNĘ...

Goryl górski (Gorilla beringei beringei) jest największą małpą człekokształtną. Dorosły samiec może ważyć 150-200 kg. Temu jeszcze wiele brakuje.

szy podróży, kieruję się do kościoła, przy którym ksiądz wynajmuje pokoje. Warunki są spartańskie, ale orzeźwiająca zimna woda w parny dzień, wygodne łóżko i siatka chroniąca od wszelkich insektów, to więcej niż potrzeba tutaj do szczęścia.

NA SZCZĘŚCIE TRZEBA CZEKAĆ

Nakierowana przez miejscową ludność i otoczona wianuszkami dzieci, na całe gardło krzyczących MUZUNGU (biały człowiek) decyduję się od razu odwiedzić siedzibę ORTPN'u, rządowej organizacji odpowiedzialnej za ochronę goryli.

Biuro otwarte, a w biurze nikogo. Po kwadransie oczekiwania zjawia się młody, szeroko uśmiechnięty chłopak. Wyjaśnia, że biuro w dniu dzisiejszym jest otwarte, ale czynne będzie dopiero po południu, kiedy to wszyscy wrócą z Parku. Zaopatrzona w ulotki, postanawiam rozejrzeć się po okolicy.

Kiedy po południu wracam do biura, jest tam tłoczno od pracowników parku, wydających oficjalne pozwolenia na odwiedzenie goryli. Dostaję zgodę na spotkanie... za kilka dni. Mam naprawdę dużo szczęścia! Zezwolenie powinno się rezerwować na kilka miesięcy przed planowanym przyjazdem do Rwandy, bowiem na świecie wielu jest chętnych do zobaczenia goryli. Ja jednak mam czas i szczęście.

Na moją korzyść działa też pora deszczowa. Większość turystów wybiera na przyjazd suche miesiące, aby podczas tropienia goryli nie ślizgać się na ścieżkach pełnych błota i rozmięklej gliny, a także dlatego, żeby móc przy słonecznej pogodzie rozkoszować się wspaniałymi krajobrazami malowniczych wulkanów Gór Wirunga. Niewiele osób zdaje sobie sprawę, iż pora deszczowa oznacza przeważnie tylko kilka godzin deszczu dziennie. Z niezbędnymi dokumentami w kieszeni pozostaje mi tylko przeczekać z książką te kilka dni. Najważniejsze zostało załatwione, 'permit' bezpiecznie leży w portfelu, a ja jestem o krok bliżej od wymarzonego spotkania.

BODA-BODA? PIKI-PIKI?

Jeżeli nie chcemy wydać fortuny, by dostać się do bramy parku, to nie będziemy mieli łatwo. Można wprawdzie umówić się ze strażnikami na darmową podwózkę, ale oni wyjeżdżają z Ruhengeri w środku nocy. Można też wyjechać o świcie i zdać się na jeden z dostępnych środków transportu. Dla mojej kieszeni osiągalne są jedynie boda-boda (ba-



gażnik rowerowy komfortowo wyścielany jaśkiem), na którym jazda należy z pewnością do ciekawszych przeżyć poranka lub piki-piki czyli motocykl, jeszcze ciekawsze, ale o tym przekonałam się już w Kigali. A więc: boda-boda.

Droga do Kinigi, skąd wyrusza się na poszukiwanie goryli, na pewno nie jest ścieżką rowerową, jednak godzinną jazdę rekompensują widoki. Mijam wioski tętniące życiem pomimo bardzo wczesnej pory i grupy dzieci zdążające do studni po wodę. Przejeżdżam polnymi drogami gapiąc się na uprawy manioku, batatów, sorgo, kukurydzy, bananów, ziemniaków, orzeszków ziemnych czy trzciny cukrowej. Im bliżej Parku tym lepiej widać dumne stożki wulkanicznych szczytów Muhabura, Ga-

POD NADZOREM

**Zza zielonej ściany
dżungli śledzi nas
uważny wzrok...**



UKRYTE PRZED ŚWIATEM

Nazwą goryli górskich określane są dwie populacje goryli. Obydwie żyją w deszczowych lasach środkowej Afryki w Górach Wirunga na styku granic Demokratycznej Republiki Konga, Ugandy i Rwandy na wysokościach 2225-4267 m n.p.m. oraz w Nieprzeniknionym Lesie Bwindi w Ugandzie.

hinga, Sabyinyo, Muside, Ngezi, Bisoke, Karisimbi i Mikenno. To rzeczywiście jest Park Narodowy Wulkanów. Łańcuch malowniczych, stromych, wysokich stożków wulkanicznych połączonych zielonymi przełęczami, powstałymi na skutek zastygania pomiędzy nimi lawy, jest jednym z najtrudniejszych do zapomnienia widoków w Afryce. To widok do którego się zatęskni.

PRZYDZIAŁ RODZINY

Kinigi to niewielka wioska, która rozwija się dzięki mieszczącej się tu głównej siedzibie ORTPN-u. W niewielkim domku otrzymuję ankietę do wypełnienia oraz broszury o parku i żyjących w nim zwierzętach. Rozciągając się na trawie w promieniach porannego, afrykańskiego słońca podekscytowana jak nigdy dotąd, przyglądam się

karcie z jednym tylko wyrazem – AMAHORO. To nazwa liczącej 17 osobników gorylej rodziny, jednej z siedmiu, do których dostęp mają turyści. To „moja” rodzina.

DŻUNGLA ZA MUREM!

Grupa zebrana, przewodnik już idzie. Niewysoki mężczyzna uśmiecha się do nas, sześciorga szczęśliwców. Płynnym angielskim, rzeczowo i w punktach wyjaśnia, jak będzie wyglądać najbliższe kilka godzin. Wsiadamy wszyscy na pakę pick’upa i podskakując na wybojach słuchamy planu na dzisiejszy dzień. Do parku narodowego prowadzi kilka dróg, w zależności od tego do której grupy goryli kierują się turyści, a także od tego, czy jest to wyprawa mająca na celu podglądanie goryli, czy dotarcie do grobu Dian Fossey, czy też kilkudniowy trekking w Górach Wirunga. Ponieważ cały Park Narodowy Wulkanów otoczony jest ponad 120 kilometrowym murem z kamieni, do środka dostać się można tylko jedną z kilku bram. Mur był pomysłem władz Parku. Jest on nadal w budowie, a powodem jego powstania były liczne konflikty pomiędzy ORTPN, który sprzeciwiał się wycinaniu drzew oraz wypasaniu na terenie Parku bydła, a ludnością miejscową. Zarówno rozrastające się obozy uchodźców w sąsiednim Kongo, jak i wioski rolników w Rwandzie cały czas zbliżają się do granic parku narodowego.

TROFEUM Z GORYLA

Aparaty fotograficzne na szyjach, plecaki spakowane oraz rozmazane uśmiechy całej sześciuosobowej drużyny mówią same za siebie – jesteśmy gotowi do marszu i spotkania z gorylami. Ostatnia rada naszego przewodnika sprawia jednak, że miny nam rzedną. Nogawki spodni lądują w skarpetkach, a każda szpara w ubraniu przez którą mogą dostać się pijawki, komary czy inne afrykańskie paskudztwa, zostaje pieczołowicie zakryta. Wyglądamy cokolwiek śmiesznie, ale przecież goryle śmiać się z nas nie będą. Nasz przewodnik maczetą toruje drogę, umożliwiając nam przeciskanie się przez gęszcz zarośli. Towarzyszy nam również kilku uzbrojonych strażników. Wędrujemy kilka godzin. Cały czas pod górę. Jak w transie przedzieramy się przez zielone morze. Po drodze przewodnik opowiada o życiu w Parku. Większość personelu zatrudnionego w nim stanowią lokalni mieszkańcy. Pracują oni jako przewodnicy, tropiciele, strażnicy lub tragarze. Wszyscy są pomostem łączącym

CHWILA DLA REPORTERA

Z wrodzonym spokojem
goryle tolerują
codzienne wizyty
turystów.





FOT. SHUTTERSTOCK

WCIĄŻ RAZEM

Na cmentarzyku w Karisoke spoczywa Dian Fossey i jej podopieczni.

turystę i świat natury, pilnują aby ani jednej ani drugiej stronie nie stała się krzywda. Przewodnik opowiada o najgorszym roku dla ORTPAN-u, gdy wiele osób skuszonych łatwym zarobkiem dużych pieniędzy podejmowało się schwytania małych goryli w celu odsprzedania na czarnym rynku. Z łap matki, którą przed złapaniem młodego goryla należało najpierw zabić, wyrabiano potem popielniczki, również odsprzedając je na lokalnym rynku. W tym okresie większość z pracowników Parku oraz centrum Karisoke (obozu badawczego, który na przełęcz łączącej wulkany Bisoke i Karisimbi założyła w 1967 r. Dian Fossey) wcielona została do oddziałów penetrujących las i ochraniających goryle. Dzięki światowym regulacjom prawnym i wzmożonym kontrolom na lotniskach, w końcu zabrakło kupców na goryle trofea i kłusownicy stracili rynek zbytu. Władze Parku za namową Dian Fossey zdecydowały się stworzyć małe grupy tropicieli podążających za rodzinami goryli od rana, aż do momentu gdy zwierzęta udadzą się na wieczorny spoczynek. To właśnie te grupy, pozostające w stałym kontakcie z bazą ORTPN w Kingi, zdają relację przewodnikom o tym, gdzie szukać poszczególnych grup goryli i jak najlepiej do nich dojść. Słuchając opowieści przewodnika i podziwiając otaczającą nas przyrodę docieramy do pierwszego celu naszej małej ekspedycji – Karisoke – miejsca

w którym stał dom Dian Fossey. Dian prowadziła wieloletnie badania nad gorylami górskimi Rwandy. Zaprzyjaźniła się z nimi, została częścią ich stada, a one jej najbliższą rodziną. Zamordowana w 1985 r. najprawdopodobniej przez kłusowników, pochowana została na cmentarzu w pobliżu swojej chaty, pośród grobów jej ukochanych goryli.

„GORYLE” GORYLI

Od tego miejsca droga staje się trudniejsza. Idziemy gęsiego, bo tak łatwiej utrzymać zwartą grupę. Pułapki czekają na nas w wilgotnych zagłębieniach terenu, sprzyjających powstawaniu trzęsawisk. Bez wprawnego przewodnika nie byłibyśmy w stanie ominąć wszystkich zastawionych przez przyrodę „niespodzianek”.

Wychodzimy na polanę, gdzie otacza nas grupa uzbrojonych mężczyzn. Śmiechy i żarty cichną w pół zdania. Ale nasi miejscowi towarzysze nie ukrywają radości. Przecież to ich przyjaciele, tropiciele z okolicznych wiosek, którzy dniem i nocą podążają za żyjącymi w Górach Wirunga rodzinami goryli, dbając o ich bezpieczeństwo i pełniąc zarazem rolę GPSa dla odwiedzających Park turystów. Inaczej nie można by na rozległym terenie odszukać w ciągu kilku godzin doskonale maskujących się goryli, które w dodatku codziennie zmieniają

obozowisko, przemieszczając się średnio o 15 kilometrów w dowolną stronę. Obecność tropicieli teraz cieszy nas podwójnie. To znak, że rodzina Amahoro jest już blisko.

Z NÓG ZWALONA

Ostatnie wytyczne: nie jeść, nie pić, nie palić, nie podchodzić za blisko, nie dotykać. W sytuacji kryzysowej przyjąć pozycję embrionalną. Uważać pod nogi i nigdy, przenigdy NIE UCIEKAĆ! Aha, pod żadnym pozorem nie używać lampy błyskowej!

Ostatnie metry, aparaty fotograficzne w pełnej gotowości. Nie jest mi już nawet gorąco. Za to sprzęt fotograficzny, który niosę, skutecznie sprawia, że jestem ostatnia w grupie. Dlatego samotnie wypadam na polanę, nie przeczuwając, że za chwilę znajdę się oko w oko ze srebrnogrzbietym przywódcą stada. Większość ludzi by oniemiała i zastygła w wrażeniu. Ja wdzięcznie tracę grunt pod nogami na wilgotnych pnączach, wywijając przed potężnym samcem artystycznego orla. Pierwsze spotkanie z gorylem górskim dosłownie zwala mnie z nóg. Na całe szczęście zwierzęta te są na tyle przyzwyczajone do obecności ludzi, że moja mała wpadka zostaje zignorowana. Wszyscy oddychamy z ulgą i każdy wraca do swoich czynności. Ja do fotografowania, a goryle do przeżuwania. Od czasu do czasu goryle górskie jedzą bezkręgowce, jednak podstawą ich diety są rośliny, których na stokach wulkanów nie brakuje. Odżywiają się korzeniami, liśćmi, łodygami, ziołami i bambusami. Czasami wzbogacają swoje pożywienie małymi ilościami drewna, kwiatów, owoców, grzybów oraz odchodami innych goryli. Na pożywianiu się spędzają jedną trzecią całego dnia. Od momentu pierwszego kontaktu z gorylami można z nimi przebywać tylko przez godzinę. Turyści podążają za stadem przemieszczającym się z łatwością po stokach do momentu, gdy przewodnik nie da hasła do odwrotu. Siedząc w ciszy pośród ogromnych goryli górskich nie mogę uwierzyć, że w końcu mi się udało. Te majestatyczne zwierzęta można pokochać od pierwszego wejrzenia, za ich grację i delikatność pomimo ogromnych rozmiarów.

Sielanka nie trwa jednak długo. Goryle najały się i zdecydowały przemieścić w inną partię lasu. Dla nich przechodzenie po podłożu z lian to nic wielkiego, dla nas to prawdziwe wyzwanie, szczególnie jeżeli chcemy dotrzymać im kroku. Jak zwykle idąc na końcu naszej małej ekspedycji pilnie patrzę pod nogi. Skupiona na stawianiu kolejnych kroków nie zauważam malucha, który bez-

Dian Fossey prowadziła wieloletnie badania nad gorylami górskimi Rwandy. Zaprzyjaźniła się z nimi, została częścią ich stada, a one jej najbliższą rodziną. Zamordowana, pochowana została na cmentarzu w pobliżu swojej chaty, pośród grobów jej ukochanych goryli. Jej śmierć tak naprawdę do dnia dzisiejszego nie została wyjaśniona do końca...

trosko zaszedł mi drogę. On staje wyprężony, a ja siadam i staram się zmaleć. On zaczyna bić się w piersi, wydając głuchy odgłos walenia w bęben, a ja w popłochu kątem oka staram się zlokalizować tatusia niesfornego malca, drugim okiem z zafascynowaniem śledząc całe przedstawienie. Samice zwykle osiągają wysokość 150 cm., podczas gdy samce mogą mierzyć aż 185 cm i ważyć około 160 kg. Pomimo całego zafascynowania, nie chcę ryzykować spotkania ze srebrnogrzbietym. Na szczęście młody goryl traci zainteresowanie moją osobą, niespodziewanie kończy popis i pośpiesznie dołącza do rodziny, a ja do mojej ekspedycji. Przeznaczony na odwiedzin czas upływa nadspodziewanie szybko i trzeba rozstać się ze stadem. Nikt z grupy się nie odzywa, każdy zatopiony we własnych myślach. Najbardziej, w tym co zobaczyłam, fascynuje podobieństwo gestów i mimiki, które sprawiają, że tak trudno mi teraz nazwać goryle zwierzętami.

Później miałam jeszcze parokrotnie szczęście stanąć twarzą w twarz z gorylami górskimi, ale nasze pierwsze spotkanie należy do tych, które nosi się w sobie do końca życia. ○

Alicja Kafarska –

Właścicielka biura podróży, z zawodu organizator wypraw i wyjazdów turystycznych. Z zamiłowania nurek i fotograf.

„Magister od goryli”, bo im właśnie poświęciła pracę dyplomową.

e-mail: alicja.kafarska@wp.pl



Krążę koło tego tematu, kręcę, udaję, że ja nie o tym, ale pora to wreszcie powiedzieć głośno: Tak, podróżujemy po to, żeby się napić.

WSZYSTKO, CO SIĘ PALI



ZDJĘCIE: SHUTTERSTOCK

Jasne, nie każdy jest Szwedem, który z radości, że wyrwał się z reżimu państwowych sklepów monopolowych i horrendalnych cen – lecąc na wakacje upija się w sztok jeszcze na lotnisku w Sztokholmie. Nie każdy też jest tym Polakiem czy Rosjaninem, który pokazał Egipcjanom zupełnie inne rozumienie tego, ile może wypić człowiek, zwłaszcza jeśli zapłacił za all inclusive. Nie każdy jest wreszcie kuracjuszem oddziału odwykowego prowadzonego przez mojego ojca, który to (mój ojciec, nie oddział) głosi, iż jego pacjenci „piją wszystko co się pali, z wyjątkiem asfaltu”.

Bo rzecz w sumie nie w tym, żeby się skuć, od tego wszak nie trzeba ruszać się z domu, ile by poznać smak egzotycznego trunku. I smak ryzyka.

Ojcu memu (świeć Panie nad jego wątroby) przywozimy bowiem z bratem co podniejsze a bardziej egzotyczne trunki. Na razie w konkurencji tej prowadzi brat, który z laotańskiej dżungli prócz nieżyty żołądka przywiózł butelkę tamtejszego bimbru z gigantycznym, dwudziestoprocentrymetrowym robalem w środku!

Wyglądał on (tym razem robał, nie brat) jak wielokrotnie przerośnięta stonoga, w dodatku od młodości nie zażywająca kąpieli.

Czymże ja, biedny żuczek, mogłem się zrewanżować? Flaszka irackiego araku nie wzbudzała co prawda mojego zaufania, choć wyglądała przy laotańskich wynalazkach wręcz markowo. Cudo to smakowało za to jak mieszanina lizolu, daktyli i spirytusu salicylowego doprawiona spożywczym aromatem anyżowym. Cieszyło się cokolwiek umiarkowanym wzięciem, bo mimo częstowania kolejnych gości widziałem je w barku rodziców przez wiele lat.

Od tego czasu tata dostaje coś bardziej standardowego, a kolejne wynalazki przywożę już sobie. Jako miłośnik wina i ryzyka nabyłem drogą kupna w wietnamskim Dalat butelczynę tamtejszego czerwonego wina. Nie liczyłem co prawda na nadzwyczajne walory smakowe tego jakże wykwintnego trunku, ale – czarowany opowieściami o wielkich wpływach francuskich w Wietnamie – chciałem spróbować czegoś rzadkiego. No i sądziłem, że będzie to choć w minimalnym stopniu

pijalne. Otóż, proszę państwa, nic bardziej mylnego. O ile wietnamskie piwo jest całkowicie akceptowalne, to wina taszczyć ze sobą nie warto. Owszem można je kupić, ale tylko po to, by wytruć nim miejscowe robactwo.

Innym rarytasem w mych skromnych zbiorach jest kenijskie wino z papaji. Oczywiście nie mam zamiaru go otwierać, wystarczy mi rzut oka, by nacieszyć się myślą, że ktoś mógł wpaść na tak absurdalny pomysł, by coś takiego wytwarzać. Przy tym surrealistycznym produkcie błędą kirgiskie koniaki nie wspominając już o całkiem znacnym, orzechowym w smaku, Skanderbegu – czołowym produkcie albańskiego przemysłu spirytusowego.

I tu zadumać się wypada, że obóz komunistyczny obfitował w całkiem niezłe koniaki – tak, wiem że oryginalne – pochodzą z regionu Cognac, ale proszę to wyłumaczyć na przykład mieszkańcom regionu Armagnac twierdzącym, że koniak to po prostu armagnac zmieszany z mydlinami. Albo proszę powiedzieć to Mołdawianom. Jeszcze w drugiej połowie lat 90. podró-

zując po tym kraju można było natknąć się, gdzieś przy drogach, na ulicznych sprzedawców spirytualiów. Ówczesny polski ambasador w Kiszyniowie tłumaczył mi, że to kołchożnikom wypłacają pensję w koniakach, skądinąd naprawdę dobrych...

O ile mołdawskie wina, niegdyś świetne (to w końcu Cricova pod Kiszyniowem mieściła słynną piwnicę win Hermann Goeringa) długo jeszcze będą dochodziły do poziomu sprzed wojny, to koniakom nic już nie brakuje. Tak samo jak słynnemu Araratowi – koniakowi z Armenii.

Najstarszy i najlepszy piłem w Stepanakercie, stolicy Górskiego Karabachu, gdzie dobrze pamiętający lata ZSRR trunek był tańszy od coca coli. Oczywiście sposób spożywania koniaku w Armenii nieco odbiega od tego preferowanego u nas. W Erewaniu długo zastanawiano się co zrobić z gościem, który uparł się, że do przedpołudniowej kawy chce tylko lampkę koniaku. W końcu sprzedano mi ją za symboliczną cenę, ale właściciele baru

najbardziej ucieszyło to, że stałem się ich stałym klientem. Bodajże trzeciego dnia oznajmili mi z radością, że właśnie wypilem całą butelkę.

Podobna przygoda spotkała mnie w Skopje. W stolicy Macedonii również nie znają obyczaju picia wina na lampki. Kiedy więc przybywszy tam głodny jak wilk zamówiłem jedyne danie w menu, czyli kurczaka z rożna i szklankę wina (taki naiwny, by prosić o kieliszek nie byłem) mogłem się w sumie spodziewać, że dostanę wielgachną szklanicę, do której, na moich oczach, uczynny kelner przelał całą butelkę. Ale ten uśmiech na jego twarzy, to zadowolenie, że sprostął wymaganiom europejskiego klienta – warto było wszystkich pieniędzy.

Jednak umówmy się, że często najtrudniejszym do zdobycia napojem wcale nie jest alkohol. Przekonałem się o tym w Iranie, kraju ścisłej prohibicji, skądinąd jednym z najpiękniejszych i najciekawszych, w jakich byłem. Podróż po nim zacząłem od Teheranu, gdzie w niemalże europej-

skich knajpkach wokół parku Mellat można zamówić znakomite espresso, popić butelką perriera czy coli.

Ale to były tylko dobre złego początki. Jakim cudem ja – człowiek od kawy uzależniony – przeżyłem miesiąc w kraju bez kawy? Nie mam pojęcia, ale było ciężko. Doszło do tego, że każdego poznawanego Persa indagowałem na okoliczność kofeiny. „Nie, niestety, kawy w domu nie mam, ale mam piwo/whisky/wódkę. Chcesz?” Odpowiedź, że piwo owszem, też bywa fajne, ale to jednak zupełnie nie to samo – była dla Irańczyków zaskakująca. Chcieli w końcu podzielić się najcenniejszą pamiątką z wakacji z wielkim narażeniem szmuglowaną przez granicę i przechowywaną na specjalne okazje.

A kawa? Nie, wcale nie jest zakazana – po prostu nie ma tradycji jej picia. Wszędzie tylko herbata i mleko. No ale, jako się rzekło, podróżujemy po to, żeby się napić. Kto powiedział, że musi to być od razu alkohol, a konkretnie bimber z robalem? ○

Reklama

Aktywnie w górach

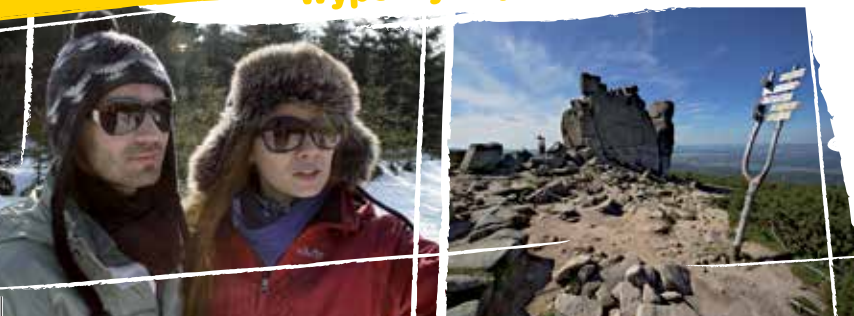
Aktywnie na szlaku turystycznym

Gwarantujemy zapierające dech w piersiach widoki górskich tras Karkonoszy. Na miłośników dwóch kółek czeka ponad 50 km szlaków rowerowych. Gmina Podgórzyn to również skałki do wspinaczki, szlaki do pieszych wycieczek i uprawiania nordic walking, ośrodki jazdy konnej, całoroczny kort tenisowy, hala sportowa i boiska.

Aktywnie z rodziną

Mamy świadomość, że przepiękna przyroda cieszy, kiedy ma się zapewniony odpowiedni standard obcowania z naturą. Na naszych Gości czeka bogata oferta obiektów turystycznych i agroturystycznych. Niewątpliwą atrakcją dla rodzin jest kowbojskie miasteczko „Western City”, przenoszące nas do czasów Dzikiego Zachodu, oraz „Cyryland”, gdzie spotkamy tygrysa bengalskiego, będziemy mogli pojeździć na wielbłądzie lub wziąć udział w warsztatach sztuki cyrkowej.

Wypoczywaj aktywnie!



Aktywnie z kulturą

Stwarzamy możliwość atrakcyjnego obcowania z kulturą, historią i sztuką. Proponujemy koncerty operowe, symfoniczne i rozrywkowe w otoczeniu kompleksów pałacowo-parkowych. Zachęcamy do wycieczek szlakiem zabytków i historii, obejmujących zwiedzanie m.in. „Doliny Pałaców i Ogrodów”, zabytkowych kościołów i kaplic oraz krzyży pojednania.

Aktywnie ze sportem

Miłośnicy aktywnego wypoczynku mogą uczestniczyć w wielu atrakcyjnych wydarzeniach sportowych. Oto niektóre z nich: cykliczne maratony rowerowe, rozgrywki piłki nożnej, rajdy samochodowe, mecze tenisowe, zawody w biegu na orientację, rozgrywki piłki plażowej, marsz na orientację z psami „Dog trekking”, kąpiel Morsów pod Wodospadem „Podgórnej”.



Podgórzyn
Gmina przyjazna
z natury

www.podgorzyn.pl



PROGRAM
REGIONALNY
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI



DOLNY
ŚLĄSK

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ
ROZWOJU REGIONALNEGO



Projekt współfinansowany przez Unię Europejską z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego dla Województwa Dolnośląskiego na lata 2007-2013.

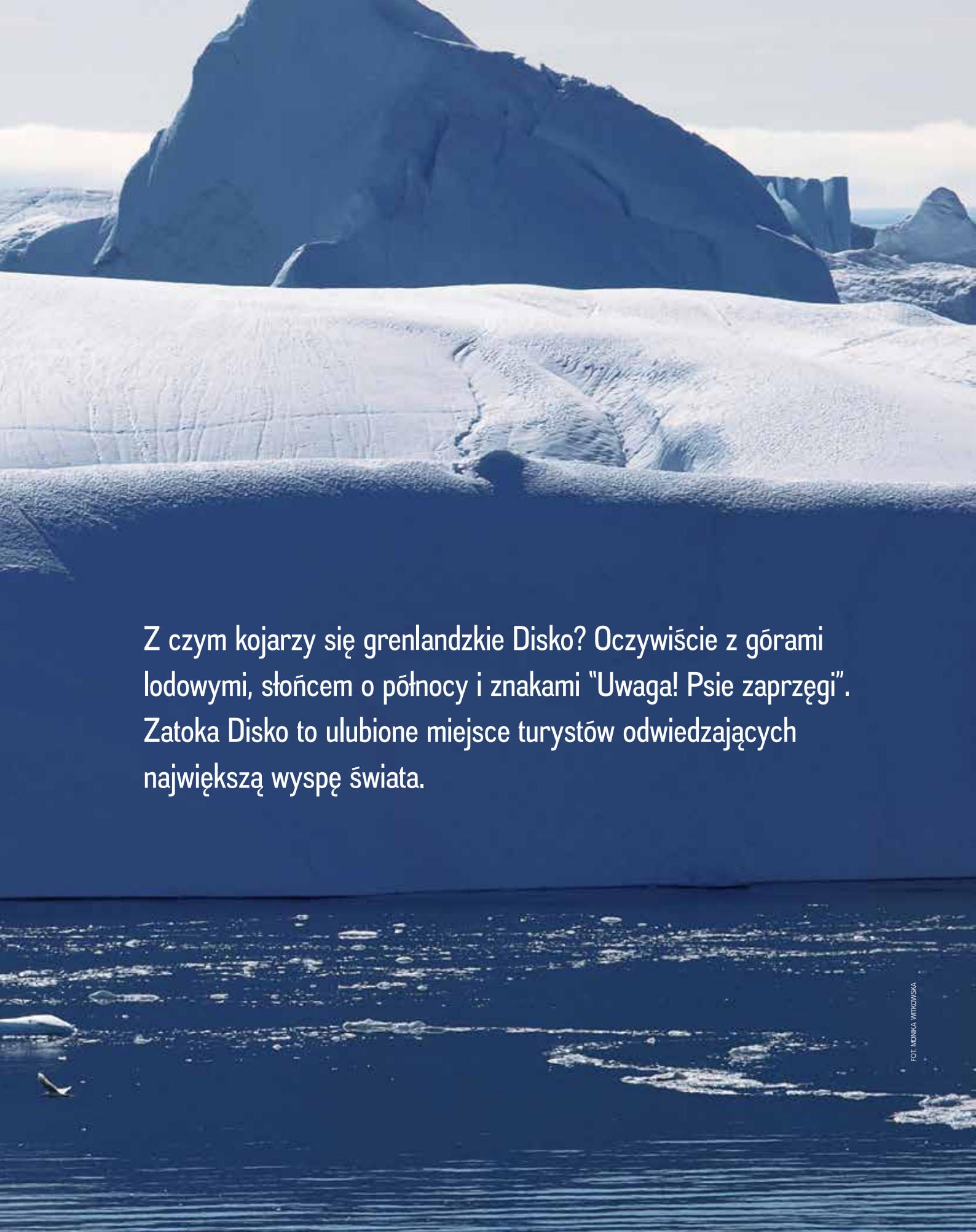
WYSPY I WYSEPKI | Grenlandia

Monika Witkowska

DISKO

pod biegunem





Z czym kojarzy się grenlandzkie Disko? Oczywiście z górami lodowymi, słońcem o północy i znakami "Uwaga! Psie zaprzęgi". Zatoka Disko to ulubione miejsce turystów odwiedzających największą wyspę świata.



W Ilulissat, największym porcie Zatoki Disko, położonym 200 kilometrów na północ od Koła Podbiegunowego, mieszka 4500 osób i 3500 psów. Jeszcze do niedawna proporcje były odwrotne, ale od pewnego czasu skutery śnieżne wypierają psie zaprzęgi. Mimo to wciąż na skrzyżowaniach miejskich ulic nie ma świateł. Za to – jak wisiły, tak wiszą – znaki ostrzegające przed saniami ciągniętymi „co pies wyskoczy”.

NIE POGADASZ

Tutejsze psy mają zawadiackie spojrzenie i grube, kudłate futro. To psy rasy grenlandzkiej – jedynej tu dozwolonej. Lokalne prawo mówi wyraźnie: na zachodnim wybrzeżu, na północ od linii Kręgu Polarnego, można trzymać tylko takie. I nie można ich hodować nigdzie indziej na całej Grenlandii.

Kiedy widzę chłopaka ze strzelbą na ramieniu wsiadającego na łódź, nie mam wątpliwości, dokąd i po co się wybiera.

– *Weźmiesz mnie ze sobą?* – pytam. Minu-

tę później siedzę w małej łodzi i wypływamy z portu, lawirując między bryłami lodu. Chłopak ma skośne oczy; od razu widać, że jest Inuitą. Określenia „eskimos”, choć to w naszym mniemaniu to samo – miejscowi raczej nie lubią. Najchętniej mówią o sobie Kalaallit Nunaat. Niestety, niełatwo się z nimi dogadać, bo większość mówi wyłącznie po grenlandzku. Ci bardziej wyedukowani znają też duński (bądź co bądź, Grenlandia to wyspa należąca do Danii), choć bywa, że ze względów politycznych i tak nie chcą się nim posługiwać.

PSY RASY GRENLANDZKIEJ

Takie pieski można hodować tylko
na północy wyspy.

Duńczycy, których na 60-tysięcznej wyspie jest zdecydowana mniejszość, nie znają z kolei grenlandzkiego. Nic dziwnego – to wyjątkowo trudny język. Proste dwa słowa „przepisy celne” po grenlandzku pisze się tak. „Akitsuuteqanngitsumik pi-siarisinnaasat”. Co ciekawe, nie ma w tym języku litery „C”.

GIGANT SIĘ CIELI

Mija półtorej godziny, a my nic, tylko wypatrujemy fok i upajamy się ciszą. Szczerze mówiąc, wcale nie chcę, by mój inuicki kapitan zabił którąś z nich. Rozumiem, że to element tutejszej tradycji, ale oddycham z ulgą, kiedy chłopak pudłuje raz, a potem drugi – przez co foka nurkuje, skutecznie unikając kuli.

– *Wiesz co, pal sześć polowanie. Popłyniemy do Iceffordu* – decyduje w końcu młodzieniec. Icefford, czyli po prostu lodowy fiord, to największa miejscowa atrakcja. Utworzył go topniejący lodowiec. Przed tysiącami lat czoło lodowca było tuż przy oceanie – teraz jest prawie 60 km w głębi lądu. Jest to lodowiec bardzo aktywnie „cielący się”, co oznacza że co i rusz oddzielają się od niego wielkie lodowe bloki. Icefford wypełniony jest lodowo-śniegowymi tworami, majestatycznie sunącymi w stronę morza. Niesione przez prądy morskie góry mogą dotrzeć zaskakująco daleko. Ponoć to właśnie stąd pochodziła góra lodowa, na której rozbił się „Titanic”. Rekordzistki widziano nawet przy północnych wybrzeżach Norwegii (czyli musiały opłynąć Grenlandię dookoła), a na południu – aż w rejonie Azorów.



FOT. MONIKA WITKOŃSKA

Wypływających z Iceffordu gór lodowych jest tyle, że – jak wyliczono – mogłyby zaspokoić roczne zapotrzebowanie Stanów Zjednoczonych na wodę. Również miejscowi doceniają jej zalety.

– *Ta wytopiona jest o niebo lepsza od kranówki!* – mówi rybak, który właśnie wrócił z morza z wanienką wypełnioną lodowymi bryłami. Eksport lodu to niezły biznes. Grenlandczycy są dumni, że ich lód, taki z pęcherzykami powietrza w środku, wysła się na przykład do Japonii, gdzie służy jako ekskluzywny dodatek do drinków. Nowym pomysłem jest woda z lodowca wysyłana do Emiratów Arabskich. Cena jednej butelki to równowartość 100 zł! Tymczasem, w grenlandzkich supermarketach, zamiast lokalnej wody jest wyłącznie mineralka sprowadzana z Danii.

LODY ŻEGLUJĄCE

W absolutnej ciszy, potężne lodowe góry żeglują na południe – ku swemu przeznaczeniu... Niekiedy jest nim szklaneczka z whisky.



FOT. MONIKA WITKOŃSKA

GIGANT SKRYWA SWĄ POTĘGĘ

Niczym okręt widmo, paradytuje przed
nami wielka bryła lodu.



UWAGA, TSUNAMI!

Góry lodowe są niesamowite! Wielkie, każda inna. Są wśród nich niby-baszy, lodowe mosty, piramidy, a także sfinksy. Aż trudno uwierzyć, że to, co widzimy stanowi zaledwie 1/9 część takiego tworu natury. Reszta schowana jest pod wodą. Blok lodowy, wystawiony na działanie słońca, fal, temperatury – stale „pracuje”. Świadczą o tym trzaski, niekiedy – potężny huk, zapowiadający pęknięcie i przewrócenie się kolosa. Konsekwencją może być całkiem spora fala. Kiedyś takie dwumetrowe „tsunami” (w dosłownym tłumaczeniu z japońskiego tsunami to „fala portowa”) spowodowało duże straty właśnie w porcie. Turystów ostrzega się,

aby nie schodzili nad sam brzeg fiordu, bo mogą zostać zmyci.

Nie tylko od strony wody można oglądać Icefjord. Ze zboczy okolicznych wzgórz, na których wyznaczono szlaki turystyczne, najlepiej go podziwiać o zachodzie słońca, kiedy to śnieg przybiera różowawo-pomarańczowy odcień.

Oczywiście, podczas arktycznego lata słońce w ogóle nie znika za linią widnokładu.



STEK Z WIELORYBA

Nieudane polowanie na foki miało miejsce podczas mojego pierwszego pobytu w Ilulissat, kiedy podróżowałam po Grenlandii w pojedynkę, z namiotem, przemieszczając się „statkostopem”. Dziesięć lat później wracam do Ilulissat – tym razem na pokładzie polskiego jachtu „Solanus”. Ze względu na konieczność remontu silnika, spędzamy w tym porcie aż 3 tygodnie. Efekty polowań na foki widzę codziennie, bo mięso zabitych zwierząt sprzedawane jest na tutejszym bazarku. Ponieważ nie gustujemy w jedzeniu fok, znajomy rybak obdarowuje nas czerwonym, przypominającym wołowinę mięsem wieloryba, doradzając aby zrobić z niego steki. Wiem, że niektórzy będą rzucać na mnie gromy, ale dla miejscowych Inuitów to tradycja.

Na Grenlandii bardzo pilnuje się limitów przydzielonych na mocy międzynarodowych konwencji. W ubiegłym roku oznaczało to możliwość zabicia 18 waleni dużych (głównie z gatunku wali grenlandzkiej) i 42 małych, do których należy m.in. narwał czy białucha.

– *My nie łowimy wielorybów na przemysłową skalę, tak jak na przykład Japończycy. Mięso idzie wyłącznie na lokalny rynek, bez prawa jego eksportu* – tłumaczy kapitan kutra stojącego obok naszego jachtu.

O wielorybniczych tradycjach przypomina prowadząca do miejscowego muzeum brama zrobiona z wielorybich szczęk. Budynek muzeum to dom, w którym w 1879 roku urodził się Knud Rasmussen, wykształcony później w Danii Inuita, słynny ze swoich licznych arktycznych wypraw i badań geograficzno-kulturowych.

NIE MIESZKAMY W IGLOO!
GRAMY W NOGĘ!

Jacy są dzisiejsi Inuici? Najlepiej mówią o tym sprzedawane w sklepach z pamiątkami koszulki: „Nie mieszkamy w igloo, nie całujemy się nosami”. W Ilulissat duża ich część mieszka w blokach, pozostali – w kolorowo pomalowanych domkach. Na co dzień chodzą ubrani jak my, chociaż w domach mają tradycyjne stroje i zakładają je od święta.

Mam szczęście: trafiam na uroczystość w miejscowym kościele (luteranśkim, bo to właśnie wyznanie na Grenlandii dominuje) i część osób

TRADYCYJNY
STRÓJ INUICKI

Miejscowi zakładają go tylko w niedzielę.



FOT. MONIKA WITKOWSKA

ma na sobie sztywne buty z foczej skóry. Do tego – panie – kolorowe bluzy, panowie – białe anoraki z kapturem. Są też dziewczęta z medalami na szyi. Okazuje się, że to zawodniczki miejscowego klubu piłkarskiego, dumne ze zwycięstwa w turnieju. Piłka nożna to na Grenlandii najbardziej popularny sport, także wśród dziewcząt.

MAŁE PIWO W DUŻEJ CENIE

Część uczestników niedzielnej mszy spotykam później w dyskotekce. Przychodzę wraz z kolegami ze szwedzkiego jachtu – chcę zobaczyć jak wygląda „disco w Disko”. Na zewnątrz, mimo północy jest oczywiście jasno, w zaciemnionym wnętrzu pulsują zaś dyskotekowe światła.

Ludzi pełno, turystów mało. Obok młodych dziewczyn w bluzkach z cekinami, pływają faceci z fabryki ryb w kombinezonach. Pełny przekrój wiekowy i zawodowy.



A LODOWIEC PŁYNIE
Jak uchwycić ten powolny ruch na zdjęciach?!



FOT. MONIKA WITKOWSKA

Co chwila ktoś do nas podchodzi, pyta skąd jesteśmy. Większość rozmówców ledwo trzyma się na nogach, co przy tutejszych cenach alkoholu jest dość zaskakujące. Nawet kolega Szwed dziwi się rachunkiem, który dostaje po spontanicznym ogłoszeniu, że funduje całej ekipie piwo. Jedna mała butelka (0,25 l) to równowartość 75 zł! Alkoholizm, związany z tym przemoc w rodzinie, rozwody, nieplanowane ciąży (często w bardzo młodym wieku), a także liczne samobójstwa – to poważne problemy inuickiego społeczeństwa.

MOŻE BYĆ DRAKA PRZEZ TUPILAKA

W Ilulissat jest o tyle dobrze, że odnotowuje się mniejszy niż w innych miejscach Grenlandii procent bezrobocia. Rozwija się przetwórstwo ryb i krewetek, przyjeżdżają turyści.

Wprawdzie stolicą Grenlandii jest Nuuk (na-

zwa inuicka, po duńsku Godthab), ale Ilulissat to niekwestionowana stolica turystyczna.

Wprawdzie biura podróży prowadzone są wyłącznie przez cudzoziemców, ale wielu miejscowych znajduje w nich pracę. Natomiast warsztat produkcji tupilaków prowadzony jest przez rodowitych Inuitów. Chodzi o figurki, które według dawnych inuickich wierzeń miały magiczną moc. Wysłane do nieprzyjaciół, były w stanie zabić. Zawsze jednak trzeba było liczyć się z tym, że wróg może posiadać jeszcze silniejsze moce i tupilak, niczym bumerang, wróci do nadawcy.

OTWARTE DRZWI

Ilulissat to nazwa lokalna, oznaczająca lodowe góry. Na duńskich mapach port ten nazywa się Jacobshavn, co po duńsku znaczy „port Jakuba”. Już po tygodniu pobytu znam każdy zakątek tej miejscowości, mogę zdradzić, gdzie rosną najlepsze

BRAMA Z WIELORYBIEJ SZCZĘKI W ILULISSAT

Najbliższa redakcji wielorybia szczęką znajduje się w klubie Zejman na gdańskiej Wyspie Spichrzów – 8 km na północny-wschód od siedziby Poznaj Świat.



PIKNIK POD PŁYNĄCĄ GÓRĄ

Ciągle zmieniający się widok z namiotu.

arktyczne jagody, mam też swoje ulubione miejsce nad Icefjordem i wiem gdzie da się zauważyć niewielkie ślady prehistorycznej wioski sprzed 4,5 tysiąca lat (także dzięki tej osadzie, zwanej Sermermiut, wpisano Icefjord na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO).

Robię wypad na drugą stronę zatoki, na Wyspę Disko. Przeprowa promem zajmuje bite trzy godziny, po których wysiadam w niewielkim miasteczku Qeqertarsuaq (nazwa duńska: Godhavn, czyli „dobry port”).

Trafiam do Arctic Station – placówki naukowej należącej do Uniwersytetu w Kopenhadze, chociaż przyjeżdżający do pracy stypendyści pochodzą z najróżniejszych krajów świata. Szefowa stacji, przemiła Outi, zajmuje się tematem wielorybów, ale są też botanicy, klimatolodzy i specjaliści innych dziedzin. Outi okazuje się niezwykle uczynna. Słyszając, że nie mam jeszcze pomysłu na nocleg, udostępnia mi za darmo luksusowy domek z widokiem na ocean. To nic, że mnie właściwie nie zna. Kiedy pytam o klucze, nie kryje zdziwienia. Tu domów się nie zamyka...

A JEDNAK GREEN

Kolejne dni wykorzystuję na wycieczki trekkingowe. Zdziwiam mnie bogata roślinność. Teraz już wiem, że nazwa „Greenland” oznaczająca „zielony ląd”, jest jak najbardziej uzasadniona. Owszem, 85% powierzchni głównej wyspy stanowi lądolód, z lodem o grubości nawet 3 km, ale na skalistych wybrzeżach nie brak wcale zieleni. Wyspa Disko to już w ogóle arktyczny raj.

– *Występuje tu połowa gatunków roślin, które są w europejskiej Danii. Mamy nawet 3 gatunki orchidei!* – mówi mi Outi. Owszem, nie ma drzew (trudno uznać za drzewo krzakowatą wierzbę arktyczną), za to niezwykle wrażenie robią kwiatowe pola czy też soczystozielone dywany mchów. Zielen jest jednak tylko na poziomie morza. W ciągu 3 godzin wędrówki czy też po 5 minutach lotu helikopterem, znajdziemy się 900 metrów wyżej, na wysokogórkim płaskowyżu pokrytym przez

lodowiec. Poza widokami, powód zdobywania lodowca to możliwość przejażdżek psimi zaprzęgami, nawet w środku lata.

Sposób zaprzęgania psów – zupełnie inny niż w Europie, gdzie stosuje się system przypominający „choinkę”. Tu psy biegną tworząc układ „wachlarza” czy „spadochronu”.

– *Ponieważ macie lasy, psy muszą zmieścić się na wąskiej drodze. U nas nie ma ograniczeń przestrzeni, a poza tym, kiedy psy biegną po lodowym paku pokrywającym morze, a któryś wpadnie do wody – pozostałe go wyciągną.*

Uczę się komend, za pomocą których steruje się psami: „Ili, ili” – każe im skręcić w prawo, „iu, iu” – w lewo, „amma” to sygnał do startu, zaś do zatrzymania wzywa okrzyk „unigiit” albo... zwykle „stop”.

Patrzę jak powożący z czułością głaszcząc łasząc się zwierzęta.

– *Podobno kiedyś na Grenlandii jadano się psy? – nie mogą się powstrzymać.*

– *To przeszłość! Teraz przestaliśmy nawet używać psich skór do wykładania sań!* – słyszę w odpowiedzi.

Następnego dnia wracam do Ilulissat. Kapitan promu zaprasza mnie do sterówki pokazując wieloryby puszczające fontanny pary. Potem wyciąga album ze zdjęciami – najbardziej dumny jest z tych, na których pozuje z upolowanym niedźwiedziem polarnym. To jednak na dalekiej północy. W Ilulissat niedźwiedzi nie ma. Są jedynie turyści, którzy sprawiają, że miasteczko zmienia się w szybkie tempie. Na polu namiotowym, gdzie kiedyś noco- wałam nie było nikogo – teraz, wyrosło całe namiotowe miasteczko.

– *Może następnym razem jak tu wrócę, będziecie mieli Mc Donald'sa?* – śmieję się.

– *Oby nie!* – Grenlandczycy nie są do tego wcale chętni. Ale chiński bar sprzedający sajgonki – już w miasteczku działa... ○



NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady



CZERWONY KLASZTOR



49°24' N 20°25' E

5 km na południowy-zachód od Szczawnicy, na drodze do Spiskiej Starej Wsi

Czerwony Klasztor – niewielka miejscowość nad Dunajcem swoją nazwę wzięła od klasztoru braci kartuzów, zbudowanego w XIV wieku na handlowym szlaku z Węgier do Polski, w miejscu przepraw przez rzekę. Zakonnicy – po kartuzach osiedli tu kameduli – przebywali tu do likwidacji klasztoru w 1782 roku. W ubiegłym wieku gotycka budowla została starannie odnowiona. Na szczególną uwagę zwiedzających zasługuje czternastowieczny, jednonawowy kościół świętego Antoniego. Warto też odwiedzić mieszczące się w pomieszczeniach klasztornych muzeum regionalne, którego zbiory dotyczą dziejów aptekarstwa, lecznictwa klasztornego i alchemii. Bowiem, jak wieść niesie, w klasztorze poszukiwano eliksiru młodości. Zajmował się tym brat Cyprian – postać szeroko znana w XVIII wieku na Spiszu i Podhalu – lekarz, cyrulik i aptekarz, autor jednego z najstarszych zachowa-

nych zielników z roślinami tatrzańskimi. Mówiono o nim Latający Mnich, przypisując mu loty nad Pieninami i Tatrami na zbudowanej przez siebie lotni. Według miejscowej legendy to jego postać została zamieniona w skalny głaz nad Morskim Okiem, nazwany Mnichem.

Do Czerwonego Klasztoru najprzyjemniej wybrać się ze Szczawnicy Pienińskim Szlakiem, wytyczonym wzdłuż prawego brzegu Dunajca. Droga, udostępniona pieszym i rowerzystom, pozwala podziwiać wspaniałe widoki na Trzy Korony i przełom rzeki.



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. SHUTTERSTOCK



Wina z Mełnika

Najlepsze wina pochodzą z Mełnika. To miasteczko (najmniejsze w Bułgarii, liczy niespełna 300 mieszkańców) leży w wąskiej dolinie zamkniętej pasmami żółtych piaskowych gór, po których stromych ścieżkach ostrożnie stąpają stada kóz. Po dwóch stronach wyschniętej rzeczki piętrzą się kysztzy – stare domy z wielkimi wykutymi w skale piwnicami, w których mieściły się winne magazyny dawnych właścicieli – zanim domy te i ich zimne piwnice zostały zamienione w muzea. Tak stało się z domem-pałacem kupca Kordopulosa zbudowanym w XVIII w., kiedy Mełnik i jego sztuka produkcji win czyniły z małej i sennej dziś osady znany w innych krajach ośrodek winiarstwa.

Jednak Mełnik to nie tylko muzealne winiarskie ekspozycje. W małych mechanach, gdzie przed wejściem stoi przykryty pasiasty obrusem stół i dwie – trzy ławki, sprzedaje się i dziś gościom wino domowej produkcji. Wąsaty Bułgar zza lady, nad którą wisi portret jednego z miejscowych bohaterów, na poły partyzanta, który starał się wygonić z kraju Turków – nalewa do glinianych czaszek własnej produkcji wino. Słodkie i gęste. Prosto z kanistra. (E.S.)



41°31' N 23°24' E

Najbliższe lotnisko: Sofia

Kosmos w rezerwacie



52°29' N 16°54' E

peryferyjna część Poznania,
przy północnej granicy miasta

W Morasku, na północy Poznania, znajduje się niezwykle miejsce – jedyne takie w Polsce i bardzo rzadkie w Europie. Tutaj przez pięć tysięcy lat upadł meteoryt.

Pierwszym śladem wskazującym na to wydarzenie był kawałek czarnej skały, znaleziony w 1914 roku przez niemieckiego żołnierza podczas budowy wojskowych umocnień. Od tego czasu znaleziono kolejne skalne fragmenty zawierające krzemiany – związki nie występujące na Ziemi. Największy, odkryty w 2006 roku, po oczyszczeniu ważył ponad 160 kilogramów!

Świadectwem upadku meteorytu jest

również siedem kraterów. Największy z nich – o głębokości 11 metrów i średnicy 30 metrów – to niepozornie wyglądające śródleśne jezioro. W 1976 roku teren gdzie się znajdują kratery został objęty ochroną jako rezerwat przyrody „Meteoryt Morasko”. Są plany, by powstało tu centrum edukacyjne eksponujące kosmiczne znalezisko.

Do rezerwatu dojechać można miejskim autobusem nr 88. Z końcowego przystanku ulicą Meteorytową skierować się na zachód, wprost do rezerwatu, a tam żółte szlaki poprowadzą do kraterów.

Wiele kapliczek

Wiele to kaszubska wieś położona malowniczo nad dwoma jeziorami, Wielkim i Ciepłym. Znajduje się tu kościół Św. Mikołaja z XVIII w. z cudownym obrazem Matki Boskiej Pociesznej. Największą atrakcją Wiele jest położona na wzgórzach kalwaria, do której prowadzi droga pomiędzy jeziorami. Kalwaria powstała w latach 1915-1927, w jej skład wchodzi 21 kapliczek oraz rzeźb, a także „święte schody” liczące 53 stopnie (tyle, ile „zdrowasiek” zawiera różaniec) oraz drewniana pustelnia.

Cała kalwaria znajduje się w lesie, harmonijnie wkomponowana między drzewa. W Wiele odbywają się dwa odpusty: Wielki, w święto wniebowstąpienia Pana Jezusa (w maju) oraz Mały, w uroczystość Matki Bożej Pociesznej (w tym roku 4-12 czerwca).

 53°55' N 17°51' E

70 km na południowy-zachód od Gdańska



Dania Bornholm

 55°4' N 14°55' E

108 km na północny-zachód od Kołobrzegu

NaturBornholm – w krainie dinozaura

Na duńskiej wyspie Bornholm, w miejscowości Aakirkeby znajduje się niezwykle, interaktywne muzeum naturalne NaturBornholm. Oferuje ono dzieciom i dorosłym ekscytujące przygody. Wśród nich podróż w maszynie czasu, kontakt z żywymi zwierzętami, przeskok w historii Ziemi przez 1200 mln lat! Tu spotkacie dinozaura, przeżyjecie trzęsienie ziemi, odczujecie potęgę działania lodowców, zobaczycie jak powstają morskie fale, staniecie oko w oko z mieszkańcami Bałtyku. W tym sezonie NaturBornholm proponuje nową, ekologiczną atrakcję, przejażdżkę mini-samochodem elektrycznym. Muzeum można zwiedzać z polskim przewodnikiem.

Dodatkowo, NaturBornholm organizuje w każdy piątek lipca i sierpnia ekspedycję z polskim przewodnikiem, w poszukiwaniu geologicznych skamieniałości. W ciągu dwugodzinnej wycieczki, uczestnicy znajdą unikalne bornholmskie pamiątki – skamieniałości graptolita, trylobita, ortocerasa lub brachiopoda. Zobaczą też najpiękniejszy wodospad na Bornholmie i wezmą udział w ekspresowym kursie rozpoznawania bornholmskich skał.

Informacje po polsku, kontakt:

www.naturbornholm.dk, www.bornpol.dk





Aby obserwować zmiany w Egipcie, wystarczy być w jednym miejscu: na Placu Tahrir w centrum Kairu. Tu stoi ogromny budynek Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, budynki Uniwersytetu Amerykańskiego i Muzeum Egipskie ze skarbami Tutanhamona.

Tomasz Herbich

PLAC TAHRIR



PIERWSI Z TAHRIR

Demonstracje antyrządowe zaczęła garstka młodych Egipcjan. Z każdym dniem było ich więcej. Gdy padli pierwsi zabici, protesty ogarnęły cały kraj.

Plac tradycyjnie jest miejscem wszelkiego rodzaju demonstracji, dotychczas szybko i sprawnie rozprawianych przez policję prezydenta Mubarak. Właśnie tu zaczynają zbierać się młodzi ludzie, zwołujący się przez internet na Facebooku i Twitterze. Każdego dnia jest ich więcej. Wzorem protestujących w Tunezji, żądają ustąpienia prezydenta.

W Egipcie jestem od 15 stycznia. Kiedy uspokajam przez telefon rodzinę w Warszawie, porównuję demonstracje na Tahrirze do „ustawek” kibiców piłkarskich: znani przeciwnicy, znane miejsce starcia i znana godzina. A jednak! Gwałtowna eskalacja protestów następuje 25 stycznia. Ta data trafi do egipskich podręczników historii jako początek rewolucji. Na ten dzień zwołany zostaje powszechny wiec pod hasłem: Mubarak musi odejść! Uczestnicy – a jest ich już kilkanaście tysięcy – zostają brutalnie zaatakowani przez policję. Padają pierwsi zabici. Demonstranci decydują jednak wracać na plac każdego dnia, aż do upadku reżimu. Protest zaczyna roznosić się po Egipcie. Pierwszym jego przejawem są masowe ataki na posterunki znienawidzonej policji, która tu zawsze odnosiła się do swoich obywateli w sposób władczy i pogardliwy.

Plac Tahrir trafia na czołówki gazet całego świata. Groza wiejąca z informacji prasowych i zdjęcia zająć na placu, zupełnie nie przystają do reszty miasta żyjącego swoim rytmem, zapętlonego w korkach samochodowych, jak zawsze hałaśliwego. Dzielnica w której mieszkam, Heliopolis zawsze była tzw. dobrym adresem. Bez przemysłu i biedoty, głównie rezydencjonalna, nigdy nie była terenem rozruchów. Atmosferę rewolucji dostarczają media. Na ulicy się jej nie czuje. Chyba, że na Tahrirze.

NIE MA WOLNOŚCI BEZ ŁĄCZNOŚCI

Przełom następuje w chwili, gdy chcąc uniemożliwić demonstrantom ustalanie kolejnych ruchów, władze blokują dostęp do internetu, a w Kairze i okolicach wyłączają, powszechne tu, telefony komórkowe. To wydaje się być pierwszy punkt przełomowy rewolucji. Zaczyna ona dotyczyć wszystkich. Wszystkich też dotyka godzina poli-

cyjna. Drugim punktem przełomowym jest próba zastraszenia obywateli falą rabunków. Policja przestaje pilnować więzień. Z aresztów ucieka przeszło 20 tys. przestępców. Przyjaciele mieszkający w Maadi – dzielnicy po południowej stronie Kairu, gdzie domy ma większość dyplomatów, przeżywają noc grozy: rabowanie sklepów, podpalenia, strzelaniny. W niektórych kamienicach mieszkańcy leżą godzinami na podłodze w obawie przed zbłąkaną kulą. Ta noc sprawia, że wielu obcokrajowców decyduje się wyjechać z Kairu.

PONAD HAOSEM

Rewolucja egipska nie zagroziła zabytkom. Tak, jak nienaruszony przetrwał zamieszki pomnik Augusta Mariette'a założyciela Muzeum Egipskiego.



FOT. TOMASZ HERBICH

Po wycofaniu się policji z ulic i idącej za tym fali rabunków, wojsko wydaje apel, by obywatele sami zorganizowali strażę pilnującą bezpieczeństwa. Dowiaduję się o tym wieczorem i wtedy dopiero pojmuję to, co zauważyłem wracając po południu do domu. Zaintrygowali mnie stojący na skrzyżowaniu mężczyźni z kijami, odrąbanymi nogami od stołów, metalowymi prętami. Starali się zablokować ulicę. Czymkolwiek. Przydatne były deski z rusztowań, belki, prowizoryczne płoty. Nowych strażników było jeszcze niewielu, ale już byli.

Wieczorem oglądamy w telewizji przemówienie Mubarak. Nie zamierza ustąpić! Dla dobra kraju. Poza tym okazuje się, że sympatyzuje z demonstrantami, słusznie żądającymi reform. Zapowiada nawet ich przyspieszenie i powołanie nowego rządu. Do pełnej wiarygodności brakuje mu tylko ciemnych okularów...

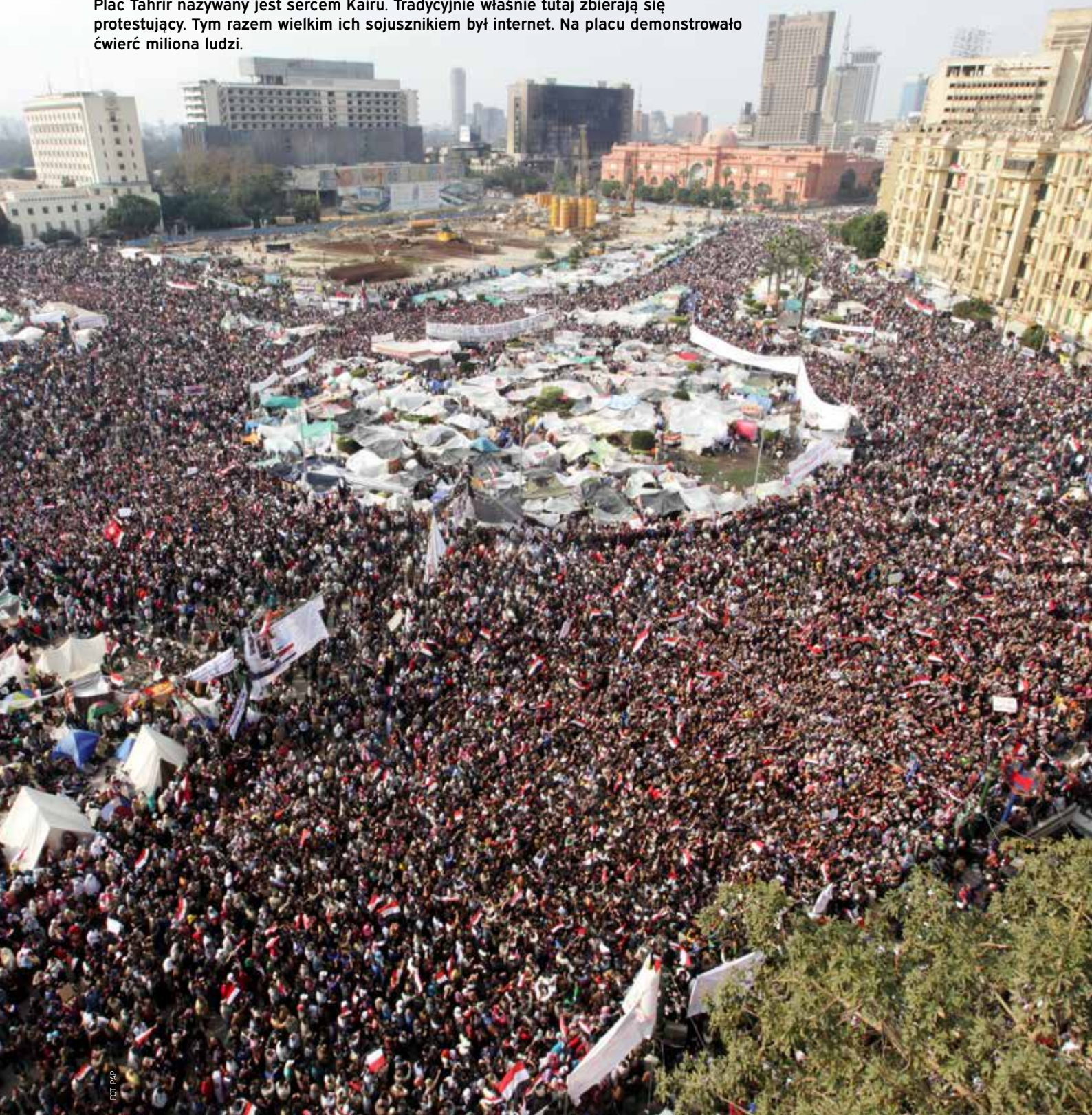
MOJA ULICA MOJĄ TWIERDZĄ

Przerywam obserwację rewolucji, nie jestem korespondentem lecz archeologiem. Przyjaciół odwozi mnie na lotnisko. Nie obawiamy się godziny policyjnej. Samolot ma wylecieć o 10 wieczór, mamy więc dobre wytłumaczenie dla wojska (na ulicach nie ma już śladu po policji). Przy dojeździe do lotniska stoi wóz pancerny, wojskowi zaglądają do samochodów.

Mój lot, jak i sporo innych, jest jednak odwołany. Robię rezerwację na następny dzień, ze współczuciem patrząc na tłum koczujący po kątach i wracam na Heliopolis. Jednak ulice z wolna stają się nieprzejezdne. Poprzegradzane prowizorycznymi przeszkodami i strzegącymi ich grupami uzbrojonych w co się da mężczyzn, stają się pasem ciągłych kontroli. Co chwila musimy stawać, tłumaczyć kim jesteśmy, gdzie i dlaczego jedziemy. Czasem musimy jeszcze pokazywać zawartość bagażnika. Bojący się rozboju mieszkańcy, nie pozwalają wjechać nikomu, kto nie potrafi przekonująco

PROTEST Z SIECI

Plac Tahrir nazywany jest sercem Kairu. Tradycyjnie właśnie tutaj zbierają się protestujący. Tym razem wielkim ich sojusznikiem był internet. Na placu demonstrowało ćwierć miliona ludzi.



FOT.PAP

POLSKI ŚLAD

Wśród postaci zasłużonych dla egipskiej archeologii jest także prof. Kazimierz Michałowski, najwybitniejszy polski egiptolog. Jego popiersie (z ciemnego kamienia) szczęśliwie przetrwało uliczne zamieszki.



FOT. TOMASZ HERBEN

wytłumaczyć, gdzie i po co jedzie. Uśmiecham się ufnie do strażników, przyjaciel bardzo spokojnie tłumaczy kim jesteśmy i gdzie mieszkamy. Jedziemy 50 metrów – i sytuacja się powtarza.

W tym momencie dociera do mnie po raz pierwszy to, że reżim Mubarak może upaść. Jeśli ci ludzie potrafili tak masowo zorganizować się, by strzec bezpieczeństwa własnych ulic, to będą też wiedzieli jak strzec własnej przyszłości!

WIELBŁĄDEM W TŁUM

Sytuację w Kairze mogę już tylko śledzić w telewizji. Nie wiem czy stacje pokazywały wcześniej to, co dziś podkreślane jest w gazetach egipskich i przypominane niemal codziennie. Szarże w tłum wielbłądów i koni, na których siedzieli przekupieni przez policję poganiacze, na co dzień fotografujący się z turystami pod piramidami w Gizie; bitwy pomiędzy protestującymi a grupami zwolenników Mubarak, sformowanych głównie z policyjnych tajniaków i przebranych w cywilne ubrania policjantów. Protesty ogarniają wszystkie

ODPOCZĄĆ OD REWOLUCJI

Telefony stacjonarne na szczęście działają, mogę więc zadzwonić do Warszawy. Rano idę przejść się jeszcze po okolicy. Pod pałacem prezydenckim stoją czołgi. Sklepy w większości zamknięte. Te, które nie mają żaluzji, są opróżnione z towaru, wywiezionego przez właścicieli. Czynnych jest kilka spożywczych. Pod piekarniami tłumy ludzi. Jest spokojnie, ale to już inne miasto.

Na lotnisko jadę przed godziną policyjną i kożuję w tłumie do czasu odlotu. Lot jednak jest znów odwołany. Szukam miejsca gdzie mógłbym się przespać. Dobrze że mam śpiwór, bo noc jest chłodna. Obok mnie śpi na posadzce grupa wiekowych Francuzów. Rano spostrzegam u jednego z nich baretkę Legii Honorowej. Gdy staram się czegoś dowiedzieć o szansach wylotu widzę, że mają bilety pierwszej klasy – wobec rewolucji stajemy się równi. Z Kairu udaje mi się wylecieć czwartego dnia, po dwóch nocach spędzonych na lotnisku.



FOT. PAP

większe miasta Egiptu, ofiary padają w Aleksandrii i Suezie. Najbardziej powszechnym celem ataków są siedziby rządzącej partii i posterunki policji. W Aleksandrii z pożogi ocalał tylko jeden komisarjat. Wobec groźby ogólnokrajowego powstania i całkowitej utraty kontroli nad procesem zmian, 11 lutego Mubarak ustępuje i armia przejmuje władzę. Telewizje pokazują radość tłumów. Od przyjaciół uczestniczących w demonstracji radości pod pałacem prezydenckim w Heliopolisie wiem, że tańczono w rytm bębnów i krzyczano: ana Masri – jestem Egipcjaninem, jalla Misr – na przód Egipcje. Uderza ogromny patriotyzm protestujących, podkreślanie na każdym kroku miłości do własnego kraju, z typową dla Egipcjan afekcją.

FESTYN WOLNOŚCI

Do Kairu wracam po dwóch tygodniach. Jadę na Tahrir, gdzie wciąż koczują ludzie. Obchodzę gmach telewizji otoczony kordonem czołgów. Atmosfera pikniku. Ludzie robią sobie zdjęcia z żołnierzami, dookoła sprzedawcy napojów i orzeszków. Handluje się też pamiątkami rewolucyjnymi: zawieszkami na szyję, ze zdjęciami kilku (spośród przeszło 300) poległych podczas zamieszek, flagami Egiptu, opaskami na włosy w barwach flagi. Wszyscy są życzliwi i uśmiechnięci. Żadnego strachu. Znajoma robi sobie zdjęcie

zwisając na lufie czołgu. Obok Muzeum Egipskiego straszy czarnymi otworami okien, wypalony budynek siedziby rządzącej do niedawna partii. Korzystając z chaosu podczas pożaru tego właśnie gmachu, do sąsiadującego z nim muzeum wdarli się rabusie. Na szczęście wiele nie ukradli, ale zdjęcia potłuczonych gąbłot obiegły cały świat i były przejmującym świadectwem ślepego wandalizmu: więcej obiektów zniszczono niż skradziono. Jednak jestem pewien, że w wielu galeriach na świecie kustosze działów sztuki egipskiej tego dnia wznosili szampana: Egipcjanie stracili moralne prawo żądania zwrotu zabytków wywiezionych z Egiptu. Popatrzcie: przecież tam grozi im zagłada! Nefertiti pozostanie w Berlinie, w Luwrze strop zodiakalny z Dendery, kamień z Rosetty w British Museum.

UDOKUMENTOWAĆ REWOLUCJĘ

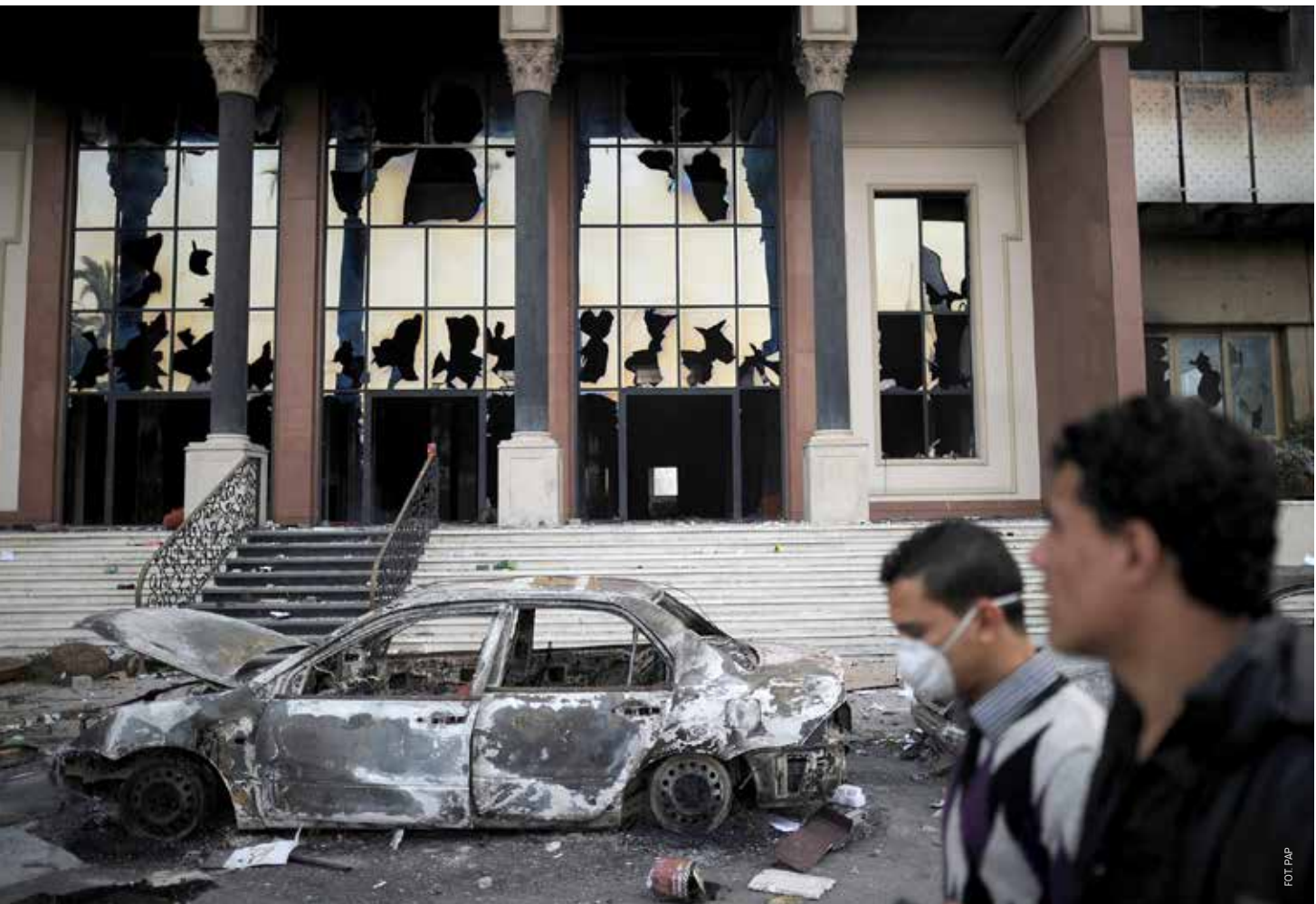
Egipt wkracza na mozolną drogę do demokracji. Stało się coś, czego przed rokiem nie spodziewali się najbardziej przenikliwi analitycy. Znajomy francuski politolog, zafascynowany rewolucją, przyjechał w ramach urlopu, by ją naocznie obserwować, choćby przez kilka dni..

Egipcjanie świadomi są wyjątkowości swej rewolucji. Na Uniwersytecie Amerykańskim w Kairze, najlepszej uczelni na Bliskim Wschodzie,

DO BRONI!

Ani czołgi, ani szarże wielbłądów nie złamały oporu protestujących.





FOT PAP

CZAS NA PORZĄDEK!

Sprzątanie po protestach to także element nowego ładu. Egipt ma być czysty.

w następnym semestrze mają być prowadzone seminaria o rewolucji. Na Uniwersytecie Kairskim, największej uczelni w regionie (200 tys. studentów), powstaje centrum dokumentacji rewolucji. Zbierane będą wszelkie dokumenty, analizowane świadectwa, opisane ofiary. Do otwartego konkursu na stworzenie strony internetowej tego centrum zgłosiło się z całego Egiptu 22 tys. studentów! Wszyscy zdają sobie sprawę ze znaczenia, jakie w zawiązaniu protestu odegrał Internet. Teraz będzie służył obserwacji i analizie działań nowej władzy. Miarą jego popularności jest informacja w *Egyptian Gazette*, że jakaś młoda para nazwała córeczkę: Facebook.

ulic w centrum jeszcze nie widziałem. Nowy Egipt musi być czysty! Nie tylko moralnie, ale fizycznie.

Tahrir opuścili też koczujący tam od miesiąca demonstranci. Rozebrane zostały namioty z folii i prowizoryczne budki. Pomimo oporu, wojsko zdołało przekonać okupujących, że pora wracać do normalnego życia a plac jest miastu potrzebny, ale bez demonstrantów. Jakże prorocza okazała się jego nazwa: Tahrir po arabsku znaczy wyzwolenie. Nazwę nadano mu wprawdzie po rewolucji 1952 r, gdy grupa młodych oficerów odsunęła od władzy króla Faruka, jednak tym razem nie będzie potrzeby, by ją zmieniać. ○

SPRZĄTANIE

W mieście widać setki uczniów i studentów sprzątających ulice i malujących krawężniki. Od piętnastu lat corocznie spędzam w Egipcie kilka miesięcy, przez pięć lat tutaj mieszkam. Tak posprzątanym

Autor jest archeologiem. Mieszkał w Egipcie w latach 1995–2000. Od dziesięciu lat prowadzi badania naukowe, spędzając tu po kilka miesięcy w roku.



KARAIBSKA FIESTA



Republika Dominikańska
Pełnia wrażeń

Tekst: Grzegorz Kapla

BLISKI BELGRAD

Jest takie miasto. Historia wyrzuciła je na drugi, gorszy brzeg.
W każdym razie, tak się wydaje znudzonym bywalcom
chorwackich plaż.

PAMIĘĆ KAMIENI

Kalemegdan – kamienna
twierdza nad Sawą.
Tutaj przed siedmioma
tysiącami lat zaczęła
się historia Belgradu.



FOT. GRZEGOŹ MARJA

Moi przyjaciele pytają: właściwie, po co chcesz jechać do Belgradu, skoro można pojechać do Splitu. Albo do Dubrownika.

– *Nawet chorwackiego nie musisz znać, bo wszyscy i tak gadają po niemiecku, a ceny to ci po polsku podadzą.*

– *Właśnie dlatego, właśnie!*

Pierwszy powód, żeby wybrać Serbię jest więc prosty: nie będą ci wciskać byle czego. I to po niemiecku. Wystarczy przekroczyć granicę i od razu widać, że jesteś w nieco innym świecie. Nie ma billboardów. Przy drogach stoją drzewa. Albo domy. Albo na przykład krowy. Ale nie słupy z wielkoformatowymi ogłoszeniami.

Kiedyś pewnie i to się zmieni.

Kolejny powód też znajduję na ulicy. Po zmroku ludzie nie siedzą w domach. Ci, co mają pieniądze – obsiadają stoliki w kawiarniach ogródkach. Ci, co ich nie mają – zajmują ławki na skwerach. Tym, co przyszli zbyt późno – zostają krawężniki. Ludzie gadają tu ze sobą. O piłce nożnej. O tym, czy Tomislav Karadžić, szef serbskiego



WOJNA CZARNYCH Z BIAŁYMI

Szachy to metafora serbskiej historii.

związku piłki nożnej, powinien siedzieć za kratkami. O tym, czy Serbowie w Kosowie przetrwają. Czy lepiej trzymać z Rosją, czy z Unią Europejską. O jedzeniu. O przyszłości. O tym, że nie ma pracy dla tych, co kończą studia, o gejowskich paradach i o organizacji „1389” (rok Bitwy na Kosowym Polu), której członkowie blokują homoseksualistom przemarsz. Jednym słowem, czujesz się prawie jak w Polsce. Tyle, że tutaj dyskutuje się na ulicach, patrząc znad kufla piwa „Jelen” na piękne, podobno silikonowe dziewczyny, przebrane niczym Barbie w obcisłe różowe kostiumy, przemyskujące do dyskotek albo tanecznych piwnic. Mówi się, że całe Bałkany przyjeżdżają do belgradzkich klubów.

W SAMO POŁUDNIE

Remont mostu Gazeli trwa w najlepsze, więc wszyscy próbują wcisnąć się do centrum Mostem Bankowym. Stoisz w korku, słuchasz radia i gapisz na sąsiadów. Ci, co mają klimatyzację – przyciskają do uszu telefony. Zauważyliście, że Serbowie mają duże uszy?. Prócz tego są serdeczni i porwcy. Nie umieją budować handlowych imperiów, ale siedzi w nich wojna. A kiedy wojna się kończy, jedni zapalają znicze na grobach Powstańców a drudzy pytają, czy rzeczywiście trzeba było posyłać dzieciaki na barykady.

W UŚCISKU RZEK

Belgrad jest miastem dwóch rzek – Dunaju i Sawy. Sawa oddziela Stare Miasto (Stari Grad) od Nowego Belgradu. Jej bulwary to ulubione miejsce spacerów mieszkańców i turystów.



Kiedy rząd ogłosił, że aresztował Radovana Karadžića – jedni odetchnęli z ulgą w nadziei, że Unia Europejska otworzy wreszcie dla Serbii drzwi Wspólnoty, inni – głośno lub po cichu – mówili o zdradzie.

Korek wleczę się niemiłosiernie. Ludzie wokół gadają przez komórki.

Karadžić chodził w tym mieście do liceum. A potem na studia medyczne. Kiedy w 1997 r. Trybunał w Hadze wydał za nim międzynarodowy list gończy – zaszył się właśnie tutaj. Rozjaśnił do reszty siwiejące włosy, zapuścił długą brodę i otworzył praktykę w Klinice Medycyny Alternatywnej. Doktor Dragan Dabić... Był nie do poznania w okrągłych, staromodnych okularach z grubego szkła. Kto wie, jak długo jeszcze by się ukrywał? Dwoje serbskich agentów BIA przyszło na terapię. Udawali, że chcą mieć dziecko, a tak naprawdę – chcieli szklankę, której dotykał. Albo lepiej włos. Zbadali DNA. I tak wpadł.

– *Teraz przyjmą nas wreszcie do Unii* – cieszyli się liberałowie.

Konserwatyści milczeli. Nie ufali Europie. Komuniści też milczeli. Nikomu nie ufali. Europa powiedziała: Karadžić to za mało. Chcemy jeszcze Mladića.

Ale Mladić od dziesięciu lat nie kontaktował się z nikim. Rodzina wystąpiła o uznanie go za zmarłego.

Panorama cytadeli, zapiera dech w piersiach. Teraz to już pozostaje tylko zemdleć.

Wreszcie koniec korka. Ale z tego zamyślenia, albo upału, zamiast pojechać Barankową prosto do góry i przebić się przez Stare Miasto – skręcam w prawo, z powrotem na most. Korek w drugą stronę. Ale za to mogę obejrzeć panoramę lewobrzeża.

I tak pierwszą próbę mojej inwazji Belgrad odparł bez wysiłku. Dobrze, że się w chłodnicy nie zagotowała woda.

TESLA JAK KOPERNIK

Serbowie są z Tesli dumni co najmniej tak, jak my z Kopernika. Syn popa, sam też miał zostać księdzem, ale bardziej niż sferę ducha pragnął zgłębić naturę elektryczności. Ulubiony uczeń Edisona. Jednak mistrz zawiódł go straszliwie, wyrzucając z pracy, gdy Tesla wynalazł silnik elektryczny na prąd zmienny (Edison żywił do tej technologii szczególną awersję). Serb potem dorzucił jeszcze pilota do zdalnego sterowania urządzeniami elektrycznymi, no i radio, którego prototyp podkradł mu Marconi. Tesla nie doczekał wyroku sądowego





PAŁAC PREZYDENCKI

Jego architektura
nawiązuje do budowli
antycznych, o czym
świadczy tympanon
– trójkątne rzeźbione
pole zwieńczające
kolumnadę

w sprawie kradzieży tego pomysłu. Zmarł w prawosławną wigilię Bożego Narodzenia 1943 roku. Pośmiertnie sąd w USA przyznał mu prawa do jego wynalazków.

Dziesięć lat później siostrzeniec Tesli podarował jego projekty oraz wszystkie osobiste rzeczy, wraz z całym wyposażeniem laboratorium – narodowi serbskiemu. Marszałek Josip Broz Tito dostrzegł szansę budowy ponadnarodowego jugosłowiańskiego mitu i nakazał organizację Muzeum Tesli. W 1957 roku na Krunską 51 przewieziono uroczyscie prochy wynalazcy zatopione w masywnej, srebrnej kuli. Podobno, jeśli jej dotknąć, można poczuć dreszcz. Zupełnie jakby przenikał człowieka prąd.

Tesla marzyciel. To bardzo serbska cecha.

SIEDEMDZIESIĄT WIEKÓW

Chcesz poznać miasto – zobacz bliźny na jego murach – powiedział mi Nenad, mój belgradzki druh.

– Te po bombardowaniach NATO?

– To raczej w nowych dzielnicach. Już wcześniej Belgrad był zrównany z ziemią co najmniej czterdzieści pięć razy.

Poszedłem zobaczyć mury twierdzy w godzinie, kiedy czołgi w muzeum broni szarżują już powoli w długich cieniach fortecznych bastionów i sławnej zegarowej wieży. To godzina, o której zakochani wspinają się na szczyt twierdzy, żeby usiąść u stóp pomnika. Dunaj staje się na chwilę miedziany. Młodzi się całują, starzy tylko trzymają za ręce. Wzdłuż alej stoją galerie wielkoformatowych fotografii, stoiska rękodzielników i lodziarzy. Weterani wszystkich możliwych wojen strząsają tytoń na szachownice. Skupieni, bo przecież już tylko ta jedyna wojna ma dla nich znaczenie.

Zagrałbym z nimi, ale wstyd – nie potrafię. Mogę tylko popatrzeć i posłuchać jak gadają w swoim prawie polskim języku o czasach, kiedy było dobrze. O czasach Tito.

Tęsknota za legendarnym dziś Tito – to istota serbskiej tożsamości.

Za legendarnym, bo przecież nie za prawdziwym, choć oświeconym – dyktatorem, który więził czetników, poniewierał Bośniakami, manipulował mediami i miał ustawową gwarancję dożywotniej prezydentury... Który pokonał Niemców, zespolił Jugosławię, zdobył szacunek Ameryki, wodził za nos Rosjan i zorganizował olimpiadę.

Do mauzoleum Tito, Domu Kwiatów, do dziś przy łada okazji przybywają tłumy. Dzień jego urodzin, 7 maja, to Święto Młodości. W 1980 roku na

jego pogrzeb przybyło 128 prezydentów, premierów i pierwszych sekretarzy. Nigdy potem nie było już nigdzie tak powszechnie szanowanego dyktatora.

WSZYSTKIE ATRAKCJE STOLICY

Skadarlija, gwarny belgradzki deptak, jest demokratyczny niczym plaża. Każdy może się tu poczuć na miejscu. I ten, który zaparkował nieopodal czerwonym porsche, na które zarobił w sposób wiadomy tylko jemu i tajnym służbom. I ten, co przyszedł pieszo, żeby w przebraniu klauna zbierać do kapelusza dinary i euro: wrzucasz euro – mim robi głupią minę, którą możesz zabrać ze sobą, np. w komórce – gdzie zechcesz.

Skadarlija jest pełna wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić: butików, galerii, sklepików, knajp i ekskluzywnych lokali. Otacza ją niezła architektura, choćby pałac Obrenowiciów (obecnie Rada Miasta) albo pałac królewski, do którego można wejść, choć nie za darmo. Ale warto zapłacić choćby po to, żeby popatrzeć na Rembrandta.

Łódzie wożą turystów na wyspy. Ada Ciganlija przyciąga plażowiczów i wielbicieli bandży a nocami zmienia się w wielkie klubowe imprezowisko. Wielką Wyspę Wojenną wybierają fotografowie przyrody, gniazduje tu bowiem niemal cały europejski atlas ptaków.

Ciekawi kultury żydowskiej mogą zajrzeć do kosmajskiej synagogi, muzułmanie – do jedynej ocalałego meczetu flagi, na którego minaret wciągano przez wieki sztandar na znak rozpoczęcia modlitwy. Wielbiciele architektury – do cerkwi Świętego Marka; współczesnej, ale zbudowanej zgodnie z prawidłami stylu bizantyjskiego.

A wszyscy ciekawscy – do cerkwi św. Sawy. Najbardziej monumentalna budowla Belgradu, wciąż niedokończona, jest symbolem niezłomnego ducha tego miasta. Tu nieważne, wierzący jesteś, czy nie. Jesteś dumny ze św. Sawy.

W 1599 roku Sinnan Pasza postawił cerkiew na miejscu pochówku Sawy, pierwszego arcybiskupa Serbii. Cerkiew nie



FOT. GRZEGORZ KAPLA

przetrwiała kolejnych wojen, więc belgradzcy postanowili obok małej białej cerkiewki wybudować inną, całkiem nową. Największą cerkiew świata.

Wojny co i raz stawiały jej na przeszkodzie, ale budowa trwała. Kościół jest imponujący. Kopuła ma 70 metrów wysokości, dwunastometrowy krzyż na jej szczycie widoczny jest z każdego miejsca Belgradu, choć właściwie powinienem powiedzieć, że to krzyż widzi każdy zakątek miasta. Cerkiew, zupełnie jak przed wiekami wszystkie chrześcijańskie kościoły, jest przecież sztyfrem. Każdy jej element to symbol. Wielka kopuła jest symbolem Chrystusa, wspierające ją wewnątrz cztery marmurowe kolumny – symbolami ewangelistów. W sumie to osiemnaście kopuł. Czterdzieści dziewięć dzwonów.

Budowa ruszyła w 1905 roku, stała kilka razy. W czasie pierwszej wojny, w 1941 po bombardowaniach, kiedy to mury oberwały potężnie. Wówczas Niemcy zamienili niedokończoną katedrę w parking. Po wojnie Armia Czerwona miała tu magazyny. Tito ponad osiemdziesiąt razy odsyłał wnioski o wznowienie budowy. Wreszcie w 1984 prace ruszyły. I znowu powstrzymała je wojna.

W HOŁDZIE SAWIE

Cerkiew św. Sawy jest jedną z największych cerkwi prawosławnych na świecie. Biała bryła świątyni widoczna jest z każdego miejsca we dnie i w nocy. Oświetlona jest tak, żeby Sawa z łatwością dostrzegł ją z nieba.



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. BEŚW

PŁONĄ KU CHWALE

Świece są jednym z symboli prawosławia. Powinny być wykonane z czystego pszczelego wosku, który jest miękki, delikatny, wrażliwy – podobny do ludzkiej duszy.

GRUNWALD SERBÓW

Najbardziej belgradzkie z marzeń? Mieć życie szczęśliwe i niebanalne. I wydawało się, jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych, że wszystko jest na dobrej drodze. Skończyła się komuna, można było śmiać się z tego co zabawne, wierzyć w to, w co warto wierzyć, mieć plany i pojechać dalej niż dotąd.

Nie tylko do Splitu, czy Dubrownika. Wszędzie. Serbowie mieli paszport, na który bez wizy można było wjechać i do USA i do Rosji.

Wszystko runęło znienacka. I tak naprawdę nikt nie wie dlaczego.

Zaczęło się od wojny dziesięciodniowej pomiędzy Słowenią a Jugosławią. Ten trwający od 27 czerwca do 7 lipca 1991 konflikt zbrojny był pierwszym od czasów Drugiej Wojny Światowej. I niestety, nie był dla Serbów ostatnim...

Problem Kosowa do dziś uważa się tu za nierozwiązany. Chociaż Unia Europejska uznała nowe państwo, wszyscy – komuniści i konserwatyści, zwolennicy Unii i ci, co woleliby zacieśnienia sto-

sunków z Rosją – mają wspólne poczucie krzywdy.

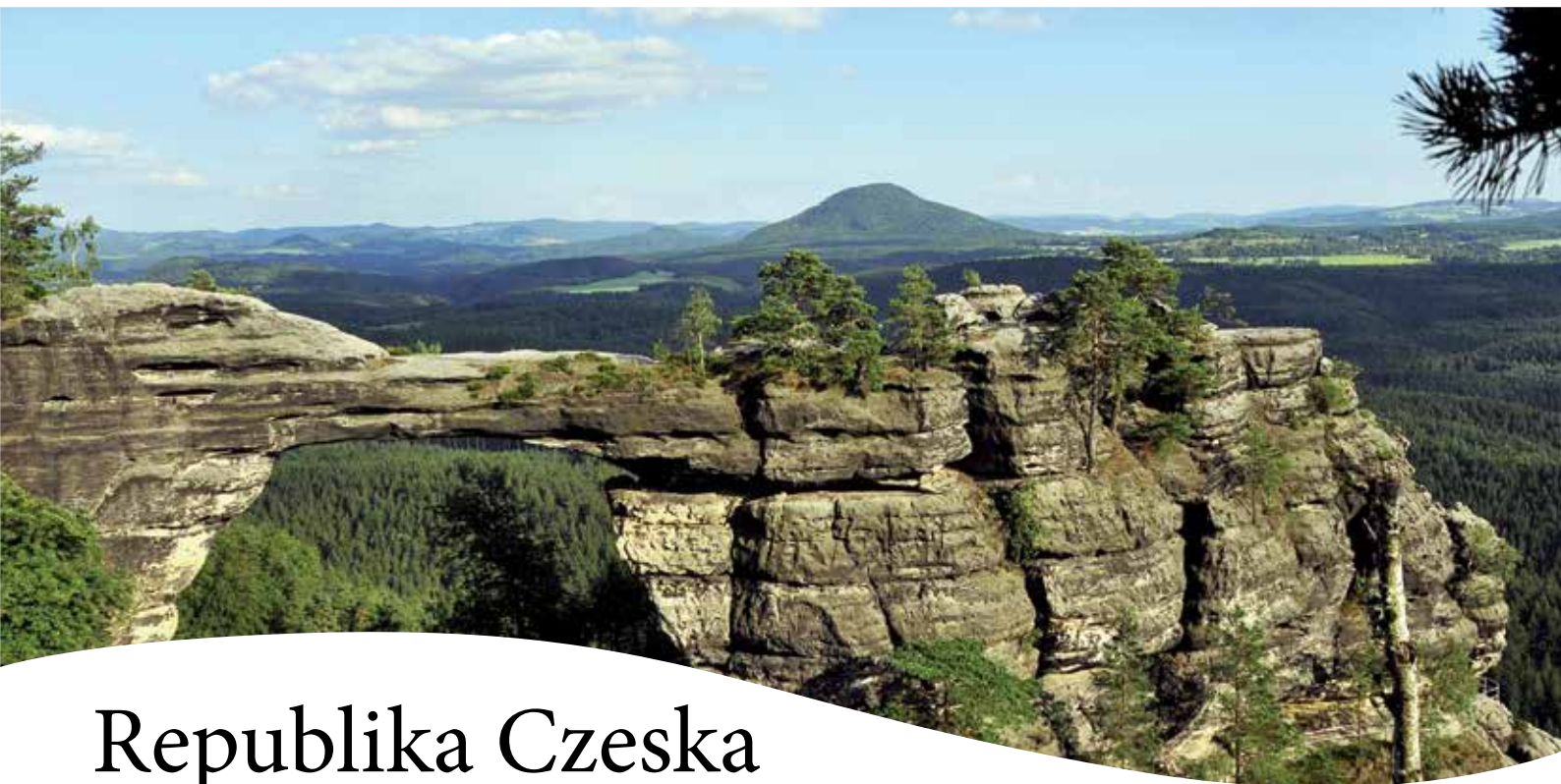
– *A gdyby wam, Polakom, zabrali ten kawałek kraju, który sprawił, że jesteście wspólnotą?* – pytają – pewnie taki macie?

– *No mamy, Grunwald* – nagle uświadamiam sobie, że nie ma w Polsce miasta, w którym nie byłoby ulicy Grunwaldzkiej.

– *No to jakby Unia Europejska zabrała wam ten Grunwald i oddała sąsiadom* – to co byście myśleli?

Grunwald Serbów nazywa się Kosowe Pole. Przegrali tam. Ale skrzyłi Turkom kark tak boleśnie, że osmańska armia przez siedemdziesiąt lat nie odważyła się pomaszerować na Europę. A kiedy wreszcie ruszyła, zdeptała Bałkany i pewnie połknęłaby Europę z jej cesarzami i może nawet samego papieża, gdyby nie Jan III Sobieski.

Dziś z Belgradu nie widać już Kosowskiego Pola. Jest po drugiej stronie granicy. Strzeże jej NATO.



Republika Czeska

Najpiękniejsze miejsca tuż za miedzą

Bajkowe zamki i pałace

Dawni mieszkańcy ziem czeskich nie oszczędzali na reprezentacyjnych siedzibach. Swym potomkom pozostawili **dwa tysiące zamków i pałaców**. Jedna dziesiąta z nich jest czynna dla zwiedzających. Średniowieczne zamki ze zwodzonymi mostami i urokliwe rezydencje szlacheckie należą do największych atrakcji turystycznych Republiki Czeskiej. www.zamky-hrady.cz

Perelki UNESCO

W nielicznych miejscach na świecie spotkamy tak duże nagromadzenie zabytków wpisanych na listę UNESCO na tak niedużej powierzchni – od 1992 roku na UNESCO wpisano **aż dwanaście czeskich zabytków**. Wyjątkową pozycję posiada dzielnica żydowska **Zamostí w Trzebiczu**, która jest pierwszym zabytkiem żydowskim leżącym poza terytorium Izraela, wpisanym na listę UNESCO. www.unesco-czech.cz

Malownicze miasta

Podróżując po Czechach napotkamy piękne miasta i miasteczka, urzekające niepowtarzalną

atmosferą, **skrywające architektoniczne perelki**: piękne kościoły klasztory, bogato zdobione domy mieszczkańskie, zabytkowe podziemia. Na turystów czekają tradycyjne **imprezy historyczne, folklorystyczne, kulturalne, muzyczne, winobrania**.

Cuda przyrody

Miłośnicy wypoczynku na łonie przyrody znajdą w Czechach wiele wyjątkowych miejsc. Spośród nich możemy wymienić na przykład:

Czeski Raj – geopark UNESCO, jedna z najpiękniejszych krain w Czechach

Morawski kras – ponad 1100 jaskiń, przepaść Macocha (ponad 138 m) – największa swego rodzaju w Czechach i środkowej Europie

Pravčická brána – największa piaskowcowa brama skalna w Europie, jedna z największych atrakcji przyrodniczych PN Czeska Szwajcaria

Jezioro Ałunowe w okolicy Chomutova – jedyne na świecie, powstałe na miejscu dawnej kopalni alunu w XVIII wieku

Szumawa – jeden z największych kompleksów leśnych w środkowej Europie, nazywany Zielonym Sercem Europy.

Czechy na rowerze

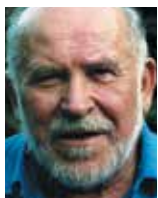
Republika Czeska jest **rajem dla miłośników dwóch kółek**. Znajdziemy tu trasy wiodące górkami i równinnymi terenami, wzdłuż rzek i stawów. Na rowerze wyruszymy także szlakiem zabytków UNESCO, zamków i pałaców, winnym, piwnym lub międzynarodową trasą, wiodącą przez Czechy do innych miast europejskich.



Udogodnieniem dla cyklistów są autobusy do przewozu rowerów, które wiosną i latem będą kursować na przykład w Karkonoszach czy w górach Izerskich.

Wszystkich zainteresowanych otrzymywaniem naszego newslettera prosimy o kontakt:
info-pl@czechtourism.com

www.CzechTourism.com



Kiedyś nazywano ich Samojedami. Nazwa ta błędnie sugerowała, że „sami się zjadali”. Samojedzi jednak nigdy nie byli ludożercami. Od niepamiętnych czasów zajmowali się rybołówstwem, myślistwem i hodowlą reniferów.

TRZY PANIE WŚRÓD SAMOJEDÓW

Nie wiadomo dokładnie kiedy (prawdopodobnie w I tysiącleciu, kiedy Polski nie było jeszcze na mapach) pod naciskiem ludów tureckich przeniesli się z południa Syberii na jej skrajną północ. Ostatecznie zamieszkali na obszarze o powierzchni ponad trzy razy większej niż nasz kraj, po obydwu stronach Uralu.

Tych po azjatyckiej stronie gór, koczujących w tundrze na Półwyspie Tajmyr, odwiedziła ostatnio młoda polska podróżniczka Magdalena Skopek, laureatka tegorocznego Kolosa, która spędziła wśród nich dwa miesiące latem 2010 r. Wpisała się w ten sposób w piękną, ale chyba nieznaną jej wcześniej tradycję dwóch wielkich polskich poprzedniczek, z których jedna, zesłana na Syberię w 1839 r., przez dwa lata gościła w nienieckich czumach, zapoznawała się z ich obyczajami, obserwowała ich życie, spisywała nienieckie legendy, zgromadziła o nich cenne materiały etnograficzne. Druga udała się na tereny nienieckie z własnej woli, jako kierowniczka ekspedycji etnologicznej z ramienia Uniwersytetu Oxfordzkiego w 1914 r. Żyła wśród nich rok. Trzy nasze rodaczki, każda w innym stuleciu, korzystały z gościny tego ludu. Trzy panie i trzy życiorysy. Jakże różne.

EWA FELIŃSKA (1793-1859)

Urodziła się pod koniec panowania króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Na Syberię zesłano ją za udział w tajnej organizacji patriotycznej, współpracującej z Szymonem Konarskim. Miała wówczas 45 lat, a więc nie była młoda jak na tamte czasy. Wdowa, jedyna opiekunka trzech synów i trzech córek, od których



ją odłączono. Długą drogę za Ural odbywała najpierw kibitką, potem statkiem – z biegiem Irtyżu i Obu. Do Berezowa, nieopodal koła podbiegunowego, gdzie najpierw zetknęła się z Chantami (wówczas nazywano ich Ostiakami), a potem z Niefcami (Samojedami). W Berezowie zaczęła pisać swój dziennik, który po powrocie z zesłania przesłała do wydawanego w Wilnie dwumiesięcznika „Athenaeum”, poświęconego historii, filozofii, literaturze i sztukom.

Recenzenci ocenili wspomnienia Felińskiej z Syberii jako „najcelniejszą ozdobę” czasopisma, redagowanego przez Józefa Ignacego Kraszewskiego. Zachęcona przez niego, nikomu wówczas nie znana autorka przystąpiła do szerokiego opracowania swych wspomnień, które w 1853 r. ukazały się w 3 tomach. Ich wydawca wylewnie dziękował za nie Kraszewskiemu: „Co za śliczne obrazy, jaka prawda żywa, ile uczucia, jak ślicznie pisane!”. W ten sposób Felińska trafiła do pisarskiego panteonu, jako jedna z pierwszych

polskich kobiet. Wyróżniła się w grupie pamiętnikarzy syberyjskich, którzy wykazywali duże zainteresowanie tematyką ludoznawczą. Jej wspomnienia ukazały się trzykrotnie w Anglii jako „Revelations of Siberia a banished Lady”, a pod podobnym tytułem ukazały się w Danii, gdzie Felińską tytułowano „polsk Dame”. Jej książkę przetłumaczono również na francuski i niemiecki.

Ewa Felińska podjęła etnograficzne badania Chantów i Niefców zanim kulturę i zwyczaje tych narodów opisali Rosjanie. Sama tak przedstawiła formułę swego zapisu: „Pragnę skreślić dobrze fizjonomię kraju, a nade wszystko dać poznać dokładnie życie i obyczaje mieszkańców tej krainy, mało znajomej”. W tej formule mieścił się także opis fauny i flory na obszarze zamieszkanym przez te ludy. Niektóre jej spostrzeżenia cytowane są do dziś. Zakończyła edukację w 11 roku życia. Potem wychowywała dzieci i zajmowała się domem. Dużo jednak czytała. Zmarła jako pisarka w 1859 r.

MARIA ANTONINA CZAPLICKA (1886-1921)

Relacje Felińskiej o Samojedach i Osiakach, wydane w 1852 r. w Londynie i dostępne w angielskich bibliotekach, zainspirowały ponad pół wieku później młodą polską etnografkę, studiującą w Oxfordzie, do pójścia w jej ślady, ale w innych już warunkach. W 1913 r. na międzynarodowym zjeździe naukowym w Birmingham wygłosiła doskonale przyjęty referat „O wpływie czynników geograficznych na rozwój wierzeń religijnych u ludów Azji Północnej”, oparty na pracach polskich zesłańców. Jej uczelnia postanowiła pogłębić ten temat i powierzyła 27-letniej

Polce zorganizowanie ekspedycji naukowej na Syberię.

Do sfinansowania tej wyprawy dołączył się uniwersytet w Filadelfii. W Moskwie także wysłuchano ją z zainteresowaniem. Spotkała się z życzliwym przyjęciem i pomocą rosyjskich kół naukowych. W maju 1914 r. wyruszyła na środkową Syberię, gdzie dopędziła ją wiadomość o wybuchu wojny światowej, w której Anglia stała się sojusznikiem Rosji. Nie musiała zatem przerywać swojej „ekspedycji jenijskiej”, której nazwa określała geograficzny obszar jej badań terenowych.

Zatrzymała się dłużej w Krasnojarsku. Następnie udała się w dół Jeniseju. Osiedliła się na dłużej wśród Nieńców w okolicach Turuchańska, w pobliżu kręgu polarnego, podobnie jak Felińska. Spędziła tutaj około roku. Odwiedziła też podnóża Gór Sajańskich, skąd niegdyś wywędrowały na północ ludy samodyjskie, wśród nich przodkowie Nieńców.

Pod koniec 1915 r. wróciła do Anglii, przywożąc bogate zbiory i materiały naukowe. W 1916 r. wznowiła wykłady etnologii na Uniwersytecie Oxfordzkim. Współpracowała z amerykańskimi uczelniami. W 1920 r. otrzymała nagrodę Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Publikowała po angielsku, polsku i rosyjsku prace o rdzennych ludach Syberii. Wśród nich poczesne miejsce zajmowała publikacja „Samojedzi”. W tym samym roku odwiedziła Polskę. Po powrocie do Birmingham popełniła samobójstwo.

Nie wiadomo, co ją do tego skłoniło. Za mąż nie wyszła. Może zawód miłosny? Jej błyskotliwa kariera została dramatycznie przerwana w wieku 35 lat. Felińska była o 10 lat starsza gdy znalazła się wśród Nieńców. Obie zyskały międzynarodową sławę.

MAGDALENA SKOPEK

Odbierając „Kolosa” Magdalena Skopek, z wykształcenia doktor fizyki, przyznała, że znalazła się wśród Nieńców na Półwyspie Jamalskim (nazwa ta w ich języku oznacza „koniec ziemi”) dzięki szczęśliwemu zbiegowi przypadków. Trafiła do nich latem, była stosunkowo krótko. Przyjęto ją z nadzwyczajną gościnnością. Zafascynowali ją do tego stopnia, że marzy teraz, aby do nich wrócić zimą, gdy temperatura powietrza w tundrze spada do minus 40-50° C. Dopiero wtedy można poznać ich prawdziwe życie. A w ogóle – chciałyby spędzić z Nieńcami rok. I tak nie pobiłaby jednak rekordu Ewy Felińskiej.

Ryszard Badowski

Pierwsi zetknęli się z Samojedami rosyjscy kupcy z Nowogrodu, którzy w XII w. w zamian za wyroby z metalu i kolorowe świecidełka otrzymywali od nich skóry zwierząt futerkowych.

W XVII w. Adam Kamieński-Dłuzżyk, autor pierwszego znanego w języku polskim opisu Syberii, przedstawił interesujące dane o sąsiadach Samojedów – Ostiakach.

W XVIII w. jako pierwszy Polak zetknął się z Samojedami Ludwik Sienicki, pułkownik wojsk króla Stanisława Leszczyńskiego, zesłany do Tobolska.

W końcu XIX w. podróżujący dobrowolnie po Syberii Bronisław Rejchman wydrukował na łamach czasopisma „Wszechświat”(1882) artykuł „Samojedzi. Studium etnologiczne”, stanowiący jedną z najciekawszych monografii tego ludu.

Nazwa Nieńcy (zamiast Samojedzi) ugruntowała się ostatecznie w 1929 r., kiedy powołano Nieniecki Okręg Narodowy w składzie obwodu archangielskiego Federacji Rosyjskiej oraz Jamało-Nieniecki Okręg Autonomiczny w obwodzie tiumeńskim (1930). W 1977 r. Nieniecki Okręg Narodowy otrzymał autonomię. Oba te okręgi mają obecnie status jednostek administracyjnych, podlegających bezpośrednio władzom federacyjnym. Nieńcy zamieszkują także w Tajmyrskim (Dołgano-Nienieckim) Okręgu Narodowym.

Wbrew obiegowym opiniom o wymieraniu ludów północy, liczebność Nieńców bezustannie wzrasta (1897 – 9427, 2002 – 41302), jednakże na skutek procesów asymilacyjnych i mieszanych małżeństw spada odsetek Nieńców posługujących się językiem ojczystym (1897 – 100%, 2002 – 75,8%).





Historia na żywo

Wielki Teatr Historii zaprasza od czerwca do września do pięciu polskich miast na wielkie plenerowe widowiska historyczno-edukacyjne. Ich reżyser, znany telewizyjny dziennikarz, Bogusław Wołoszański pierwszą z tego cyklu rekonstrukcję wydarzeń pt. „Miasto pamięci” przedstawi w Wieluniu 24 – 26 czerwca.

– Wieluń był pierwszym cywilnym obiektem nalotów 1 września 1939 roku. Miasto miało zostać doszczętnie zniszczone, ale pięknie się odrodziło i powinno stać się symbolem zwycięstwa – wyjaśnia Bogusław Wołoszański, dlatego tutaj organizuje Teatr Historii w trzech odsłonach. Rekonstrukcją bombardowania miasta i wspomnieniem bohaterskiej postawy mieszkańców będzie widowisko „Zwyczajny bohater”. Jego drugi akt pt. „Oni nie skapitulowali” przedstawi zruty cichociemnych i zaopatrzenia dla oddziałów partyzanckich. Trzecia wieluńska inscenizacja pt. „Zapora” będzie rekonstrukcją bitew toczonych w rejonie Wielunia w pierwszych dniach września 1939.

W lipcu i sierpniu warto odwiedzić Malbork i Gniew. Pod murami zamków w obu miastach od dobrych kilku lat

można podziwiać rycerskie zmagania. W tym roku nabiorą one jeszcze większego rozmachu.

Od 21 do 24 lipca w Malborku będzie można przenieść się w czasie do 1410 roku. W przedstawieniu „Chwała oręża polskiego” zaprezentuje się jedna z polskich chorągwi biorących udział w bitwie pod Grunwaldem. Drugiego dnia, podczas spektaklu „Oblężenie”, przypomniana zostanie historia oblężenia krzyżackiej twierdzy przez wojska Jagiełły. Wprowadzeniem do obu inscenizacji będzie przedstawienie pt. „Rycerskie życie”, w którym odtworzony zostanie średniowieczny obóz rycerski w trakcie przygotowywania do bitwy.

Wspomnieniem czasów potęgi Rzeczypospolitej będzie widowisko „Vivat Rzeczpospolita”, prezentowane 13-15 sierpnia w Gniewie. Na scenie pojawią się husarzy pod wodzą Jarosława Strczyńskiego, znanego kasztelana gniewskiego zamku. Na polach pod gniewskim zamkiem odtworzone zostanie zwycięstwo husarii pod Kłuszynem w 1610 roku. A na zamkowym dziedzińcu odbędzie się turniej rycerski.

We wrześniu, jak łatwo przewidzieć,

sceną Teatru Historii będzie Gdańsk i Westerplatte. Od pierwszego do trzeciego września zaprezentowane zostaną trzy inscenizacje odnoszące się do czasów II wojny światowej. Walki na Westerplatte odtworzone zostaną w spektaklu „Honor Żołnierza”. Następnego dnia, podczas inscenizacji „Desant”, na bałtyckiej plaży wylądują wojska alianckie, tak jak było to w 1944 roku w Normandii. Ostatnim punktem gdańskiej odsłony Teatru Historii będzie wielkie widowisko muzyczno-multimedialne „Czas pamięci”.

Teatr Historii odbywający się w Sochaczewie 16 – 18 września związany będzie z wydarzeniami Kampanii Wrześniowej. Widowisko pt. „Generał” przypomni gen. Tadeusza Kutrzebę i największą bitwę września 1939, nad Bzurą.

Rekonstrukcją obrony Sochaczewa z tamtego czasu będzie inscenizacja „Miasto w ogniu”. A w przedstawieniu „Oni nie skapitulowali” odtworzony zostanie zrzut cichociemnych i potyczka oddziału partyzanckiego z niemieckim patrolem.

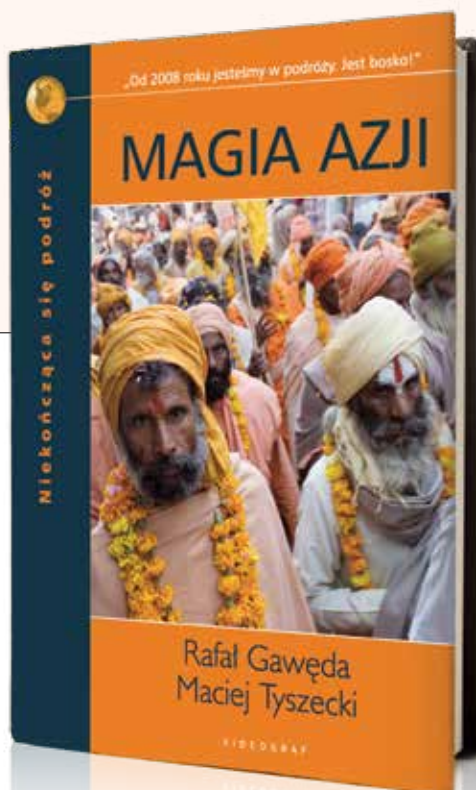
Spektakle Teatru Historii organizowane są pod patronatem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Książka z podróży

Uciekli od wygodnego życia. Porzucili pracę w agencji reklamowej, spakowali plecaki i ruszyli w świat. Dwóch przyjaciół, Rafał Gawęda i Maciej Tyszecki – prawnik i antropolog, rozpoczęło wędrówkę od Kantonu. W Chinach spędzili 16 miesięcy, podróżując czym się dało, preferując jednak rower, na którym przemierzali dwa tysiące kilometrów, między innymi przez góry na południu kraju.

Od czasu, kiedy opuścili Polskę, w 2008 roku, byli: w Japonii i na Tajwanie; także w Wietnamie, Kambodży i Birmie; objechali Indie i Nepal; odwiedzili Tajlandię, Malezję, Singapur, sułtanat Brunei oraz Filipiny i Indonezję.

Wędrowali z dala od utartych szlaków, korzystając z miejscowego transportu, smakując lokalne potrawy. PodwóhłatachspędzonychwAzjinađuzejatrzymali się w Australii. Tutaj znaleźli czas na napisanie książki pt. „Magia Azji, czyli niekończąca się podróż”. Książka, opublikowana przez wydawnictwo Videograf, opatrzona logiem „Poznaj Świat” właśnie trafiła do księgarni. Polecamy!



Posłuchajcie Pałkiewicza

Jacek Pałkiewicz – znany eksplorator i podróżnik zachęca do głosowania na Mazury w plebiscycie na wyłonięcie siedmiu światowych cudów natury organizowanym przez szwajcarską organizację New7Wonders of Nature. – Widoki na sukces są duże – przekonuje podróżnik. Po wstępnej selekcji Mazury znalazły się wśród 28 przyrodniczych miejsc kandydujących do zwycięskiej siódemki. Jego entuzjazmu nie studzi nawet fakt, że nasza Kraina Wielkich Jezior musi zmierzyć się z takimi turystycznymi ikonami jak: Galapagos, Kanion Colorado, wodospad Iguazu, Kilimandżaro, Wielka Rafa Koralowa. W tym plebiscycie są to zapewne pewniaki, ale na liście są przyrodnicze perły, które tak jak Mazury, czekają na odkrycie. To ilość polskich głosów zadecyduje o zwycięstwie Mazur. – Głosujemy – nawołuje Pałkiewicz i nie zasypiając gruszek w popiele, mobilizuje kolejne gremia, by ze swym apelem dotrzeć do jak najszerszego grona.

– Wypromujemy mazurską markę – zachęca do współdziałania samorządowców, polityków, duchownych i media, argumentując: – Mazury są na wskroś autentyczne, zapewniają różne, alternatywne formy turystyki. Jego zazdroścą nam odwiedzający Polskę przybysze.

Wspieramy starania Jacka Pałkiewicza, w ślad za nim podpowiadamy Czytelnikom „Poznaj Świat”, jak głosować: wysyłając

SMS 7155 Mazury

(koszt 1,23 PLN)

lub za pośrednictwem strony internetowej:
<http://mazurycudnatury.org>



FOT. PAWEŁ CHARA

Zdjęcia z mistrzem

W jakim momencie nacisnąć migawkę w aparacie, by obraz zdjęcia zatrzymał chwilę a nie tylko ją rejestrował? Najlepiej zapytać o to mistrza. Nadarza się taka okazja. Znany fotograf-podróżnik, Paweł Chara, poprowadzi warsztaty pt. „Fotografia z podróży” organizowane przez Akademię Nikon. Podczas tych warsztatów będzie można poznać tajniki fotografowania w różnych warunkach – na pustyni, w tropikalnej dżungli, czy wśród himalajskich szczytów. Paweł Chara podzieli się własnym doświadczeniem związanym z przygoto-

waniami na daleką wyprawę, podpowie, jak skompletować sprzęt fotograficzny na taki wyjazd. W czasie tego trzydniowego spotkania – od 1 do 3 lipca – zapewne nie zabraknie okazji, by porozmawiać z nim na temat warsztatu fotografika, a także poznać jego poglądy na temat estetyki i filozofii fotografowania. Umiejętności zdobyte pod okiem Pawła Chary, będzie można sprawdzić na wyprawie z nim do królestwa Bhutanu od 5 do 15 października, która także odbywać się będzie w ramach Akademii Nikon. To niewielkie państwo we wschodnich Hi-

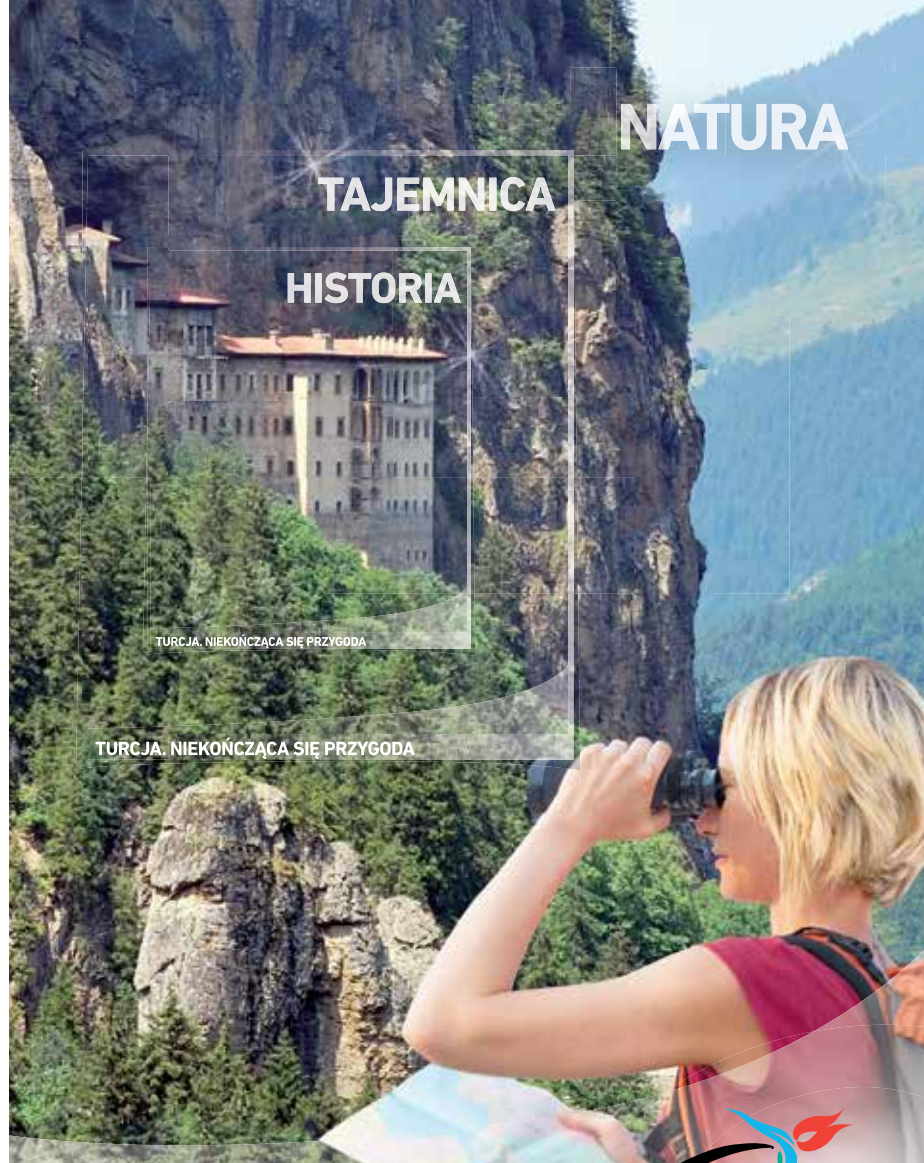
malajach, wciśnięte między Chiny a Indie, gdzie z powodu trudnego dostępu przetrwały tradycyjne zwyczaje i obrzędy. Termin fotoekspedycji został zaplanowany z myślą o przypadających w tym czasie buddyjskich świętach Tseczu i Mani. 10-dniowa fotograficzna wyprawa to okazja, by poznać kraj, ukryty za potężnymi górami i stworzyć własne portfolio zdjęć zatrzymujących w kadrze atmosferę chwili.

www.akademianikona.pl

Pan Doba w Brazylii



Aleksander Doba – bohater tytułowego reportażu w marcowym numerze „Poznaj Świat”, pierwszy Polak i trzeci człowiek na świecie, który samotnie przepłynął Atlantykę, jeszcze nie wrócił do kraju i nie wiadomo kiedy wróci. W planach, jak zapewne pamiętają nasi Czytelnicy, miał kontynuację wyprawy i dopłynięcie kajakiem do Waszyngtonu. Te zamiary pokrzyżował czas huraganów na Morzu Karaibskim. Od kwietnia do listopada najlepiej omijać ten akwen, toteż kajakarz z Polic postanowił wyruszyć ku Amazonce. Kajak miał zostać łodem dowieziony do Belem, największego portu u ujścia Amazonki. Organizacja transportu się przedłużała, Doba postanowił przepłynąć się wodą. – Wpadłem z deszczu pod rynnę – donosi z drugiej półkuli. Północno-wschodnie wiatry, które były sprzymierzeńcem na Atlantyku, tutaj nie pozwalały na odejście od lądu i trzy razy wymusiły wyjście na brzeg. Nie obyło się bez uszkodzeń kajaka. Mimo awarii, problemów z wiatrem i nawigacją (wysiadł GPS) dotarł do Sao Luis, portu u ujścia Rio Pindare. Stąd łodem udało się przetransportować kajak do Belem. W Amazonii trwa pora deszczowa.



NATURA

TAJEMNICA

HISTORIA

TURCJA. NIEKOŃCZĄCA SIĘ PRZYGODA

TURCJA. NIEKOŃCZĄCA SIĘ PRZYGODA

TURCJA. NIEKOŃCZĄCA SIĘ PRZYGODA



Biuro Kultury i Informacji Ambasady Turcji
ul. Krakowskie Przedmieście 19/1,
00-071 Warszawa



www.turcja.org.pl

Codzienne deszcze często przechodzą w ulewę. Tylko statkiem można było pokonać następny odcinek – z Belem do Manaus. Katamaran „Rondonia” z Aleksandrem Dobą i jego kajakiem zacumował do nabrzeża w Manaus, porcie u ujścia Rio Negro.

Kajakarz chciałby wywieźć swoją łódź jak najdalej w górę Amazonki. Najpierw dotrzeć do do Tabatinga, miasta brazylijskiego leżącego przy granicy z Kolumbią i Peru. A potem ruszyć jeszcze wyżej do Iquitos, w Peru. Czy będzie to możliwe? Na razie Aleksander Doba sam nie zna odpowiedzi na to pytanie. Jego planem jest dotarcie jak najbliżej źródła Amazonki i powrót z nurtem na zachód, do ujścia.

Dominika Szynarowska

GDY BAŁTYK JEST NA POŁUDNIU

Blekinge to niewielki, malowniczy region w południowo-wschodniej Szwecji. Żeby tu dotrzeć wystarczy dziesięć godzin podróży promem z Gdyni do Karlskrony. Dla wielu polskich turystów jest to jedna z bram do Skandynawii.



PIERWSZE WRAŻENIE

Zanim prom dobije do portu, wzrok przyciągają skaliste brzegi, liczne wysepki i zatoki głęboko wcinające się w ląd. To zupełnie inny krajobraz od tego, znanego nam, na południowym brzegu Bałtyku.

– To Szwecja w miniaturze – przedstawiają swoją krainę tutejsi mieszkańcy. Nieskażona przyroda, harmonia i ład przestrzenny, powiewające na wietrze szwedzkie flagi – taka jest esencja tej krainy.

WYSZLIFOWANE

Obszar Blekinge przynajmniej czterokrotnie pokryty był lodem. Charakterystyczne, obłe formy nadbrzeżnych skał to szlif lodowca.



FOT. JAROSŁAW CZCHANSKI



FOT. JAROSŁAW CZCHANSKI

TRZY STOPNIE SCHODÓW

To region wręcz stworzony dla potrzeb turystyki. Na obszarze mniejszym niż jeden procent powierzchni kraju znaleźć można ogromną różnorodność krajobrazów.

Na południu znajduje się najbardziej charakterystyczne dla regionu szkieletowe wybrzeże z wyspami, zatokami, granitowymi klifami, nadbrzeżnymi łąkami, krzewami jałowca i dębami. Rozłożyste dęby wyrastają spomiędzy skał tak gęsto, że cały obszar zasłuził na miano królestwa dębu.

Dalej rozciąga się pas dolin, pocięty płynącymi z północy rzekami – to równocześnie szlaki jesiennych wędrówek łososi. Niewielkie pola dzielą kamienne miedze, wzdłuż których rosną dzikie



FOT. JAROSŁAW CZCHANSKI



FOT. JAROSŁAW CZCHANSKI



FOT. JAROSŁAW CZCHANSKI

GDZIE SPOJRZYSZ – WODA

Na niewielkim obszarze Blekinge znajduje się 950 jezior i 12 rzek. Bleke znaczy cicha woda.

jabłonie i czereśnie. Wijące się drogi, kamienne mosty i czerwieniejące na tle zieleni zabudowania gospodarskie, przywołują na myśl sielskie klimaty z książek Astrid Lindgren. Ileż to pokoleń rolników musiało się trudzić, by tej kamienistej krainie wydrzeć trochę ziemi pod uprawę. Pamiątką po tych zmaganiach są sterczące wysoko kopce kamieni, cierpliwie zbieranych każdego roku.

Dalej teren wznosi się, tworząc płaskie równiny porośnięte borem świerkowym. Monotonne, mroczne, gęste lasy ciągną się daleko na północ. I tylko kościelne wieże gdzieś tam wystające ponad wierzchołki drzew wskazują zgromadzenie siedlisk.

Krajobrazy Blekinge układają się w trzy wyraźne pasma.

TAJEMNICE SZKIERÓW

Archipelag Blekinge tworzy tysiące mniejszych i większych skalistych wysepek. Zatoki wcinają się głęboko w ląd, a granitowe skały opadają stromymi zerwami do morza lub – wprost przeciwnie – nadbrzeżne łąki przyjaźnie ścielą się ku wodzie, zamieniając się przy brzegu w podmokłe szuwały.

Charakter tego wybrzeża jest bardzo dynamiczny: sto kilometrów brzegu, mierzonego w linii prostej, daje aż osiemset kilometrów linii brzegowej. Niemal za każdym zakrętem wyłaniają się nowe widoki – najpiękniejsze w okolicy Hallarum, Eriksberg i Järnavik.

Szwecja jest przyjazna dla wędrowców. Gwa-

rantuje to nawet szwedzkie prawo allemansrätten, mówiące, że każdy człowiek ma prawo do kontaktu z naturą, pod warunkiem, że uszanuje jej potrzeby i nikomu nie przeszkadza.

Największe wyspy: Senoren, Sturkö, Tjurkö, Hasslö połączone są z wybrzeżem mostami. Typowy widok to jachty cumujące przy nabrzeżach w małych kamiennych portach, czerwone domki rybackie, rowery, składziki wózków, którymi mieszkańcy dowożą produkty do swoich domostw.

Wyspy to dzisiaj sielskie letniska. Zimą przetrwają tu tylko najwytrwalsi.

Archipelag ma swoje tajemnice. Z racji nieprzewidywalnej linii brzegowej ukryto tu różnego rodzaju fortyfikacje. Zwłaszcza na Aspö, gdzie jest twierdza Drotnigskär. Znajdowały się tu też linie obrony szwedzkiego wybrzeża w okresie pierwszej i drugiej wojny, a także obiekty militarne z czasów zimnej wojny. Spacerując ścieżkami wśród nadbrzeżnych łąk i lasów naprawdę trudno domyślić się ich istnienia.

Mało kto już pamięta, że do roku 1996 cały archipelag był strefą niedostępną dla zagranicznych turystów. Za to wciąż żywa jest historia z 1981 roku, kiedy to na mieliźnie, w pobliżu wyspy Senoren, osiadła radziecka łódź podwodna W-137. Intruza odkrył szwedzki rybak. Łódź została zmuszona do wynurzenia. Dziesięć dni radzieccy dyplomaci trudzili się, negocjując ze Szwedami warunki uwolnienia łodzi, która w końcu została odholowana przez szwedzką Marynarkę Wojenną na pełne morze.

KTO MIESZA W TYM KOTLE

Krajobraz południowej Szwecji to dzieło lodowca. Tutaj rozmach i siła przyrody potrafi wprawić w osłupienie. Jedną z bardziej zaskakujących form polodowcowych są studnie eworsyjne, nazywane jättegrytor, czyli kocioł olbrzyma. To głębokie doły, które stworzyła wprawiona w wirowy ruch woda, zawierająca odłamki skał i piasek. Największe i najbardziej imponujące znajdują się w rezerwacie przyrody w miejscowości Tararp, niedaleko Karlshamn.

Wycofujący się lodowiec pozostawił ogromne głązy narzutowe, osiągające czasem wielkość małych domów. Legendy o rozgniewanych olbrzymach, trollach i czarownicach, które na dźwięk kościelnych dzwonów ciskały skalnymi odłamkami, powstawały właśnie w ich cieniu.

WE WŁOSKIM STYLU

W Karlskronie, przy Stortorget – największym placu Skandynawii – znajduje się siedemnastowieczny kościół św. Fryderyka zbudowany w charakterystycznym dla miasta stylu włoskiego baroku.



DUMA SZWECJI

Miasta regionu: Karlskrona, Ronneby, Karlshamn i Sölvesborg – leżą nad morzem. Jedynie przemysłowe Olofström położone jest w głębi lądu. W dawnych czasach wzdłuż południowego wybrzeża Szwecji przebiegał ważny szlak handlowy. Prężne porty gwarantowały duże zyski. Obszar Blekinge przez wieki był areną walk o wpływ z handlu między Szwecją a Danią. Miasta przechodziły z rąk do rąk. Wojnę zakończył dopiero pokój w Roskilde w 1658 roku, kiedy ziemie te przeszły definitywnie we władanie Szwecji.

Duńskie panowanie odcisnęło wyraźny ślad, zwłaszcza w zachodniej części regionu, gdzie zabudowa częścię wykorzystuje miejscowy kamień i cegłę, a miasteczka bardziej przypominają te, które można spotkać w Danii.

Głównym miastem i stolicą regionu jest licząca 33 tys. mieszkańców Karlskrona, której powstanie podyktowane było względami militarnymi w czasach, kiedy Szwecja anektując nowe terytoria musiała ich bronić. W zatoce, chronionej przez skaliste wyspy, Karol XI postanowił wybudować miasto i bazę marynarki wojennej.

Plan miasta i fortyfikacji jest dziełem wybitnego stratega i architekta Erica Dahlberga. Przez wieki zabudowa miejska i obiekty militarne zachowały się w nienaruszonym stanie. Trzy pierścienie umocnień, szerokie ulice, reprezentacyjne nabrzeża, wielkie place, kościoły oraz zabudowa nawiązująca do najlepszych barokowych wzorców – robią wrażenie. W 1998 roku Karlskrona została wpisana na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO.

Morska wyprawa do Szwecji



od
199 zł*
na osobę

Oderwij się od pełnej rutyny codzienności i zmień otoczenie. Na drugim brzegu Bałtyku czeka na Ciebie turystyczne eldorado! Poznaj to, co najciekawsze w Szwecji i przeżyj morską przygodę. Na lądzie odkryjesz niezwykle piękno tego kraju i unikalne zabytki Karlskrony, miasta wpisanego na Listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO.

W cenie na osobę:

rejs promem, rozrywka na pokładzie, miejsce w kabinie wew. 4-os. z łazienką, ubezpieczenie NW i KL.
*dochodzi dopłata paliwowa w wysokości 25 zł/osoba.

Propozycje wycieczek znajdziesz na naszej stronie internetowej. Zapraszamy!

www.stenaline.pl – (58) 660 92 00


Stena Line
Making good time™



CIESZ SIĘ PRZYRODĄ

Przyjeżdżając tu, warto pamiętać, że szwedzkie prawo daje możliwość biwakowania w dowolnym miejscu, pod warunkiem, że nikomu nie przeszkadzamy i pozostawimy miejsce takim, jakim je zastaliśmy.

KURORT I LETNISKA

Do Kristianopel turyści z Polski trafiają rzadko. A szkoda. Tu naprawdę można poczuć smak szwedzkiego lata. Wąskie uliczki prowadzą wśród małych, okolonych różami, domków rybackich. Od strony morza wznoszą się kamienne mury dawnej duńskiej twierdzy. Pośrodku wsi biegną ściany kościoła, w którym wieczorami odbywają się koncerty. Jest swojsko i przyjemnie, czas zwalnia – bo tak tutaj jest latem.

Ta pora roku w Szwecji rządzi się swoimi prawami. Typowy Svensson (tutejszy Kowalski) to samotnik, introwertyk, zamknięty w kręgu własnych spraw. Latem jest inaczej. Staje się otwarty, niestroniący od towarzystwa innych, wesoły i gadatliwy. Przemianę tę rozpoczyna noc przesilenia letniego – Midsommar, kiedy to stacjni Szwedzi bawią się i tańczą do upadłego.

Lato jest przecież takie krótkie. Trzeba je jak najlepiej wykorzystać.

HISTORIA ZAPISANA W GRANICIE

Wędrując po blekińskich ścieżkach, łatwo można natknąć się na pamiątki sprzed tysiącleci. Pradawne cmentarzyska – kamienne kręgi, kurhany, menhiry (celtyckie nagrobki), kamienie runiczne – to częste elementy krajobrazu. Te magiczne miejsca są atrakcją nie tylko dla poszukiwaczy śladów dawnych kultur i miłośników pradawnej historii. Najwięcej ich można spotkać w środkowej części Blekinge: w Hjortsberga i Hjortahammar.

Na wschodzie regionu, w Mökleryd, w sosnowym lesie ukryte są intrygujące ryty naskalne



FOT. JAROSŁAW CZAJAŃSKI

Horsahallen. Pochodzą sprzed trzech tysięcy lat. Na wielkim, wygładzonym, granitowym bloku anonimowi artyści wykuli ponad 150 obrazów z podobiznami ludzi, rysunki statków, zwierząt i przedmiotów kultu. Ryty, pociągnięte fosforyzującą farbą, są szczególnie atrakcyjne po zmroku.

PTASIE REZERWATY

Płytke i zaciszne zatoki, trawiaste wybrzeże to tereny ptasich lęgów. Są one także ważnym przystankiem w czasie wiosennych i jesiennych ptasich migracji. Każdego turystę-ornitologa zainteresuje przylądek Torhamn i miejscowa stacja ornitologiczna. To ośrodek obrączkowania ptaków i miejsce ich obserwacji. W marcu i kwietniu można tu spotkać na przelotach stada edredonów liczące nierzadko 100 tysięcy osobników! ○

www.poznaj-swiat.pl

JEDYNY SŁUSZNY KURS PRENUMERATA!

Poznaj Świat

ZAMÓWIENIA PRZYJMUJEMY CAŁY ROK:

mailem: prenumerata@poznaj-swiat.pl

na stronie: www.poznaj-swiat.pl

telefonicznie: 58 3508464



CENA PROMOCYJNA

99 zł

12 NUMERÓW W CENIE 10

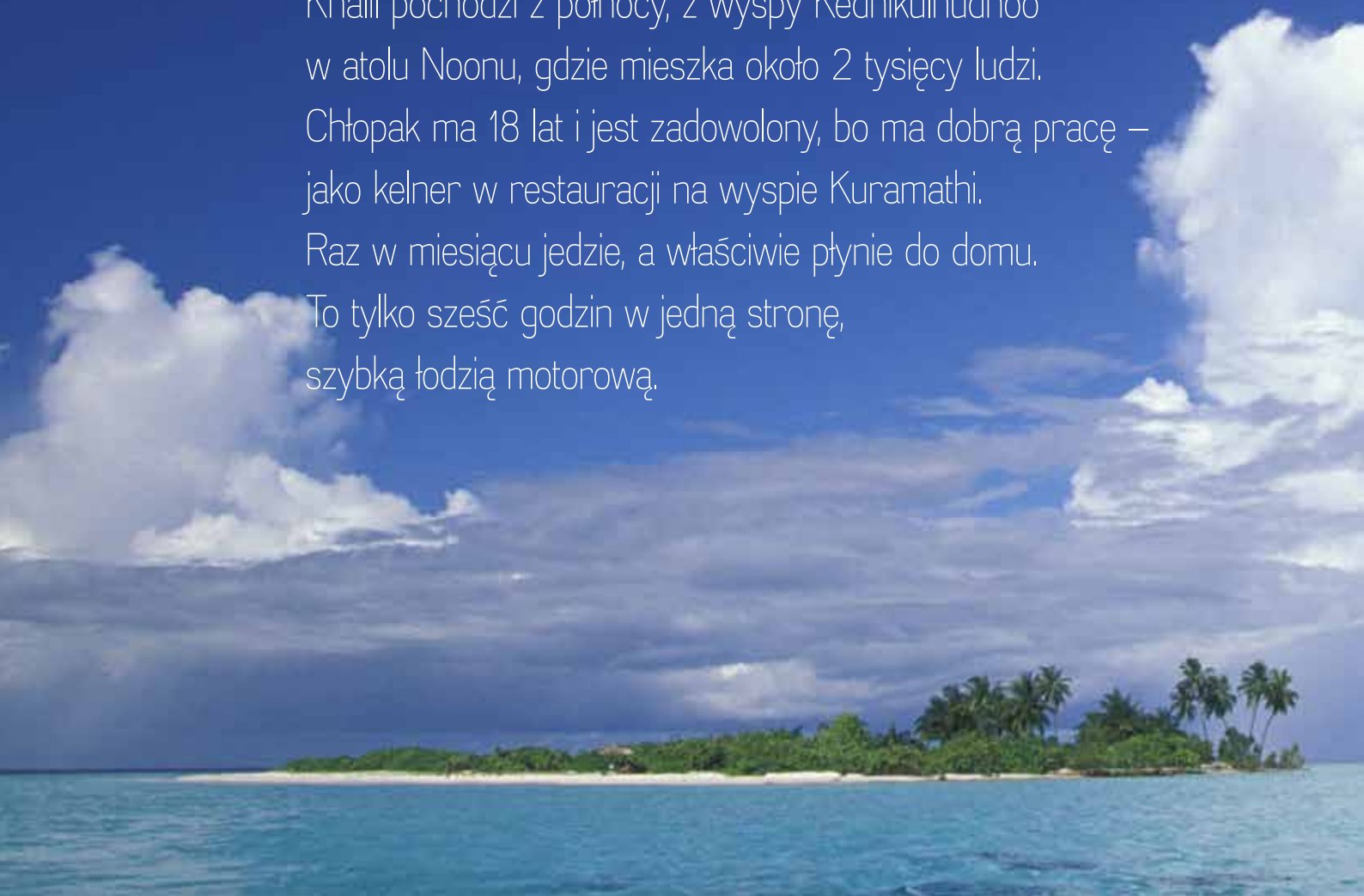
Prenumerata jest wysyłana w ostatnim tygodniu każdego miesiąca.

Turkusowe kleksy, szmaragd oceanu. . .

CHMURY NAD RAJEM

Krzysztof Szwedzik

Khalil pochodzi z północy, z wyspy Kedhikulhudhoo w atolu Noonu, gdzie mieszka około 2 tysięcy ludzi. Chłopak ma 18 lat i jest zadowolony, bo ma dobrą pracę – jako kelner w restauracji na wyspie Kuramathi. Raz w miesiącu jedzie, a właściwie płynie do domu. To tylko sześć godzin w jedną stronę, szybką łodzią motorową.







NICZYM WIELKIE MEDUZY

Archipelag Malediwów
składa się z ponad
tysiąca wysp.

Khalil pomaga finansowo swojej rodzinie. Chciałby też kiedyś pojechać do Male, stolicy jego wyspiarskiej ojczyzny. Ale to na razie zbyt droga wyprawa. Poza tym, jest „wyspiarzem” czyli gorszym (od tych ze stolicy) mieszkańcem jednego z 26 mniej lub bardziej odległych od Male, atoli.

Stolica Malediwów to ich prawdziwe okno na świat – dosłownie i w przenośni, gdyż wyspy muszą importować (z wyjątkiem ryb) praktycznie wszystko – od wody pitnej, przez żywność, odzież, paliwa i materiały budowlane – na środkach transportu (przede wszystkim wodnego) skończywszy. To w Male również lądują wypchane turystami czartery z Europy, Chin, Japonii, Australii i innych, równie egzotycznych dla tutejszych mieszkańców, miejsc.



FOT. BEA W

FOT. BEA W

Turyści odlatują, zauroczeni rajem, który tu zobaczyli. By utrwalić wspomnienia tłoczą się przy oknach samolotów, chcąc raz jeszcze popatrzeć na turkusowe kleksy, rozrzucone po szmaragdowej taflí oceanu.

TRZEBA ROBINSONÓW

Nazwa wysp, nawet dzisiaj, w czasach globalnej wioski, brzmi wciąż egzotycznie i niewiele osób jest w stanie prawidłowo umiejscowić na mapie świata łańcuszek maleńkich wysepek, zagubionych w bezkresie Oceanu Indyjskiego,

Bo Malediwy są naprawdę maleńkie. Gdyby połączyć wszystkie wysepki w jedną, to miałyby ona obszar 298 kilometrów kwadratowych,

czyli tyle, ile nasza Łódź. Taka połączona, wielka wyspa byłaby też mniejsza od europejskich księstw-liliputów – czyli, dajmy na to, Andory lub Malty.

Ile dokładnie wysp liczą Malediwy – tego nie wie nikt, gdyż jedne wysepki dopiero co wyłaniają się z fal oceanu, inne zaś właśnie w nich znikają. Przy czym niebagatelnej, wręcz państwowej wagi nabiera tutaj już samo określenie „wyspa”, na które zasługuje niemal wszystko, co wyłoniło się z morskiej wody i zdążyło... czymś porosnąć (najczęściej trawą, rzadziej tropikalnym buszem lub palmami). Według najnowszej, oficjalnej statystyki, takich „porośniętych” miejsc na Malediwach jest około 1190, z czego tylko 185 zamieszkanych (całe państwo liczy sobie około 300 tys.

POJAWIA SIĘ I ZNIKA

To na pewno jest wyspa
bo rosną na niej drzewa.



FOT. BEŚW



FOT. BEŚW



FOT. BEŚW

obywateli). Prawie tysiąc wysp pozostaje dziewiczymi, wciąż czekając na swoich Robinsonów.

Łańcuszki wysp i wysepek uformowanych w 26 naturalnych atoli to, z lotu ptaka, zachwycający widok. Wedle naukowej definicji „atol” jest rodzajem małej wyspy oraz rafy koralowej w kształcie pierścienia otaczającej centralnie położoną lagunę, która może stanowić odrębny zbiornik wodny lub też być połączona z otwartym morzem. Całe Malediwy składają się właśnie z takich atoli.. Największy z nich, Huvadhoo ma 65 km szerokości i 82 km długości, podczas gdy najmniejszy – Thoddoo – ma zaledwie 1,8 km średnicy. Głębokość lagun wewnątrz malediwickich atoli sięga zwykle 30-50 metrów, choć akurat we wspomnianym Huvadhoo wynosi aż 90 metrów.

JAK TO PO CO?!

Po co setki tysięcy turystów latają każdego roku na te Malediwy, skoro nie ma tam ani godnych uwagi zabytków, ani miast z ekskluzywnymi sklepami, ani innych wytworów współczesnej cywilizacji – w rodzaju parków rozrywki, centrów handlowych, czy też choćby nawet...zwykłych pól golfowych?

Na Malediwy jeździ się po to, aby od tego wszystkiego uciec.

Jeździ się nurkować, pływać na czymkolwiek lub po prostu leniuchować na idyllicznie pięknych plażach. Według międzynarodowej statystyki turystycznej, Malediwy to jedno z najbardziej ulubionych miejsc dla nowożeńców z całego świata. To biały piasek plaży obmywanej turkusową wodą ciepłego morza, bajecznie kolorowe ogrody tropikalnej roślinności oraz niebywale piękne zachody słońca, które stanowczo zbyt szybko zanurza się w oceanie.

BÓJ SIĘ KOKOSA

Uciekający od cywilizacji – lecz nie od komfortu i luksusu – turyści cenią sobie również bezpieczeństwo klimatu i przyrody Malediwów, które są dla człowieka wyjątkowo łaskawe – nie ma tu bowiem komarów, węży, insektów czy też dzikich zwierząt. Dzięki ożywczej bryzie od oceanu nie odczuwa się upałów i przez cały rok dzienna temperatura oscyluje w przedziale 25-30 stopni C.

Z WYSPY NA WYSPĘ

...a pomiędzy spotkanie ze skrzydlicą.

sztof Szwedzik
PHOTOGRAPHY

Tak naprawdę, to na Malediwach czyhają na człowieka jedynie trzy niebezpieczeństwa, z których najpoważniejszym jest słońce (w końcu to równik!). Wystarczy zaledwie kilkanaście minut nurkowania z fajką, aby dotkliwie poparzyć sobie plecy i pięty (jeśli ktoś przypadkiem zapomni o obowiązkowej koszulce oraz specjalnym obuwiu do pływania i chodzenia w wodzie).

Korale, z których zbudowane są malediwickie wysepki są dla turystów drugim z niebezpieczeństw, a wejście do wody bez właściwego obuwia kończy się zazwyczaj skaleczeniem. Za to już po białym jak śnieg piasku na lądzie można spokojnie chodzić boso, co praktykują chętnie wszyscy mieszkańcy i turyści. Ostatnie z tutejszych niebezpieczeństw czai się na turystów w palmowych ga-

jach porastających wyspy, a są nim spadające nagle z drzew... kokosy.

Innych zagrożeń na Malediwach w zasadzie nie ma, więc nic dziwnego, że co roku przyjeżdża na wyspy ponad pół miliona turystów z całego świata. Oni napędzają tutejszą gospodarkę, przysparzając jej jedną trzecią dochodu narodowego. Turystyka dostarcza także około 70 proc. obcych walut, co ma ogromne znaczenie dla kraju niemal całkowicie uzależnionego od importu. Ale malediwickie władze pieczołowicie pilnują, aby bajecznie piękne skrawki tutejszego lądu nie padły łupem masowego przemysłu turystycznego (jak np. w Egipcie). Ma temu zapobiegać odpowiednia polityka cenowa, która sprawia, że generalnie rzecz biorąc pobyt na Malediwach do tanich nie należy.

MALEDIWY – MIEJSCE DO ŻYCIA

Znaczną część 400-tysięcznej populacji mieszkańców archipelagu, stanowią przybysze z Indii i Sri Lanki.





RAJ ZAGROŻONY

Życie w tym idyllicznym otoczeniu łaskawej dla człowieka przyrody mogłoby się nadal toczyć leniwie, gdyby nie okazało się, że nawet w raju też można mieć problemy... Zwłaszcza jeden z nich, spędza tutejszym mieszkańcom sen z powiek, gdyż grozi – w najgorszym scenariuszu – zupełnym unicestwieniem malediwskiego państwa. Sęk jednak w tym, że ewentualne rozwiązanie tego problemu leży całkowicie poza możliwościami samych Malediwan.

Chodzi o zmiany klimatyczne na Ziemi, których jedną z najgroźniejszych konsekwencji może być podniesienie się poziomu wody w oceanach. Dla Malediów, które oprócz położonego na Pacyfiku archipelagu Tuvalu oraz sporych połaci Bangladeszu i Holandii, mają nieszczęście być jednym z najniżej położonych krajów świata (najwyższe wzniesienie malediwskiego lądu ma zaledwie 2 m wysokości), brzmi to jak wyrok śmierci. Jeśli bowiem złowieszcze prognozy się spełnią i woda w oceanach podniesie się choćby o metr, to całe państwo w jego dzisiejszym kształcie przestanie istnieć. I raj zniknie.



WSZYSCY DO AUSTRALII?

Przedstawiciele Malediwów są obecni na wszystkich konferencjach naukowych poświęconych zmianom klimatycznym, głośno domagając się podjęcia przez wspólnotę międzynarodową bardziej zdecydowanych działań. Determinacja rządu Malediwów w tej dziedzinie jest tak duża, że ostatnio odbyło się jedyne w dziejach ludzkości... podwodne posiedzenie tamtejszego rządu, którego ministrowie – zasiadając za podwodnym stołem obrad w maskach i sprzęcie nurkowym – próbowali zwrócić w ten sposób uwagę światowej opinii publicznej na ten życiowy dla nich problem.

Na wszelki wypadek, Malediwiowie zaczęli się już rozglądać za ewentualną nową ojczyzną,

a braterską pomoc zaoferowała im Australia, która gotowa jest przyjąć pod swoje niebo, cały 300-tysięczny naród dzielnych i pracowitych wyspiarzy.

ROBIĄ SVOJE

Jak na razie – Malediwiowie zagospodarowują kolejne wyspy – inwestując w nowe ośrodki turystyczne. Podwyższają też standard tych już istniejących, przestrzegając ustalonych niegdyś zasad. Na przykład tej, przewidującej, że jedna wyspa to jeden resort turystyczny (z wyjątkiem wyspy Kuramathi). Wciąż też obowiązuje rygorystyczny podział na wyspy tubylcze, czyli zamieszkane przez



miejsców ludność oraz stricte turystyczne, na których może przebywać jedynie obsługa bazy hotelowo-gastronomicznej.

Bywa, że jakość usług turystycznych na Malediwach przyprawia o zawrót głowy nawet przyzwyczajonych do luksusu turystów z najbogatszych krajów. Efektowne wnętrza i ekskluzywne bungalowy, „rybackie chaty” z klimatyzacją, pawilony spa and wellness, restauracje... Wszystko to w niskiej zabudowie, nie wyższej od pióropuszy okolicznych palm, z wykorzystaniem wyłącznie naturalnych materiałów: egzotycznych gatunków drewna, kamienia i szkła. Niektóre z tutejszych ośrodków prezentują tak wysoki

poziom komfortu i obsługi, że zdobywają główne laury w najbardziej prestiżowych, ogólnościowych konkursach. W końcu nawet największym snobom nie zdarza się często biesiadować w szklanej restauracji 12 metrów pod wodą, gdzie bez użycia aparatu tlenowego, za to z kieliszkiem wina w rękę można obserwować fantastycznie kolorowe życie tutejszej rafy koralowej. Oczywiście za taki luksus trzeba słono płacić, ale na szczęście są też na Malediwach i tańsze ośrodki turystyczne, dostępne dla portfela mniej zamożnych turystów. W tym również tych z Polski, których stale przybywa. To około 10 godzin lotu samolotem z Europy. Ale warto – gdyż bliższego nam raju chyba nie ma, a ten warto zobaczyć zanim – nie daj Boże! – zniknie. ○

NASZE ULUBIONE FOTOTAPETY



TURCJA MUZY ATATURKA

KOBIETY ISLAMU, SPOWITE METRAMI SZLACHETNYCH MATERIAŁÓW, JEDYNIIE TRZEPO-
TEM SWOICH RZĘS MOGĄ KOKIETOWAĆ ŚWIAT. BEZ PRAWA DO POSIADANIA WŁASNYCH
POGLĄDÓW I PRAWA DO OBYCZAJOWEJ WOLNOŚCI, OD LAT BUDZĄ NIEPOKÓJ OPINII
PUBLICZNEJ.

Turcja to jedyny kraj muzułmański, w którym kobiety burzą cały system zasad, jaki niesie ze sobą Islam.

KORAN KONTRA VOGUE

Pejzaż tureckiego miasta jest niezwykle dynamiczny. Głosy zatrudnionych w meczetach muezzinów, wzywających pięć razy dziennie wiernych do modlitwy, nieubłagane walcą z okrzykami kupców czających się za każdy rogami ulicy. W południe spacerujący stają w obliczu konfliktu chwytanej w nozdrza mieszaniny zapachów: mocnej herbaty i pieczonego na ogniu mięsa, z unoszącą się w powietrzu łuną tytoniowego dymu i oparów spalinowych. Korki w godzinach szczytu wywołują nie tylko nerwowe polemiki wśród kierowców, ale i często krwawe szarpaniny, które nie budzą zdziwienia przechodniów. Najatrakcyjniejszym jednak elementem tego niebywałego krajobrazu jest nietuzinkowa uroda tureckich kobiet. W odległych czasach ich pięknem zachwycali się Adam Mickiewicz i Gustav Flaubert, a Theophile Gautier – podziwiając ich tajemniczość z odległości – radził: „Za nic nie ważcie się pytać tureckich mężów o to, jak miewają się ich żony.” Dziś Turczynki mogą pozwolić sobie na o wiele bardziej zuchwałe pokazywanie swoich

wdzięków. Mając wrodzony zmysł poczucia estetyki i piękna, doskonale znają się na modzie. W niebotycznych szpilkach, z wyzywającym makijażem na twarzy i kilogramami złota na szyi, na przekór prorokowi Mahometowi, z gracją ozdabiają to egzotyczne miejsce.

FEMINISTYCZNY KEMALIZM

Według Koranu: „Mężczyźni stoją nad kobietami, ze względu na to, że Bóg dał wyższość jednemu nad drugim.” Silnie określone reguły nakazywały niegdyś wszystkim Turczynkom zakrywać ciała, włosy, a nawet twarze. Nie miały one ani możliwości zdobycia wykształcenia, ani brania udziału w głosowaniu. Realia te zmieniły się wraz z reformami pierwszego prezydenta Turcji, Mustafy Kemala Atatürka. Przeprowadzone przez niego w latach 30. reformy prawne i społeczne doprowadziły nie tylko do ograniczenia ingerencji islamu w politykę państwa, ale przede wszystkim do wyzwolenia kobiet. W trakcie jego rządów wprowadzono ustawy gwarantujące kobietom niezależność prawną i polityczną oraz obowiązkową edukację. Propagowano także europejski styl ubierania się. Silny wpływ na zmianę losu kobiet w Turcji miała Latife Hanim, żona Atatürka, która namówiła męża,

by dał kobietom prawo do głosowania i kandydowania do parlamentu.

Dziś większość wykładowców z czołowych, tureckich uniwersytetów, zabrania studentkom przychodzenia na wykłady w tradycyjnych nakryciach głowy. W lipcu 2009 roku, dziennikarka pisma „Hurriyet,” Ayşe Arman przeprowadziła eksperyment. Na co dzień permanentnie farbowana blondynka, tym razem założyła na głowę chustę i udała się na spacer po różnych dzielnicach Stambułu. W tych najbardziej ekskluzywnych była traktowana wręcz z ostantacyjną niechęcią. Jako stały, honorowy gość ekskluzywnego klubu Reina, znanego z tego, iż bawią się tam tureckie gwiazdy, nie została wpuszczona, pomimo wcześniejszej rezerwacji stolika.

OD KONSTANTYNOPOLA DO STAMBUŁU

Stambuł, choć nie jest już dziś stolicą Turcji, bezkonkurencyjnie pokonuje Ankarę w dziedzinie kulturowego rozwoju. Jako główne centrum finansowe kraju, jest nie tylko siedzibą kilkudziesięciu banków, ale i wytwórni filmowych, muzycznych, a także niebywale rozwiniętych agencji reklamowych. To tutaj znajdują się należące do segmentu prasy kobiecej najważniejsze redakcje gazet, takich jak:

„Elle”, „Cosmopolitan”, czy „Harpers Bazar”. Niecały rok temu otwarto tu nawet redakcję prestiżowego magazynu Vogue. „To nie jest Paryż, ale staramy się tu stworzyć jego namiastkę” – wyznaje Emre Unal, piękna Turczynka z platynowym irokezem na głowie. Tę ekscentryczną posiadaczkę męskiego imienia – Emre, już dziś można zaliczyć do najzdolniejszych fotografów w całej Europie.

Turecki purytyzm został unicestwiony wraz z nadejściem pop-kultury. Tematem z okładki pierwszego, tureckiego wydania miesięcznika „Cosmopolitan” był artykuł pt. „Przespałam się z gejem”. Kolorowe edytoriale czołowych magazynów mody epatują seksualnością kobiet w tak wyrazisty sposób, że niektóre słowiańskie kraje właśnie z tego powodu stronią od publikowania ich przedruków.

Niezwykle rozwinięty w Turcji jest także rynek muzyczny.

Przesączone erotyzmem, wielobarwne teledyski Tarkana, Akina Dayinlaria czy Serdara Ortaca, najczęściej przedstawiają wijące się w niemalże narkotycznej ekstazie półnagie, tureckie tancerki. Kiedyś branża muzyczna w Turcji była przede wszystkim zdominowana przez mężczyzn, jednakże w ostatnich 20 latach kobiety wywalczyły sobie równorzędne prawo do bycia gwiazdami estrady.

Ostatnią rzeczą, na którą zwracają uwagę fani tureckich piosenek, jest ich nietuzinkowy wokal. Na koncertach artystki hipnotyzują widzów swoimi ponętymi kształtami i tańcem, który poprzez swą zmysłowość ma wymiar wręcz elektryzujący. Sceniczne kreacje Hande Yener, Nil Ozalp, a nawet sędziwej już dziś Hulya Avşar, w niczym nie ustępują strojom Madonny, Britney Spears czy Shakiry. „Nigdy nie oceniam ludzi według stroju i uważam, że inni nie powinni oceniać mnie negatywnie za to, że założyłam seksowną sukienkę. Nie widzę różnicy między mężczyzną a kobietą, od 17. roku życia ciężko pracuję po to, aby być niezależną kobietą” – powiedziała Nil Ozalp.

WALKA O WŁADZĘ

Kiedy w 1993 roku Tansu Ciller, jako pierwsza kobieta w historii Turcji została premierem, świat nie ukrywał zdziwienia; tym bardziej, że jako liderka partii konserwatywnej większość głosów zebrała od ortodoksyjnych mieszkańców wsi i miast Anatolii. Wraz z Semrą Ozal, żoną nieżyjącego już dziś prezydenta Torguta Ozala, popierała inicjatywy równouprawnienia kobiet. Pomimo, że na prowincji los Turcynek nadal nie jest łatwy, w większości



miast styl życia kobiet, w ostatnich latach, uległ całkowitej metamorfozie. Kiedyś musiały pytać męża o zgodę na podjęcie pracy. Dziś to już przeżytek. Często otwierają własne firmy lub stoją na czele wielkich korporacji, zarządzając tysiącem ludzi. Aktywizacja zawodowa Turczynek jest też niewątpliwie związana z kandydowaniem Turcji do Unii Europejskiej.

W 2002 roku została zarejestrowana organizacja kobiet – przedsiębiorców: KAGIDER. Jest to pozarządowa organizacja, która wspiera akcję „Inicjatywa kobiet w Turcji i w Unii Europejskiej”. Fundacja ta sponsoruje również kobiety przyjęte do Programu Rozwoju Przedsiębiorczości, prowadzonego przez Uniwersytet Sabanci. Wraz ze staraniami o przyłączenie Turcji do Unii Europejskiej ruszyła akcja „Kobiety dla Kobiet”, wspierana przez program Matra. Do akcji dołączyła się holenderska organizacja Nehem International. Najśłynniejsze tureckie bizneswomen, takie jak Umit Boyner – prezes Boyner Holding, Leyla Alaton – właścicielka firmy Alarko, czy sławna miliarderką Güler Sabancı – wspierają Turcję w unijnych dążeniach. „Otrzymujemy wsparcie od niemieckich i francuskich biznesmenów. Teraz Francja i Niemcy, powinny nam pomóc politycznym poparciem” – mówiła na konferencji prasowej Umit Boyner. Orhan Pamuk, turecki laureat Literackiej Nagrody Nobla, w książce pt. „Śnieg” napisał, że „samobój-

stwo jest lepsze od uległości” i choć nie kierował tych słów do tureckich muzumanek, trafiają one w samo sedno ich aktualnych poczyną. Dziś Turczynki robią wszystko, by pokazać jak bardzo nadgrzane zębem czasu są mądrości zawarte w Koranie, a przede wszystkim frazy zawierające przeświadczenie o wyższości testosteronu nad estrogenem. Nie poddają się w swojej walce o niezależność. Z krwiście czerwoną szminką na ustach, odpalając jednego papierosa od drugiego, nieustannie walczą z wynaturzeniami zasad własnej religii.

AGNIESZKA BARTUSIAK:



Z wykształcenia jest filologiem polskim i dziennikarką. Współpracuje z wieloma redakcjami. Jest modelką reprezentującą największe światowe agencje.

AFRYKA | Tunezja



Krystyna i Aleksander Rabij

MIASTO KARAWANA

Tam gdzie Okba zszedł z rumaka



FOT. SHUTTERSTOCK

W 670 roku uczeń proroka Mahometa – Okba ibn Nafi, po raz trzeci w ciągu ostatnich 25 lat, ruszył przeciwko niewiernym na czele swej 15-tysięcznej armii. Nagle jego koń zgubił podkowę. Okba zszedł z rumaka i pochylił się, by ją podnieść. Zamiast podkowy zobaczył źródło, a pod powierzchnią wody złoty kielich. Ten sam, który kilka lat wcześniej zaginął w Mekce!

Okba, w obliczu prawdziwego cudu, postanowił zaprzestać walki z niewiernymi, a w miejscu odnalezienia skarbu wybudować pierwszą arabską stolicę w Afryce Północnej.

WIELKOŚĆ NA UBOCZU

Miasto Kairouan leży na pełnym pustkowiu, tędy przebiegały szlaki karawan. W pierwszych latach wielkiej ekspansji arabskiej było to doskonałe miejsce na stolicę. Kairouan w języku arabskim oznacza właśnie karawanę.

Położenie, dokładnie w połowie drogi między terytoriami największych wrogów – górskiego plemienia Berberów i zamieszkujących wybrzeże bizantyjczyków – pozwalało Arabom w pełni kontrolować sytuację. Największym jednak atutem Kairouanu był suchy i niegościenny klimat,

zniechęcający ewentualnych nieproszonych gości. Do dziś właśnie nieznośna temperatura, unoszący się w powietrzu gęsty pył i rozgrzane od słońca mury, strzegą tego wyjątkowego w Tunezji miasta.

Dla większości turystów jest tu zbyt gorąco i choć z Tunisu jedzie się tu jedynie 3 godziny, a z Monastiru tylko godzinę, autokary w drodze na Saharę zatrzymują się pod Wielkim Meczetem jedynie na 15 minut.



FOT. KRISTYNA / ALEXANDER RIBU

MOCNA RZECZ

Wielki Meczet jest jak twierdza, co w przeszłości już się przydawało.

Kairouan nie ma sławy starożytnych marokańskich miast – Fezu czy Marrakeszu i może dlatego jest szczególnie fascynujący. W dzisiejszych czasach trudno przecież znaleźć miejsce wypełnione bezcennymi zabytkami, które w ciągu tygodnia zwiedza średnio może pięciu indywidualnych turystów. Pewnie dlatego ceny są tu niskie i – co wydawałoby się w Tunezji niemożliwe – takie same dla tubylców i podróżników.

KRÓTKA DNIÓWKA

Za podwiezienie nas z przystanku do biura informacji turystycznej przy hotelu Continental taksówkarz żąda tylko 1 dinara (niespełna dwóch złotych!).

Tuż przy biurach możemy zobaczyć zabytek z VIII wieku – baseny Aghlabidów. To właśnie za czasów tej dynastii wybudowano ogromne zbiorniki, w których przechowywano wodę sprowadzaną ponad 32-kilometrowym akweduktem z gór Atla-

su Telskiego. Dzięki tej iście wizjonerskiej decyzji mogło się tu rozwinąć rolnictwo i handel a Kairouan z pustynnego odludzia, zmienił się w ważny ośrodek intelektualny.

Główną atrakcją każdego arabskiego miasta jest medina – czyli starówka. Ta w Kairouanie została umieszczona na liście Światowego Dziedzictwa UNESCO. Otaczają ją mury z VIII wieku. Kolejni najeźdźcy według własnych potrzeb rozbudowywali je lub demontowali. W czasie II wojny światowej Niemcy użyli piaskowca z murów medyny do budowy pasa startowego...

Na souku uliczki są bardzo wąskie, a dzień pracy trwa tu wyjątkowo krótko. Ten gigantyczny targ zamykany jest już o czternastej. To przez nieznośny upał.

7 X KAIROUAN = MEKKA

Pokręconymi uliczkami docieramy do Wielkiego Meczetu. To najwspanialszy zabytek miasta, surowością architektury przypominający raczej twierdzę niż świątynię. To zresztą cecha charakterystyczna budowli w północnej Afryce, gdzie muzułmanie często bronili się przed najeźdźcami w twierdzach lub właśnie w meczetach.

Wielki Meczet ufundował w VII wieku właśnie Okba ibn Nafi. Od tamtej pory wielokrotnie go przebudowywano. Podobno jego dziedziniec meczetu może pomieścić 200 tysięcy osób. Tłumy pielgrzymów często go wypełniają, bo miasto, uznawane za święte, cieszy się wielką rangą w świecie islamu. Siedem pielgrzymek do Kairouanu ma wagę jednej pielgrzymki do Mekki.

CYSTERNA POD MECZETEM

Najważniejszy na dziedzińcu Wielkiego Meczetu jest system zbierania wody deszczowej. Pada tu rzadko, więc woda jest tak cenna, iż trzeba ją zbierać. Pod placem wybudowano zespół cystern, posadzkę zaś ułożono pod kątem – tak by ze wszystkich stron woda spływała do zdobionego odpływu.

Przepiękna sala modlitw wypełniona jest kolumnami w najróżniejszych stylach, przywiezionymi tu z rzymskich miast, głównie z Kartaginy. Nie możemy tam wejść. Tutaj prawo zabrania wchodzenia do sali modlitw wyznawcom innych religii. Jednak drzwi są szeroko otwarte – więc możemy cieszyć się tym widokiem.

Zwraca uwagę dywan – dar z Arabii Saudyjskiej. Jego wzór jest tak przemyślany, by dokładnie wyznaczyć miejsce dla każdego wiernego.

WNĘTRZE WIELKIEGO MECZETU

Wzór dywanu wyznacza miejsca do modłów.

ŚWIĘTA WODA BEZ CERTYFIKATU

Jest coraz goręcej, a według znanej w całej Tunezji legendy, jedynie woda ze studni Bir Barouta może ugasić pragnienie wędrowca. Podobno ten, kto napije się tej wody – na pewno kiedyś wróci do Karouanu. Nie udało nam się jednak znaleźć nawet jednej wzmianki o jej przydatności do spożycia.

Legenda mówi, że źródło Okby ibn Nafego połączone jest ze studnią Zem-Zem w Mekce. Zaprzęgnięty w kierat wielbłąd na sygnał – okrąży studnię. Sterowany jest rytmicznymi kłaśnięciami poganiacza. Każdy, kto jest spragniony, może się napić i ugasić pragnienie. Woda jest mętna – zamiast niej wybieramy więc menthe – herbatę w pobliskim barze.

CZAS NA SOUK!

Idziemy na souk. Zapach perfum miesza się z zapachem orientalnych przypraw. Odwiedzamy małe sklepiki i warsztaty, w których z trudem mieści się jedna osoba. Obok ktoś naprawia buty, inny torby i paski. Na uboczu dostrzegamy



FOT. KRYSZNA ALEXANDER RABU

KIERAT CODZIENNY

W kółko to samo – wielbłąd pompuje świętą wodę.



FOT. KRYSZYŃA ALEKSANDER RABUJ



FOT. KRYSZYŃA ALEKSANDER RABUJ



FOT. KRYSZYŃA ALEKSANDER RABUJ

warsztat wypełniony wełną i skrawkami materiału. Wewnątrz głuchoniemy właściciel z dumą prezentuje swoje wyroby.

Zbliża się czternasta. Pozostała nam wyprawa na drugi koniec starego miasta – za mury medyny. Łapiemy taksówkę i za 1 dinara, po dłuższej jeździe w rytmie religijnej muzyki wysiadamy przy Meczezie Fryzjera. Czekaliśmy na ten moment od dawna – w końcu to jedna z najpiękniejszych świątyń w północnej Afryce.

Meczet słynie z wyjątkowo wyrafinowanych zdobień, kontrastujących z surową, monumentalną architekturą.

Ostatni z przedsionków przykrywa kopuła, otoczona kolorowymi małymi witrażami. Jest to jednocześnie mauzoleum ucznia i towarzysza Mahometa – Abu Zama el-Balawiego, który miał zwyczaj noszenia przy sobie trzech włosów z brody Proroka. Stąd wzięła się potoczna nazwa świątyni: Meczet Fryzjera.

W całej Tunezji to miejsce jest znane z zupełnie innej przyczyny. To właśnie tu ubodzy wierni, zupełnie za darmo, mogą dokonać rytualnego obżezania i to fachową ręką chirurga. Tunezyjscy lekarze kończą francuskie akademie medyczne, więc możliwość darmowego skorzystania z ich umiejętności i jednocześnie wywiązanie się z obowiązku wiernego muzułmanina jest wyjątkową okazją.

BARWY SUKU

Ciasny sklepik z mydłem i powidłom,
gotowe do odlotu czarodziejskie dywany
czy też willa paszy od środka
– wszędzie nadmiar barw.



ZA CZYM KOLEJKA TA STOI?

Dochodzimy do głównego dziedzińca. Stara kobieta w chustce na głowie gra na bębnie. W podcieniach odpoczywają odświętnie ubrani ludzie. Z wnętrza dobiega zaśpiew kobiet. Jesteśmy pewni, że to ślub.

Na szyi wieszają nam amulety w kształcie serca. Ustawiają w kolejce. Stoimy cierpliwie 10 minut.

– *Do obrzezania?* – słyszę, a mój 9-letni syn Milan błednie jak ściana. – *Nieeeee!!!*

Reaguję dość nerwowo. Odsłaniam okno, by zerknąć do środka i przez chwilę widzę przerażoną twarz kobiety. Ktoś leży na ziemi, otacza go krąg ludzi. Zasłaniają mi okno.

– *Tylko dla muzułmanów!*

Wokół – atmosfera święta. Częstują nas cukierkami. Z meczetu wychodzi chłopiec. Prawie mdleje. Jest ubrany tradycyjnie. Spod krótkiej tuniki wystaje bandaż. Jakiś mężczyzna szybko gestem sprawdza opatrunek chłopca. Matka pomaga dziecku ułożyć się na macie i podaje mu coś do picia. Transowa muzyka nie ustaje. Wewnątrz rozpoczęło się kolejne obrzezanie. Po krótkim odpoczynku i modlitwie ojciec ubiera chłopca w białą galabiję i wynosi z meczetu. Za nimi podążają goście. Wsiadają na pakę pickupa. Czekają ich powrót do domu w męczącym upale,

ale warto było: w rodzinie ubyło dzieci a przybyło mężczyzn.

GOŚĆ W DOM...

Odpoczywamy w małej kawiarence przy ruchliwej ulicy. Naprzeciw jest dworzec tanich mikrobusów, które są tu popularnym środkiem transportu. Do odjazdu mamy trochę czasu, ale jesteśmy wykończeni upałem. Pijemy cytrynowo–migdałowy sok z automatu, ale olbrzymie szklanki starczą tylko na jeden łyk. Bierzymy dwie następne kolejki. Ku naszemu zdumieniu każda jest tańsza od poprzedniej. Na koniec właściciel przynosi nam menthe, a jego córka ciasteczka.

– *My tego nie zamawialiśmy!*

– *Wiem* – z uśmiechem odpowiada szef knajpki – *to na koszt firmy. Jesteście moimi gośćmi, nieczęsto ktoś tu przyjeżdża.*

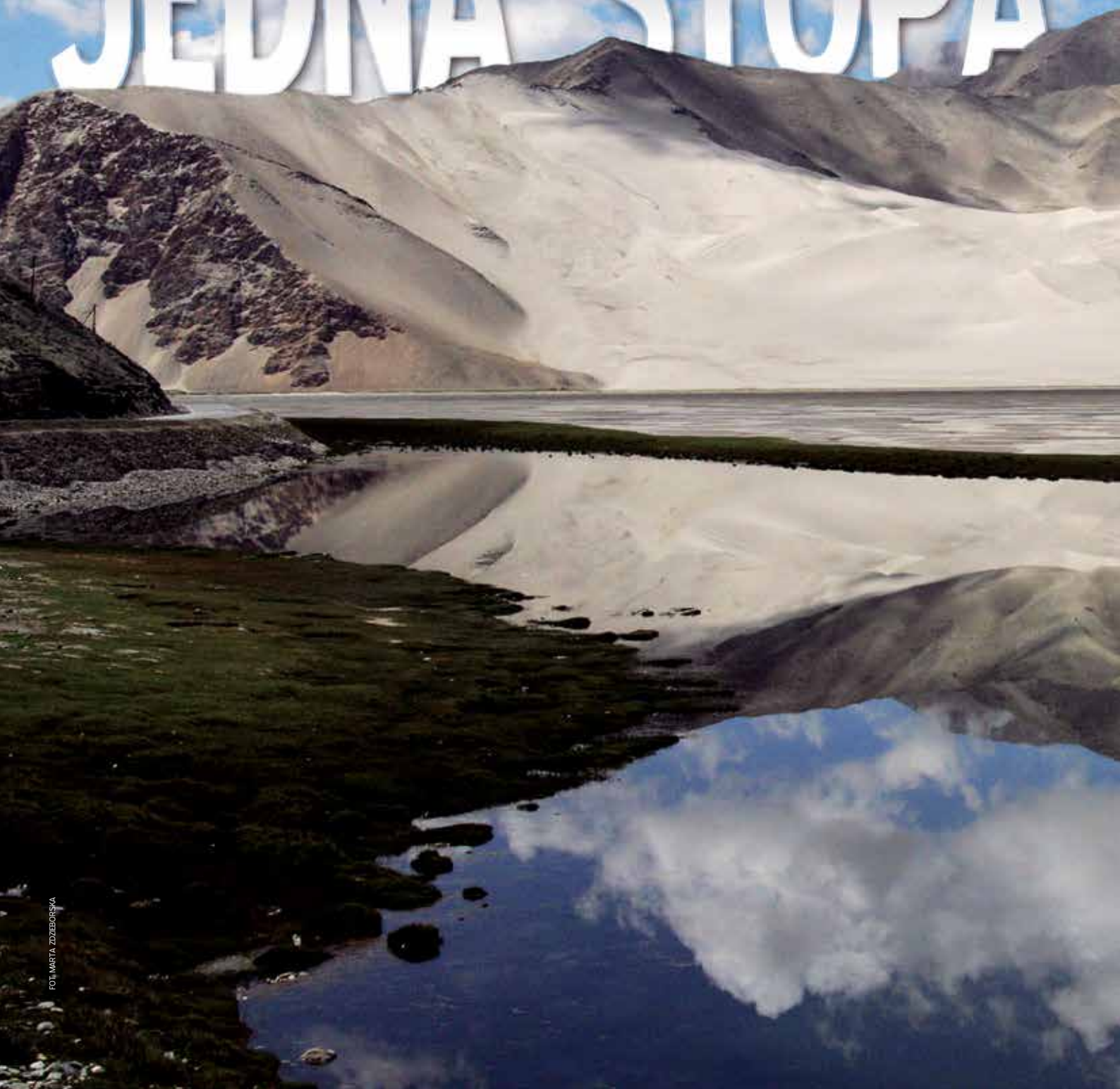
Niechętnie opuszczamy Kairouan. Za niecałą godzinę busik dowiezie nas do turystycznego centrum na wybrzeżu. Zostawiamy za sobą taką Tunezję, jaką chcemy zapamiętać.

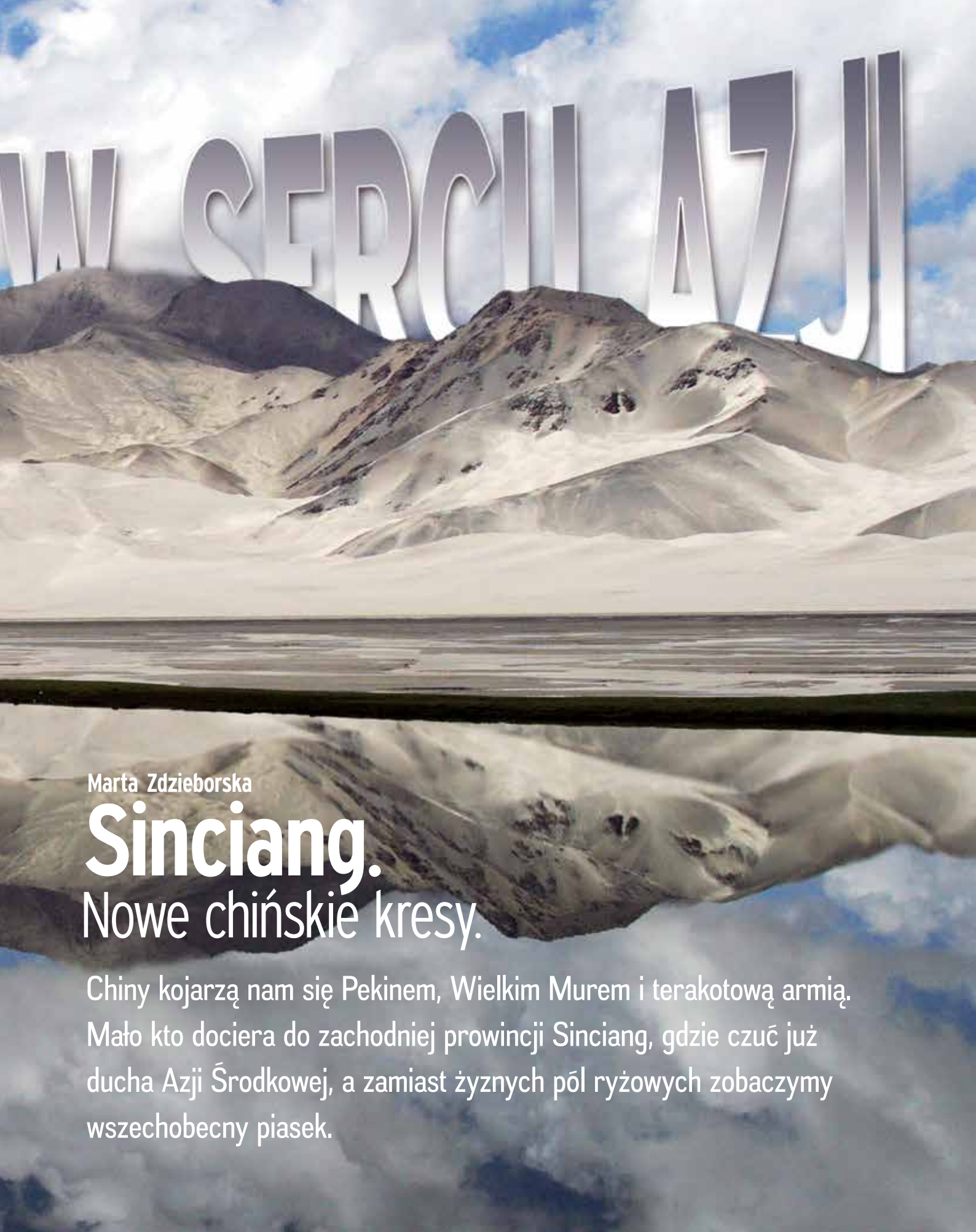
Krystyna i Aleksander Rabij / www.rabij.com

SZPITAL PRZEMIENIENIA

W Meczecie Fryzjera nie strzygą. Tu dokonuje się aktu obrzezania.

JEDNA STOPA



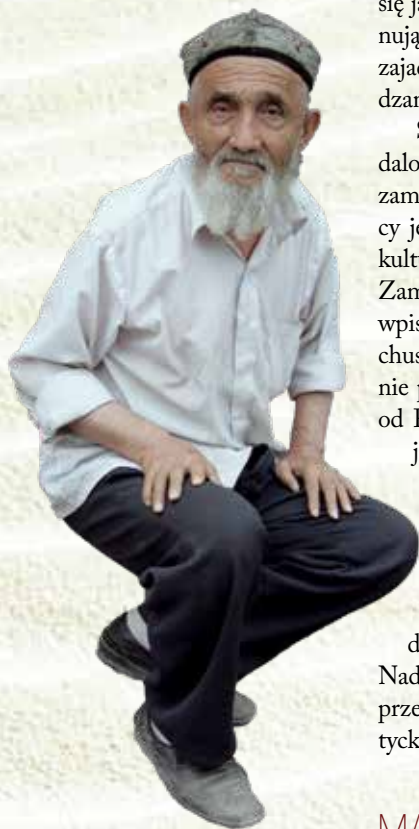


W SINCIIANIE

Marta Zdzieborska

Sinciang. Nowe chińskie kresy.

Chiny kojarzą nam się Pekinem, Wielkim Murem i terakotową armią. Mało kto dociera do zachodniej prowincji Sinciang, gdzie czuć już ducha Azji Środkowej, a zamiast żyznych pól ryżowych zobaczymy wszechobecny piasek.



UJGUR CZY CHIŃCZYK?

To będzie pewne dopiero wtedy, gdy dopytamy, w co wierzy i co je.

ZAULĘK W URUMCZI

Nie dotarła tu jeszcze nowoczesność w chińskim stylu.

Gdy powiedziałam moim chińskim znajomym, że wybieram się do Sinciang – patrzyli na mnie z niedowierzaniem. Obszar, zajmujący jedną piątą terytorium Państwa Środka, wielu Chińczykom jawi się jako odległa, nieprzystępna kraina, gdzie dominującą religią jest islam, a zamiast ryżu, mieszkańcy zjadają się okrągłymi chlebkami nang i przyrządzaną na różne sposoby baraninę.

Sinciang – znaczy: Nowe Kresy. Miasto, oddalone o cztery tysiące kilometrów od Pekinu, zamieszkane jest przez Ujgurów. Lud ten, mówiący językiem podobnym do tureckiego, ma więcej kulturowo wspólnego z Turkami niż Chińczykami. Zamiast świątyń buddyjskich, w krajobraz miast wpisują się liczne meczety. Kobiety noszą barwne chusty, a bardziej konserwatywni mężczyźni dumnie prezentują długą brodę. Ten, trochę oderwany od Państwa Środka świat, z roku na rok staje się jednak bardziej chiński. Podobnie jak do Tybetu, przyjeżdża tutaj coraz więcej śmiałków w poszukiwaniu lepszej pracy.

Stolica prowincji, Urumczy, to miasto jak każde inne. Jest zdominowana przez ogromne wieżowce, w których cieniu codziennie wieczorem odbywają się lekcje tai chi. Nadal jednak panuje tutaj duch ujgurskiej kultury, przesiąkniętej mieszkanką islamu i środkowoazjatyckiej egzotyki.

MANHATTAN NA PIACHU

W Urumczy nie ma wielu zabytków. Wystarczy dwa dni, żeby poznać całe miasto. Warto tu jednak przyjechać, żeby zrozumieć zachodzące przemiany. Sztucznie wyznaczona przez Pekin stolica prowincji była niegdyś wyludnionym widmem – dziś zaś nabiera kosmopolitycznego charakteru, przyciągając rzesze Chińczyków z interioru oraz kazachskich i rosyjskich biznesmenów. Wieżowce w centrum miasta imitują Manhattan, a centra handlowe obwieszone są plakatami zachodnich gwiazd.

O drażliwej historii przypomina pomnik na pamiątkę wkroczenia do Sinciangu Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej w 1949 r. Wtedy to zakończyły się trwające pięć lat niepodległe rządy Ujgurów (druga republika Wschodniego Turkiestanu). Pekin, zainteresowany wydobyciem tutejszych surowców naturalnych – od wczesnych lat pięćdziesiątych zachęcał obywateli do osiedlania się na nieprzyjaznych, piaszczystych ziemiach. Ujgurzy, stanowiący niegdyś 76 procent ludności regionu, obok innych grup etnicznych jak Hui,

Kazachowie i Kirgizi tworzących wielokulturową mozaikę, dziś liczą 8 mln osób w 20-milionowej prowincji.

Na rynku pracy i w szkołach postępuje dyskryminacja wobec Ujgurów, chiński powoli wypiera rodzimy język, a w społeczności tej narasta gniew. W lipcu 2009 roku w Urumczy doszło do zamieszek na tle etnicznym. Ujgurzy wyszli wówczas na ulice, aby protestować przeciwko zatuszowaniu sprawy śmierci dwóch robotników pochodzenia ujgurskiego w fabryce zabawek. Pokojowy wiec zamienił się w kilkudniowe potyczki na ulicach. Trudno teraz przywrócić nadwątlone zaufanie między obiema nacjami.

NAJDALEJ OD MORZA

Urumczy jest najbardziej oddalonym od wybrzeża miastem na świecie – od oceanu dzieli je 2250 kilometrów. Na przekór temu, mieszkańcy upodobili sobie właśnie owoce morza. Na straganach Urumczy można kupić wiele morskich przysmaków. Miejscowi, niezrażeni długą drogą, jaką musiały przebyć te smakołyki, zjadają się ostrygami do późnych godzin nocnych. Przyjezdnych, chcących zasmakować ujgurskich potraw, bardziej zainteresują jednak aromatyczne kebaby, poło (ryżowy pilaw) czy miejscowe pierożki chuchura. W lokalnej kuchni dominuje mięso, w szczególności baranie, przyrządzane na wiele sposobów. Gdy oznajmi-





łam nowo poznanemu Abomowi, że jestem wegetarianką, nastąpiła długa cisza. Ten urodzony w Sinciangu Uzbek nie mógł zrozumieć, po co w takim razie tu przyjechałam. Ulice miasta spowite są dymem znad stoisk z prażącym się kebabem, a w każdej napotkanej restauracji znajdziemy menu proponujące wiele mięsnych potraw.

Wegetarianie nie będą jednak głodować. Sinciang słynie z soczystych i słodkich owoców – dorodnych arbuzów, winogron i świeżych fig. Na targach Erdaoqiao i International, które mieszczą się w budynku stanowiącym replikę minaretu w Bucharze – oprócz ujugurskich pamiątek, pięknie inkrustowanych noży czy wyrobów z wielbłądziej skóry – można kupić kilka rodzajów orzechów, niespotykanych w innych regionach kraju.

TAJEMNICA BIAŁEJ RASY

Gdy jechałam pociągiem do Sinciang, siedząca obok mnie w przedziale młoda Chinka myślała, że jestem Ujgurką. Biała skóra w tej części Chin niekoniecznie musi kojarzyć się z turystą. Niektórzy Ujgurzy swoją karnacją i kolorem włosów nie różnią się od typowego Europejczyka. Zdradzają ich jednak harde, ciemne oczy, które ukazują siłę ducha tego narodu. Ten turecki lud, zamieszkujący niegdyś tereny Mongolii, w IX wieku został wyparty przez Kirgizów i osiedlił się na ziemiach dzisiejszego Sinciang.

Zafascynowani dziejami Jedwabnego Szlaku powinni wybrać się do tutejszego muzeum. W niepozornym budynku znajduje się jeden z największych skarbów archeologii – zmumifikowane ciało tzw. piękności z Kroran, liczące około 4 tysięcy lat. Ta świetnie zachowana mumia z rudymi, długimi włosami – podobnie jak inne, znalezione w piaskach pustyni Takla Makan, ma europejskie rysy. Spacerując po sali muzeum, gdzie spoczywają ciała szczelnie zamknięte w gablotach, wnika się w zatartą historię Sinciang. Na zewnątrz słychać zgiełk zabieganego miasta, po ulicach mkną gdzieś wiecznie uwijający się Chińczycy i nieco spokojniejsi Ujgurzy. Tymczasem w ciemnej sali muzeum kryje się tajemnica, która nijak nie wpasowuje się w kod genetyczny Państwa Środk.

W KOŁOWROCIE CZASU

– Spotykamy się według Beijing czy Xinjiang time? – pytam zdezorientowana. W Kaszgarze, oddalonym od Pekinu o prawie sześć tysięcy kilometrów, podobnie jak w całym Sinciang, miejscowi ignorują czas oficjalny i cofają wskazówki zegarka o dwie godziny. Nowicjusze mogą mieć na początku kłopoty z tym zwyczajem. – Autobus odjeżdża według czasu lokalnego? Na pewno? – po raz trzeci dopytuję się w dworcowej kasie. Nieco już zniecierpliwieni podróżni patrzą na mnie z pobłażaniem. Ujgurka w kolorowej wzorzystej chuście, Kazach

TUTAJ LUBIĄ ZJEŚĆ KONKRETNIE

Ulice miasta spowite dymem znad stoisk z kebabem, a w każdej napotkanej restauracji znajdziemy menu proponujące głównie potrawy z mięsa.

jadący pewnie z wizytą do rodziny, niepozorny Chińczyk z grubymi brwiami typowymi dla ludności z północy Chin. Hala dworcowa to swoisty mikrokosmos mieszanki kulturowej, jaką jest Sinciang.

Kaszgar, będący przez wieki handlowym mostem między Azją Środkową i Chinami zawsze przyciągał ludność z różnych regionów. Wielu chciało dotrzeć do serca Jedwabnego Szlaku, gdzie trasy karawan z głębi Państwa Środka, wiozących jedwab i jadeit krzyżowały się z traktami azjatyckich handlarzy futrami i aromatycznymi przyprawami.

W jednostajnym i piaszczystym krajobrazie Sinciang, Kaszgar jest kolorową i hałaśliwą oazą, z której bliżej nam do egzotycznej Azji Środkowej niż do uporządkowanych chińskich miast.

A MURY RUNĄ

Spacer po starówce, która ciągnie się wąskimi korytarzami wzdłuż domów liczących ponad 500 lat jest podróżą w głąb kultury ujgurskiej. Przez wieki w grubych murach z niewypalanej cegły, chroniących przed upałem, toczyło się życie codzienne Ujgurów. Błądząc po tutejszych uliczkach, możemy

PIĘKNOŚĆ Z KRORAN

Biała skóra, rude włosy...
Mająca cztery tysiące
lat mumia fascynuje
nie tylko naukowców.



Dziś nadal rozwija się tu biznes. Kwitnie branża turystyczna, w której coraz prężniej działają Ujgurzy. Jak grzyby po deszczu, powstają nowe biura podróży oferujące wycieczki na Karakorum Highway oraz safari na pustyni Takla Makan. Potomkowie kupców Jedwabnego Szlaku przewożą turystów chcących zgłębić piękno piaszczystej krainy. Nie zatarli jednak smykałki do handlu, o czym świadczy słynny niedzielny targ w Kaszgarze.

Z okolicznych wiosek nadciągają wówczas sprzedawcy zwierząt, rolnicy, rzemieślnicy i handlarze pamiątek. Można tu kupić wszystko: od przepysznych owoców, dywanów, tradycyjnych ubrań i noży – po owce i osiołki, których sprzedaż odbywa się w południowej części miasta. Kaszgar ogarnia wówczas zgłęb, będący mieszkanką głosów przekrzykujących się kupców, odgłosów zwierząt i plotkujących znajomych, którzy w tym chaosie upatrzili sobie miejsce niedzielnych spotkań.

spotkać zapalczywie dyskutujące sąsiadki, radośnie dokazujące dzieciaki czy udających się do meczetu staruszków. Przy odrobinie szczęścia uda nam się chyłkiem zajrzeć do wnętrza domostw, które skapane w słońcu rażą oko przyzwyczajone do ciemności tutejszych uliczek. W klimat miasta możemy też się wczuć o poranku, gdy z położonego w centrum meczetu Id Kah (największego w Chinach) dobiega głos muezina nawołującego mieszkańców do modlitwy.

Kaszgar urzeka tradycją i kolorytem tutejszej kultury. Jednak miasto może niedługo utracić swój charakter. Według planów chińskiego rządu, powstanie tutaj specjalna strefa ekonomiczna, która na wzór Shenzen ma przyciągać zagraniczne inwestycje. Na miejscu zabytkowych domostw zbudowane zostaną nowoczesne wieżowce. Już teraz z dnia na dzień znikają kolejne budynki. Przed buldożerami uchowa się jedynie część starówki,



TYGRYS Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI

Na chińskim czarnym rynku skóra z tygrysa może kosztować nawet 50 tysięcy dolarów.

FOT. MARTA ZDZIBORSKA

w której za specjalną opłatą turyści i miejscowi będą mogli powspominać dawny klimat miasta. Warto się tutaj wybrać jak najszybciej, zanim kolebka kultury ujgurskiej zostanie zupełnie zniszczona.

WIELBŁĄD Z GÓRAMI W TLE

Trasa na Zachód – do Pakistanu i Kirgistanu. To właśnie w tę stronę przez wieki zwrócone były oczy handlarzy jedwabiem i jadeitem, tędy też przepływały karawany z Azji Środkowej.

Dziś, po trwających dwadzieścia lat pracach, Kaszgar i Islamabad łączy legendarna Karakorum Highway. Wiodąc przez góry Pamir i przełęcz Khunjerab – urzeka swoim pięknem i dziką przyrodą. Nawet, jeśli nie planujemy podróży do Pakistanu lub Kirgistanu – warto wybrać się tutaj na jednodniową wycieczkę taksówką lub autobusem. Trzygodzinna trasa, prowadząca do jeziora Karakul,

obfituje w niezapomniane widoki na majestatyczne masywy górskie i lodowce. O wschodzie słońca można zobaczyć pasterzy wypasających owce.

Nad położonym na wysokości 3600 m n.p.m. jeziorem Karakul – w oddali mieni się śnieżnobiałą szczyt Muztagh Ata (7546 m n.p.m.). Przy dobrej pogodzie, w turkusowej wodzie możemy zobaczyć piękne odbicie pobliskich lodowców. Obrotni Kirgizi, w ramach odpoczynku nad jeziorem, proponują nam przejażdżkę konno lub na wielbłądzie. Wydaje się, że ten środek transportu zarezerwowany jest już tylko dla turystów.

Autostradą suną ogromne ciężarówki. Na postoju możemy spotkać kirgiskich, pakistańskich i ujgurskich kierowców. O tym, że znajdujemy się w Chinach, przypominają jedynie wielkie billboardy z typowymi dla tego kraju propagandowymi hasłami. Ujguria to zupełnie inny świat, w którym jesteśmy już jedną stopą w Azji Środkowej. ○



ROZMOWY MARKA SZPENDOWSKIEGO Z LUDŹMI ZAPRACOWANYMI



Andrzej Strzelecki
Rektor Akademii Teatralnej, aktor, reżyser, scenarzysta, golfista

Marek Szpendowski: Wiadomo, że jesteś prekursorem golfa w Polsce. Chciałbym porozmawiać o Twoich podróżach związanych z golfem, obawiam się jednak, że to trudne zadanie. Nie dość, że wybudowałeś dom przy polu golfowym, to w ogrodzie masz własny „green”, czyli kawałek pola z dołkiem.

AS: A jednak na moje sąsiedzkie pole dojeżdżam. Dla zaoszczędzenia czasu jadę tam meleksem.

MSz: Kiedy razem jeździliśmy po Polsce, zawsze miałeś w bagażu kije golfowe i mapę z najbliższych pól. Każdą wolną chwilę spędzałeś na grze.

AS: Teraz łatwiej znaleźć pole. Ostatnio dużo ich przybyło. Podobnie jak graczy, także tych z zagranicy.

MSz: Imponują im nasze pola?

AS: Głównie są to osoby, które pracują w Polsce. Tacy Koreańscy harują cały tydzień, a w weekend grają w golfa. Jeśli w weekend chcemy z żoną zagrać, to na polu musimy być już o wpół do szóstej,

by zacząć przed nimi. Oni grają 18 dołków, coś zjedzą i od nowa. Ty wciąż nie grasz?

MSz: No, niestety.

AS: Przynajmniej masz jakiś wkład w rozwój polskiego golfa. Pamiętasz, jak jechaliśmy na otwarcie pola w Wejherowie. Ty prowadziłeś, ja spałem. Obudziłem się w twoich ramionach, gdy wpadliśmy samochodem do rowu.

MSz: Ale udało się nam zdążyć na czas

AS: Golfista jak chorąży – zawsze zdąży.

MSz: Coś o tym wiem. Kiedy organizowałem koncerty Rolling Stonesów, musiałem także zadbać o to, by mieli gdzie zagrać w golfa. Niektórzy z nich woleli grę od wieczornych występów. Jednak nie zdarzyło się im spóźnić. Z tamtych czasów pamiętam, że nie jest to tanie hobby.

AS: Nie jest też aż tak drogie. Zwłaszcza, że można wygrywać nagrody. Grałem kiedyś w turnieju VIPowskim i, po bardzo nieudanym uderzeniu, od razu trafiłem do dołka. Zauroczony tym strzałem prezes jednej z firm telekomunikacyjnych zaoferował

mi tzw. „złoty numer” telefoniczny. I teraz... dzwonią do mnie ludzie, którzy chcą zamówić tak-sówkę albo starają się o pożyczkę.

MSz: Kiedy podróżujesz, także grasz w golfa.

AS: Dla golfisty podróż do miejsc, gdzie nie ma pól golfowych, traci sens. Jadąc na festiwal teatralny do Peru sprawdziłem, czy w pobliżu jest gdzie grać. Gdy dojechałem na miejsce dowiedziałem się, że nie mogę zagrać, bo wszystkie pola są prywatne i musi być osoba wprowadzająca. Zwróciłem się o pomoc do polskiego ambasadora, a ten mi odpowiedział, że nie może tego załatwić. Zwątpiłem w człowieka: jak może nie znać innych ambasadorów, którzy na pewno grają w golfa.

MSz: Nie zawsze jednak grałeś w golfa i nie zawsze woziłeś w bagażu kije.

AS: Pierwszy raz do Stanów Zjednoczonych pojechałem dawno temu na zaproszenie Departamentu Stanu. Do podręcznego bagażu zapakowałem dwa kilogramy kabanosów. Tak na wszelki wypadek, żeby były na czarną godzinę. W samolocie, przed lądowaniem słyszę z głośnika jak stewardesa przypomina o kategorycznym zakazie wwożenia do USA żywności. Rozejrzałem się niepewnie. Coś mi się wydawało, że mówiła mając mnie na myśli. Ale wszyscy to słyszeli. Żeby nie zdradzić się, że to mnie dotyczy, z trefnym bagażem ukryłem się w toalecie. Przecież szkoda by było takich pysznych kabanosów. I powiem ci, że zżarłem wszystkie.

Na lotnisku w Waszyngtonie czekał na mnie facet jeszcze przed kontrolą paszportową. Przeszliśmy bokiem. Mogłem więc wwieźć do Stanów dowolną ilość kabanosów. Nie czułem się z tym dobrze. Na żołądku też nie było lekko. Rozumiesz teraz, dlaczego wolę wozić kije golfowe.

Marek Szpendowski: właściciel agencji „Viva Art”; organizator m.in. koncertów Luciano Pavarottiego, Michaela Jacksona i zespołu The Rolling Stones; także producent filmowy.

Uprząż CORAX sprostą
każdemu wyzwaniu. A Ty ?



© Lafouche, M. Dalmasso, J. Chavy

CORAX

Wygodna uprząż z pełną regulacją

Stworzona do wspinaczki, alpinizmu lub via ferraty... Stworzona dla Ciebie.

PETZL

www.petzl.com/CORAX

AMERYKA POŁUDNIOWA | Wenezuela

FOT. ROMAN ROJEK

Roman Rojek

ELDORADO POD CHAVEZEM

Powierzchnia Wenezueli jest niemal trzykrotnie większa od Polski. Kraj liczy 21 mln mieszkańców, skupionych głównie w środkowej części wybrzeża Morza Karaibskiego i w środkowym biegu największej rzeki – Orinoko (2150 km). Stolica Wenezueli – Caracas to świetne miejsce, by prześpać się po długim locie z Europy i rano wyjechać. Można też spędzić tu ciekawie cały dzień.

Santiago de Leon de Caracas, jak brzmi oficjalna nazwa metropolii liczy już, według nieoficjalnych danych, 6 milionów mieszkańców. Wprawdzie miasto położone jest około 15 km od Morza Karaibskiego i oddzielone od niego Parkiem Narodowym El Avila, jednak autostrada daje szansę (we wczesnych godzinach rannych), by dojechać z centrum nad morze nawet w 20 minut. Kolejka linowa na wzgórze Avila, wznoszące się ponad 1000 metrów nad miastem, pozwala podziwiać zarówno morze, jak i samą, wciśniętą między wzgórz, stolicę.

Podziwianie Caracas z niższej wysokości, np. z poziomu ulicy jest już o wiele trudniejsze. Samochód ugrzęźnie pośród 1,8 miliona aut zarejestrowanych w samej tylko w stolicy. Wenezuela, a zwłaszcza Caracas, to pochwała potęgi przemysłu motoryzacyjnego USA, a zwłaszcza jego wielkich modeli z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych tamtego stulecia. Cena benzyny wprawdzie zachęca do jeżdżenia choćby i Rosomakiem, nie pozwala jednak rządzącym zapewnić stałych dostaw prądu do wszystkich dzielnic stolicy.

Kiedy wczesnym rankiem opuszczamy Caracas, w drodze na lotnisko mijamy pusty cokół, z którego za rządów Chaveza usunięto figurę Kolumba. Puste cokoły to na całym świecie znak rozpoznawczy każdej młodej lub rewolucyjnej władzy. Tuż za miastem widzimy monstrualnej wielkości litery, ustawione na jednym ze wzgórz.

FOT. ROMAN POLAK



Rozmiarem i nieporadnością przypominają napis Hollywood. Hasło jest jednak krótsze i głosi: Si (Tak). Si dla polityki Chaveza, oczywiście!

Jednak nie polityka zwabiła nas do Wenezueli.

PIRANIE Z RYŻEM

Po wylądowaniu w Barinas, miejscowości będącej „bramą wjazdową” do położonych u podnóża Andów równin Llanos, jedziemy ponad 4 godziny na farmę Hato El Cedral. Po drodze widzimy, jak czyjaś pracowita, acz niewprawna ręka, na odwrocie niemal każdego mijanego znaku drogowego wypisała sprayem: No (Nie). No dla polityki Chaveza. Oczywiście.

Jest tak pięknie, tak spokojnie pośród pogrozdzonych drutem kolczastym wielkoobszarowych farm, że tę zaobserwowaną walkę programów politycznych przy użyciu dwóch liter możemy mieć... w czterech! To nie polityka zwabiła nas do Wenezueli.

Hato El Cedral ma w ofercie, prócz klimatyzowanych pokoi, miejscowej kuchni – opartej na fasoli i kukurydzy, także wielką ucztę dla podglądaczy ptaków. Nawet nie domyślaliśmy się, że za angielskim słowem birdwatching kryją się niezliczone ilości specjalnie opracowywanych map, przewodników, ofert turystycznych i portali społecznościowych, skupiających akurat tych podglądaczy. Kiedy my na Llanos fotografujemy kapibary, iguany, żółwie i wyskakujące z wody na dwa metry w górę kajmany, obiektywy naszych międzyna-

PIĘKNE JAK BESTIA

Zabójstwa i porwania dla okupu są plagą Caracas. Stanowczo odradzamy wieczorne spacerować, zwłaszcza w weekend.

CHOMIKI NIE DORASTAJĄ NAM DO PIĘT – PODAJ DALEJ

Kapibary, największe
gryzonie na świecie. Ich waga
dochodzi do 65 kg.



rodowych towarzyszy wyprawy, którzy przybyli tu dla ptaków, prawie zawsze wystrzają się na dziobie jakiegoś skrzydlaka. Ot, specjalizacja.

Dwa dni na odbycie podróży po groblach i rozlewiskach dopływów Arauca wystarcza zupełnie. Przynajmniej nam. Przy zmieniających się ustawicznie grupach turystycznych, zasiadających do posiłków w skromnej stołówce, jedynym stałym elementem towarzyskim jest czteroosobowa ekipa Wietnamczyków. Ich pobyt na rancho to dar rządu w Hanoi. Sympatycznie i nobliwie zarazem wyglądający naukowcy z tamtejszego uniwersytetu, mają zbadać tu możliwości uprawy ryżu połączonej z hodowlą ryb. Tak się przynajmniej wydaje gospodarzom. Wietnamscy naukowcy nie mówią wiele,

nie mówią też żadnym innym językiem, prócz swojego. Codziennie cichutko znikają zaraz po śniadaniu, by punktualnie pojawiać się na lunchu, a potem kolacji. Być może, zamiast wypasanych stad bydła i malowniczych mustangów, zobaczymy kiedyś w Llanos brodzących po kolana rolników, wtykających w błoto zielone łodygi ryżu, a pośród nich rybaków łowiących pangie i tilapie.

Nie zastanawiałibyśmy się nad możliwym sukcesem akurat tego eksperymentu, gdyby nie wydarzenie, którego świadkami jesteśmy ostatniego dnia pobytu na Llanos. Kiedy nasza odkryta ciężarówka porusza się wąską groblą, stając co chwila na hasło „Halt!” wykrzykiwane przez co raz to innego miłośnika ptaków, w pewnym momencie akumulator buntuje się ostatecznie. Stajemy na dobre i na długo. Przewodnik wzywa przez komórkę pomoc, a nam zabrania schodzenia z platformy z obawy przed snującymi się po drodze kajmanami. Stoimy w pełnym słońcu, obserwując obserwatorów ptaków. Ci, zachwyceni ciszą i bezruchem coś tam dla siebie wypatrują w błotnych trawach i są jeszcze bardziej zachwyceni. Po wąskiej ścieżce, biegnącej równoległe do naszej grobli, sunie traktor, ciągnąc wypełnioną robotnikami przyczepę. Oddziela nas 10-metrowy pas wody, głębokiej może na pół metra, w której taplają się kapibary. Machamy ludziom na przyczepie. Oni machają do nas. Traktor jedzie dalej. Po 15 metrach kierowca, chcąc wjechać na naszą groblę, skręca w prawo i ciągnik wtacza

PRZYDROŻNE ŻÓŁWIE I KAJMANY

Przed tymi pierwszymi nie
trzeba uciekać.





się do oddzielającego nas błota. Jedzie powoli, stopniowo zanurzając się w brunatnej wodzie, która początkowo sięga zaledwie do osi przednich kół. W końcu je zakrywa. Silnik gaśnie, traktor staje. Woda dochodzi do podłogi przyczepy, na której stoi kilkunastoosobowa grupa. Nawet ptasi obserwatorzy przerywają obserwowanie ptaków, by zobaczyć, co zrobią tamci ludzie. Tamci stoją i nie robią nic. Traktorzysta z unieruchomionego ciągnika coś wykrzykuje do komórki. Przez kilka minut znów nic się nie dzieje. Przylatuje bocian biały (sądząc po kolorze) i nasza grupa dzieli swoje zainteresowania. Jedni fotografują ptaka, drudzy sprawdzają w atlasie prawidłowość jego upierzenia.

Traktorzysta zeskakuje z ciągnika wprost do wody, która sięga mu do połowy ud. Niczym oparzony, pędzi do oddalonego nie więcej niż 6 metrów brzegu. Wskakuje na skarpy i w geście zwycięskiego sukcesu podnosi do góry obie ręce. Radość ogarnia ludzi na przyczepie, lecz zaraz się wycisza.

Na wprost naszego samochodu ciągle stoi bocian. Od pół godziny stoi też nasz samochód. Po prawej, w odległości 15 metrów tkwi w wodzie traktor z przyczepą pełną ludzi. Zupełny bezruch, cisza i żar słoneczny. Niektórzy nie potrzebują więcej, by świetnie wypocząć.

Po długiej chwili traktorzysta wstaje ze skarpy. Niczym Lord Jim patrzy na porzuconych na środku bajora pasażerów i z rosnącego nieopodal krzaka ułamuje sporą gałąź. Oddala się od ciągnika może

na 10 metrów i nagle z wrzaskiem zaczyna walić kijem w wodę.

Nie możemy uwierzyć, że patrzymy na debila, który chłoscze wodę za to, że zatopiła mu ciągnik.

Po krótkiej chwili ludzie zgromadzeni na przyczepie, na jedną komendę, wskakują do wody i gnają do brzegu. Wszyscy dopadają skarpy. Śmieją się, poklepują traktorzystę i, nie oglądając się na utopiony ciągnik, powoli idą w stronę rancza, z którego nadjeżdża już, spiesząca nam na pomoc ciężarówka.

Jak się okazuje, stojące wody wokół Hato El Cedral aż roją się od piranii. Ryby te w zasadzie nie żyją w płynących wodach. Ich królestwem są właśnie rozlewiska i odnogi rzeczne ze stojącą wodą. Piranie błyskawicznie reagują na każde poruszenie. Zwykle połów zaczyna się od uderzeń wędziskiem w wodę. To je przywołuje.

NIE POJEDZIE I NIE POPŁYNIE

Każdy, kto próbował
wynaleźć amfibię wie,
że eksperymenty są
konieczne.

PIRANIA

Nigdy nie próbuje
być miła.





TUT. ROMAN POLJEK

Z WIZYTĄ U INDIAN

**U podnóża Ayan Tepui
Indianie Pemón...
prowadzą bazę
turystyczną.**

Tak robi też nasz przewodnik podczas wieczornego wędkowania. Kiedy on grzmoci wodę kijem, my zakładamy kawałki mięsa na przynętę. Zupełnie niepotrzebnie. Nasz sąsiad chwytą dwie sztuki na goły haczyk. W zasadzie to piranie chwyciły haczyk, nim on nałożył na niego przynętę.

Traktorzysta zrobił więc wszystko co mógł i należało, by jego uwięzieni na podtapianej przyczepie pasażerowie mieli szansę na bezpieczne dotarcie do brzegu. Ciekawe, co wietnamscy naukowcy zaproponują, by odciągnąć uwagę piranii od łydek sadzących ryż rolników.

CANAIMA – PARK NARODOWYCH WODOSPADÓW

Aby z Llanos dostać się do Canaimy, musimy znów odwiedzić i bez żalu pożegnać Caracas. Stąd niewielkim samolotem do Puerto Ordaz, a potem jeszcze mniejszym do Canaimy i zakwaterowanie w Waku Lodge. Nim wyruszymy na spotkanie z główną atrakcją turystyczną Wenezueli – najwyższym wodospadem świata Salto Angel (Angel Fall), mierzącym 979 metrów, udajemy się do Salto Sapo, jednego z siedmiu wodospadów nad jeziorem Canaima.

Widok szerokiego na ponad 100 m i wysokiego na 20 m wodospadu jest sam w sobie atrakcją. Jeszcze większą jest przejście za huczącą kurtyną wod-

ną, po wąskiej ścieżce wykutej w skale przez Tomasa Bernela. Ten zafascynowany urokiem Canaimy Peruwianczyk przybył tu w 1983 r. Urzeczony miejscem, porzucił pracę mechanika samolotowego i spędził tu, niczym pustelnik, wiele lat. W ciągu dwóch wyciosał w skale, schowaną za wodospadem, wąską ścieżkę, z której, jeśli uda się nie pośliznąć, można podziwiać wodospad od drugiej strony.

MY NAME IS ANGEL. JIMMY ANGEL

Następny dzień zaczyna się nam wcześniej. Już o 4.30 siedzimy w łodzi i ruszamy w górę rzeki Carrao. Po trzech godzinach dopływamy do rzeki Churun. Jeszcze godzina w wąskiej łódce i osiągamy miejsce zwane Ratoncito. Stąd przez kolejną godzinę i pieszko, i stromo, i poprzez gorący las. I warto! Jest! Angel Fall.

Z gigantycznej stołowej góry (Ayan Tepui) lecą w dół zwały wody. Spadając przez prawie kilometr, zamieniają się w biały obłok. Ten obłok, gdy dotyka ziemi zamienia się w rwącą rzekę. Nic dziwnego, że ten cud nazwano Angel Fall. Nic bardziej mylnego.

Wodospad odkryty został w 1935 r. przez amerykańskiego pilota szukającego złota i przygód. Urodzony w Missouri Jimmy uchodził za fantastę i awanturnika. Może dlatego nikt nie chciał uwierzyć w jego opowieść o wielkim wodospa-



**SALTO ANGEL WYPLYWAJĄCY
Z DIABELSKIEJ GÓRY**

To najwyższy wodospad
świata: 979 metrów.
Niagara jest 16 razy niższa.

dzie wyrastającym z dżungli i samorodkach złota zebranych na szczycie przez zmarłego przyjaciela, który zlecił mu i opłacił wspólny lot. Nikt nie chciał też uwierzyć w lądowanie na wierzchołku góry, z której spadał wodospad. W 1937 r., nie mogąc zainteresować żadnego sponsora, Jimmy zabrał łopaty, posadził w swoim czteroosobowym samolocie żonę Marię, wenezuelskiego poszukiwacza złota Gustavo Henrego i jego, pozostającego do dziś bezimiennym, ogrodnika i wyruszył na poszukiwanie swego mitycznego wodospadu. Podczas lotu udało mu się zlokalizować Ayuan Tepui. Udało mu się też szczęśliwie na niej wylądować. Tu jednak na chwilę szczęście go opuściło. Ta chwila wystarczyła, by samolot ugrzązł w podmokłym podłożu. (Został tam przez następne 33 lata aż wenezuelski helikopter przeniósł go wprost do muzeum). Bez żywności i innego ekwipunku, prócz łopat, Jimmy i trójka, która mu zaufała, rozpoczęli schodzenie z góry. Po 11 dniach wyczerpani rozbitkowie dotarli do wioski Indian, którzy zaprowadzili ich do bazy. Pilot Jimmy zmarł w 1956 r. w kilka dni po lotniczym wypadku w Panamie. Całe życie poświęcił na poszukiwanie swego zagubionego w dżungli złotego szczytu. Jego nazwiskiem nazwano najwyższy wodospad świata, na którym wylądował, może po raz pierwszy w 1935, a już na pewno w 1937 r. Pilot Jimmy nazywał się Angel. Stąd nazwa: Angel Fall, niezależnie od anielskiego widoku, jaki sobą przedstawia wodospad.

WODOSPADY SALTO SAPO I EL SAPITO

**W wodospadach nie
zawsze jest woda.
Mieliśmy więc szczęście.**

Ostatnio władze Wenezueli zapowiadały zmianę nazwy wodospadu, bo w ich odczuciu jest zbyt amerykańska.

Nam niestety nie udaje się wylądować na jego szczycie. Wprawdzie jeszcze z Polski dokonywaliśmy wstępnych rezerwacji, lecz po przybyciu na lotnisko okazuje się, że wojsko właśnie rozpoczęło ściganie nielegalnych poszukiwaczy złota i wszystkie helikoptery pracują na potrzeby wojskowych tropicieli.

Wynajmujemy więc Cesnę i, zamiast na Angel Fall, lądujemy w wiosce Indian Pemón u podnóża Auyan Tepui. W drodze powrotnej, pilot słysząc nasze zawiedzione historie o nieosiągalnym helikopterze i, patrząc na nasze za duże aparaty fotograficzne, wzrusza się losem niespełnionych naśladowców Angela. Szeroko otwiera tylne okno. Najpierw lewym a potem po zatoczeniu ciasnego kręgu także prawym skrzydłem nieomal ociera się o skalne urwisko Angel Fall. Na koniec, jeszcze symulowane lądowanie na jego wierzchołku. O Jimmy! Domyślamy się, co czułeś, gdy nikt nie chciał cię słuchać.

POLITYCZNE OKO NAD ORINOKO

Następnego dnia wylatujemy z Canaimy do Puerto Ordaz. Potem samochodem do Boca de Urayo i kolejna przesiadka, tym razem do łodzi. Przez około godzinę płyniemy motorówką napędzaną





WIOSKA NA ORINOKO

Tu niczego nie da się załatwić
w zaciszu czterech ścian. Domy nie
mają tylu ścian.

dwoma potężnymi silnikami Yamachy w głąb delty Orinoko, by na nocleg przybyć do osadzonych na palach noclegowych domków lodgu Mis Palafitos.

Hiszpanie odkryli deltę w 1532 r. Są tu tysiące kilometrów wodnych szlaków. Rzeczne drogi, setki odnóg i rozgałęzień Orinoko, zwanych Canoss, dzielą deltę na niezliczone wilgotne wysypki pokryte gęstą roślinnością.

Spędzamy tu dwa dni. Łowimy i zjadamy piranie, smakujące jak każda świeża ryba – wybornie. Klniemy na uroki dżungli, w pełni zgadzając się ze starym powiedzeniem, iż człowiek widząc dżunglę przeżywa dwie pełne szczęśliwego uniesienia chwile: kiedy do niej wchodzi i gdy ją opuszcza. Usiłujemy też coś kupić w wioskach Indian Warao, czyli „ludu łodzi”. To dziwne wioski. Osadzone mocno na palach w przybrzeżnym błocie Orinoko, składają się z drewnianego mola i rozmieszczonych po jego obydwóch stronach zadaszonych chat bez którejś ze ścian. Najczęściej przedniej, ale także bocznych. Wszędzie wiszą hamaki.

Łatwo wyobrazić sobie, jak ludzie ci żyli 500, 400 czy 30 lat temu. Tak samo. Nie było tylko: agregatu prądotwórczego dającego moc kolumnom głośnikowym ryczącym latynoską muzykę na całą deltę, telewizora z anteną satelitarną, pogniecionego odtwarzacza DVD. Nie było też porzuconych w błocie pralek automatycznych (bo nie było i nadal nie ma bieżącej wody), nie było japońskich silników



doczepionych do drewnianych, wyciosywanych siekierą dłubanek. Nie było chińskich zabawek i ciuchów. Pewnie nie było jeszcze paru rzeczy, które i tak walają się teraz w błocie pod pomostem. Na pewno nie było też strasznie zaśmieconej szkoły, z nowiutkimi ławkami. Zawsze była tu wilgoć. Zawsze było tu trudno żyć. Nawet jeśli dzisiejsze prezenty od władz, wydają się być bezsensownymi gestami nastawionymi na wyborcze poparcie, to przynajmniej ktoś robi gest w stronę Indian.

Ale to już polityka, a przecież nie ona nas tu zwabiła.

BEZ WODY NA RZECE

Codziennie trzeba tu
dowodzić wodę pitną.

Magdalena Czarnecka

WZLOT I KŁĘSKA SALTON SEA

To nie fatamorgana. Pośrodku największej kalifornijskiej pustyni mieni się w słońcu największe kalifornijskie jezioro. Położone zaledwie kilka godzin drogi od Fabryki Snów, może poszczycić się historią w iście hollywoodzkim stylu.





Pojawiło się nagle i bez zapowiedzi. Przez lata było prawdziwą gwiazdą. Potem zaliczyło kilka spektakularnych potknięć. Wówczas było na ustach całego świata. Dziś zapomniane połyskuje śladami dawnej świetności, próbuje ukryć swoje wstydlive sekrety.

GŁOŚNY DEBIUT

W roku 1905 powódź przerwała kanał rzeki Kolorado. Przez następne dwa lata olbrzymie ilości wody spłynęły do obniżenia zwanego Salton Basin. Kiedy wreszcie, w 1907, olbrzymim nakładem pracy udało się zawrócić rzekę do jej koryta, Salton Sea miało już całkiem pokaźne rozmiary. I ani jednego odpływu. Powyżej, w sąsiedztwie jeziora rozwijał się prężnie obszar rolniczy, z którego – kanałami, rzeczkami i wodami gruntowymi – trafiała do jeziora woda. Dzięki temu, wbrew oczekiwaniom, nie wyschło ono w ciągu kilku lat.

GWIAZDA KILKU SEZONÓW

Dla przedsiębiorczych deweloperów szybko stało się jasne, że Salton Sea może być żyłą złota. Ruszyły kampanie reklamujące powstające nad brzegiem osiedla. Zachęcano ludzi do kupowania tu działek i domów. I ludzie kupowali, niemal na pniu. Ponieważ w pustynnym klimacie intensywne parowanie przeważało nad skąpyimi opadami deszczu, wkrótce woda była tu słona jak w Pacyfiku, a Salton Sea okrzyknięto Pustynną Riwierą. W latach 50. do jeziora wprowadzono gatunki różnych ryb, z których najlepiej w nowym środowisku poradziła sobie afrykańska tilapia. Jezioro stało się ulubionym miejscem kalifornijskich wędkarzy. Ogromna obfitość życia w słonym, pustynnym zbiorniku to efekt sąsiedztwa doliny Imperial, głównego dostawcy warzyw i owoców dla Kalifornii i okolicz-



ných stanów. Wody przedostające się do jeziora zawierały znaczne ilości nawozów, co wpłynęło na wzmożony rozwój glonów i planktonu, którym żywiły się ryby. A rybami – ptaki, które wkrótce obierały sobie ten rejon za swój główny punkt postojowy na pacyficznym szlaku.

SKANDALISTA SALTON SEA

Przez kilkanaście lat wszyscy byli zadowoleni – w powstałych wokół jeziora osiedlach, stały gęsto domki i wielkie przyczepy mieszkalne. Życie tętniło na plażach i w barach. A tymczasem przyrodnicy coraz częściej przekazywali alarmujące wiadomości dotyczące zasolenia jeziora i tego, jaki może to mieć wpływ na równowagę biologiczną środowiska. Pierwszy raz opinia publiczna skierowała zaniepokojone spojrzenia w stronę Salton Sea w latach 1976-77, kiedy to na skutek intensywnych opadów deszczu, seria powodzi podtopiła nadbrzeżne ośrodki. Woda długo nie ustępowała, a gdy opadła, oczom mieszkańców ukazał się zupełnie niewakacyjny krajobraz...

Ale tym, co zdecydowało, że ludzie zaczęli porzucać swoje wymarzone wakacyjne działki, było masowe wymieranie ryb i ptaków. W pierwszej połowie lat 90. padło w tych okolicach 170 tys. perkozów, a w 1996 r. w wodach jeziora Salton straciła życie znaczna część populacji zagrożonego wyginięciem brązowego pelikana. Poziom zasolenia wynosił już wówczas 45 promili! Jak to doskonale ujęto w jednym z filmów dokumentalnych, tu mógł pomóc tylko Bóg, superbohater lub gwiazda rocka. I wówczas, w roku 1997, na arenę wkroczył Sonny Bono, były mąż Cher – gwiazdy estrady, ówczesny kongresman i dawny burmistrz pobliskiego Palm Springs, który mocno zaangażował się w stworze-

nie programu ratunkowego dla Salton Sea. Niestety, artysta zginął rok później w nieszczęśliwym wypadku, nie dokończywszy swojej misji.

A problem rósł. Wiek XXI rozpoczął się dla jeziora katastroficznie. Kroplą, która przelała czarę goryczy, w którą niepostrzeżenie zmieniło się Salton Sea – było masowe śnięcie ryb. W ciągu dwóch lat wypłynęło ich do góry brzuchem prawie 35 milionów! Pokryły brzeg, plaże i wodę śmierdzącym, gnijącym kożuchem.

Już w ubiegłych dziesięcioleciach rybi trup ścieł się gęsto. Zimą, z powodu niskiej temperatury, zaś w ciągu całego roku – z powodu wiatru, który wzburzał fale i powodował podnoszenie się z dna ubogiej w tlen wody.

Najgorsze zawsze jest pustynne lato. Bardzo wysoka temperatura zamienia Salton Sea w wielką wannę z ciepłą wodą. Dodajmy do tego błyskawiczny rozrost wodorostów, zabierających cenny tlen i równowartość jednego wagonu soli, której przybywa każdego dnia na skutek parowania. Efekt: śmierć milionów ryb. Powodzie, martwe zwierzęta, doniesienia o skażeniu jeziora – wszystkie te czynniki razem i każdy z osobna spowodowały, że ludzie opuścili te tereny pustynnej riwieri, a „pustynny cud” zaczął być wstydlivym sekretem Kalifornii.

MARTWA NATURA

Dojeżdżając do Salton Sea od północy, jeszcze nie widziałam wody, ale już wyczuwałam jej obecność. Dosłownie. Unoszący się w powietrzu zapach nie pozostawiał wątpliwości, że jadę w dobrym kierunku.

I oto ono! Pomijając rybi smród, pierwsze wrażenie jest wspaniałe! Kompletna cisza, w której słychać jedynie nawołujące się ptaki. Czysto i pusto. Wspaniała, ciągnąca się kilometrami, srebrzysta tafla wody, którą na horyzoncie zamyka ośnieżony łańcuch gór. Bielutki żwir zaciemniający plażę. Delikatna, cieniutka warstewka mgiełki unosząca się

RYBI TRUP ZAMIAST PIASKU
Tak wygląda z bliska plaża nad Salton Sea



FOT. MAGDALENA CZARNECA



FOT. TERESA

nad powierzchnią i nadająca wszystkiemu nierealny, bajkowy urok. Miejsce, które można pokochać od pierwszego wejrzenia.

Im bliżej podchodziłam do brzegu, tym mocniejsze miałam przeczucie, że coś tu jednak nie gra. Że pierwsze, cudowne wrażenie, jest tylko niezwykłą mistyfikacją natury. Żwirek zachrząścił mi pod stopami. Spojrzałam pod nogi. Zdechłe ryby. Nie tak dużo jak na wstrząsających zdjęciach, które wcześniej widziałam, ale wystarczająco dużo, żeby trzeba było uważać na to, gdzie się stawia stopy.

Nagle dotarło do mnie, że to, co brałam za białusieńki żwirek, w rzeczywistości jest jednym wielkim cmentarzyskiem złożonym z kręków, ości, muszli i łusek. Wszystkim, tylko nie czymś, na czym ma się ochotę rozłożyć kocyk.

BEZ NADZIEI

Idę porozmawiać ze strażnikami parku, którzy wyposażają mnie w całe naręczne ulotek i folderów, pokazują filmik o losach jeziora, a gdy na koniec pytam, czy „idzie ku lepszemu”, słyszę pesymistyczne: „not really”. To zupełnie nie w amerykańskim stylu – musi więc być naprawdę źle...

Większa część nadbrzeżnych terenów jest zupełnie pusta, ale w kilku miejscach ostały się, dawniej tętniące życiem, miasteczka. Jeśli mamy bogatą wyobraźnię, możemy odbyć małą podróż w czasie i wyobrazić sobie te okolice w czasach prosperity. Najlepszym miejscem do takiej retrospekcji będzie Bombay Beach.

Dawniej mieszkało tu kilka tysięcy osób, dziś pozostało zaledwie 300, ale ja nie dostrzegam żywej duszy. Domki z powybijanymi szybami, rozpadające się przyczepy mieszkalne, ślady dawnej świetności. Bombay Beach najbardziej ucierpiało w trakcie powodzi w latach 70. ubiegłego wieku. Zajmujące rozległą i głęboką depresję jezioro było bardzo podatne na zmiany poziomu wód, o czym na własnej skórze przekonali się mieszkańcy osady. Obecnie zamieszkiwaną część osiedla oddziela od jeziora wał powodziowy. Przechodzę na jego drugą stronę, żeby zobaczyć, co zostało z zatopionej części miasteczka. Sól i rdza prawie zupełnie rozprawiły się już z wrakami samochodów i przyczep. Gdzieś niedługo widać jeszcze jakieś domowe sprzęty. Tu straszy stary telewizor, w innym miejscu kuchenka. Katastroficzny krajobraz. Gdzieś zaczyna ujadać pies, wiatr zatrzasnął drzwi, kątem oka dostrzegam starszą panią przejeżdżającą meleksem pomiędzy domkami. Robi mi się nieswojo.

DAWNA RIWIERA

Ruiny, wraki, zardzewiała blacha, błoto.





FOT. MAGDALENA CZARNEKA



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. MAGDALENA CZARNEKA

HISTORIA BEZ HAPPY ENDU

Salton Sea znalazło się na rozdrożu. Niestety, żadna z dostępnych dróg nie ma szczęśliwego zakończenia. Jest wielu zwolenników najbardziej radykalnego rozwiązania, czyli osuszenia terenu. Wychodzą z założenia: no Sea, no problem.

Ale czy na pewno? Spróbujmy sobie wyobrazić, co by się wówczas stało. Woda paruje, pokłady soli zostają. Giną ryby. Po rybach przyjdzie kolej na ptaki, a wiele z nich należy do gatunków zagrożonych wyginięciem. Na skutek intensywnego rolniczego wykorzystania okolicznych terenów, osuszeniu uległa już większość kalifornijskich mokradeł. Salton Sea jest niezwykle istotnym punktem na szlaku corocznych migracji ptactwa. A gdy wyschnie ostatnia kałuża, odsłoni się dno zbiornika, na którym przez dziesiątki lat zbierały się osady soli, metali ciężkich i innych związków chemicznych. Pewnego dnia zerwie się gwałtowny wiatr i poniesie toksyczną chmurę nad zielone pola golfowe Palm Springs i dalej, nad eleganckie posesje San Diego i wzgórze Hollywood.

To nie jest abstrakcyjny scenariusz. Podobne zdarzenie miało już miejsce i to całkiem niedaleko od punktu, w którym teraz jestem. W górach Sierra Nevada znajdowało się jezioro Owens, z którego cała woda zużyła, w początkach XX wieku, rozrastająca się aglomeracja Los Angeles. Wkrótce okazało się, że wywiewane z wyschniętego jeziora osady są największym źródłem zanieczyszczenia pyłem w całych Stanach Zjednoczonych! A jedynym sposobem na zatrzymanie tego procesu jest utrzymywanie odpowiedniej wilgotności obszaru dawniej zajmowanego przez jezioro Owens, co rokrocznie kosztuje miliony dolarów. Ile będą kosztować podobne działania podjęte w celu zabezpieczenia znacznie większej i potencjalnie bardziej szkodliwej powierzchni Salton Sea? Druga opcja dla zbiornika to pozostawienie status quo. Szacuje się, że w jeziorze znajduje się ponad 500 milionów ton soli. I ta liczba zwiększa się co rok. Już wkrótce w tak słonej wodzie będą mogły żyć jedynie nieliczne bakterie.

Od czasu do czasu pojawiają się też śmiałe, wręcz fantastyczne projekty ratunkowe. Jak zwykle wszystko rozbija się o pieniądze...

Wracam na pustynię, zostawiam za sobą piękny krajobraz, tym ładniejszy, im mniej widać jego szczegóły. Liczę na to, że – jak przystało na dobrą hollywoodzką produkcję – zdarzy się kolejny pustynny cud i historia znajdzie swój szczęśliwy finał. ○

SLAB CITY

Mieszka tu jeszcze garstka hippisów, wyrzutków i outsiderów. Wśród nich Leonard Knight, twórca instalacji Góra Zbawienia, mającej na celu głosić Słowo Boże.

PODRÓŻ TO SPOTKANIA Z ODMIENNOŚCIĄ...

INNE KRAJOBRAZY, ZWYCZAJE, LUDZIE – A WŚRÓD NICH, DLA PODRÓŻNYCH ŻADNYCH WIEDZY NA TEMAT ODWIEDZANYCH MIEJSC, ISTOTNE OSOBY: PRZEWODNICY. PRZEZ PRYZMAT ICH WIEDZY I WRAŻLIWOŚCI POZNAJEMY NOWE ŚWIATY, NA OGÓŁ NIE PAMIĘTAJĄC O TYM, ŻE DLA NICH I MY JESTEŚMY ŹRÓDŁEM INFORMACJI. WYDAŁO NAM SIĘ CIEKAWIE DOWIEDZIEĆ SIĘ OD PRZEWODNIKÓW Z RÓŻNYCH STRON ŚWIATA, JAKIE MIELI DOŚWIADCZENIA Z TURYSTAMI.

ALEM TESFAY PRZEWODNIK Z ETIOPII



Alem Tesfay z Etiopii. Trzydziestolatek, od piętnastu lat związany z rynkiem turystycznym. Studiował marketing i zarządzanie, ukończył też kursy turystyczne.

Pracuje jako przewodnik i operator wycieczek. Od pięciu lat zajmuje się tym w ramach własnej firmy Diversity Tours Ethiopia.

Skąd przede wszystkim przyjeżdżają turyści, z którymi pracujesz?

W latach 90. Etiopię najczęściej i najliczniej odwiedzali Europejczycy. Przyjeżdżało wiele grup z Europy Wschodniej, ale także z Włoch, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii. W ostatnich latach częściej widać turystów ze Stanów Zjednoczonych i z Japonii, przybywa też tych z centralnej i wschodniej Europy.

Kiedy pierwszy raz spotkałeś się z Polakami, czy coś ich, Twoim zdaniem wyróżniało?

Z czasów szkolnych wiedziałem, że Polska to kraj chrześcijański i ojczyzna papieża Jana Pawła II. Stąd wnioskowałem, że polscy turyści będą zainteresowani wyłącznie pielgrzymkami i zwiedzaniem kościołów. Kiedy jednak ich poznałem, przekonałem się, że to ludzie

gotowi na przygodę, zainteresowani kulturą i dziedzictwem historycznym Etiopii.

O co jesteś pytany najczęściej?

Czy po Etiopii można bezpiecznie podróżować – takie jest zwykle pierwsze pytanie. Wynika ono z błędnych wyobrażeń o naszym kraju i braku informacji. Po pierwszej wizycie, doświadczeniu miejscowej gościnności i pełnego bezpieczeństwa, wielu turystów często rozważa przedłużenie pobytu i – niemal zawsze – powrót do Etiopii.

Często też muszę wyjaśniać, że w Etiopii jest gdzie się zatrzymać. Mamy czterysta wysokostandardowych hoteli, są też wśród nich bardzo luksusowe, spełniające oczekiwania głów afrykańskich państw i członków międzynarodowych organizacji.

Jakie były najciekawsze, a jakie najgłupsze pytania?

Ludzie są różni i tak też się zachowują. Jestem po to, żeby pomagać turystom i odpowiadać na wszystkie ich pytania. Dla mnie najbardziej poruszające są te dotyczące Arki Przymierza – czy można ją zobaczyć lub dotknąć. Zdziwiają mnie ze względu na świętą naturę Arki, która przecież zawiera tablice z przykazaniami danymi Mojżeszowi przez Boga.

Co najbardziej cenisz w zachowaniu turystów?

Ciekawość i entuzjazm. Przyjeżdżają często z bardzo daleka, żeby zaspokoić tę ciekawość i poszerzyć swoją wiedzę o świecie. Moim zadaniem jest dołożenie starań, by im to ułatwić.

A czy coś cię bawi w zachowaniu turystów?

Trochę zabawnie wygląda, gdy próbują zasymilować się z lokalną społecznością. Starają się uczyć miejscowego języka, zakładają ubrania i ozdoby, przywdziewane podczas religijnych świąt. Śmieszy mnie, kiedy zjadają się indżer – naszą najbardziej powszechną potrawą, próbując robić to bez użycia sztuczków. Z uśmiechem traktuję rady tych, którzy usiłują uczyć miejscowych, jak chronić środowisko.

Co najbardziej zaskoczyło turystów z Europy?

Zaskoczeni są ogromną różnorodnością naszego kraju. Tu znajduje się najcieplejsze miejsce na ziemi – depresja Danakil o głębokości -125 m p.p.m.). Na drugim krańcu są góry Siemen, których szczyty sięgają 4620 m n.p.m. Są miejsca zachwycające dziką przyrodą, gdzie wciąż można spotkać wiele endemicznych gatunków. Natomiast dziełem cywilizacji są niektóre współczesne budowle imponujące śmiałością architektonicznych rozwiązań. Mieszkańcy Adis-Abeby żyją wśród wielkomiejskiego gwaru, natomiast dla plemion w dolinie rzeki Omo czas się zatrzymał dawno temu. Wielu turystów podkreśla też harmonię pomiędzy wieloma grupami etnicznymi i religijnymi.

Możesz nakreślić wizerunek idealnego turysty?

Powinien szanować innych ludzi, ich kulturę i tradycję. Do tego nie ulegać stereotypom i przekonaniom o wyższości swojej rasy. ○

Na nartach jeździ od 3 roku życia. Kiedy miał 17 lat odkrył narty do ski alpinizmu – narciarstwa wysokogórskiego, będącego połączeniem wspinaczki zimowej, wędrówki na nartach i zjazdu w stromym, górskim terenie. Często niebezpiecznym. Wtedy właśnie zaczął traktować narciarstwo jako sposób na życie. – *Na okładce miesięcznika „Góry” zobaczyłem Hansa Kammerlandera – niemieckiego himalaistę, który na nartach i w wiązanych sznurowadłami skorupach (to takie plastikowe buty do sportów zimowych) zjeżdżał z ośmiotysięcznika Nanga Parbat* – mówi Piotr Gąsiorowski.

Mniej więcej w tym samym czasie w polskich Tatrach spotkał Norwegów, amatorów narciarstwa telemarkowego, takiego, w którym wiązania nie usztywniają pięty i pozwalają na skręty, biegi i skoki. Patrząc na ich wyczyny, upewnił się, że na tych nartach można pokonać prawie każdy teren i wykonywać takie ewolucje, na jakie w tym czasie pozwalał tylko snowboard.

W zawodach freeride'owych, czyli zjazdach ekstremalnych, zaczął startować od 2001 roku. Rozpoczął wtedy rywalizację z innymi zawodnikami o wybór jak najciekawszej trasy i efektowne jej przejechanie, wykazując się skuteczną i elegancką techniką. Co oznacza, że skoki muszą być zakończone poprawnym lądowaniem, czyli ustaniem. Ważny jest też, styl, panowanie nad jazdą, jak również pomysłowość i zaangażowanie w wykonywaniu podczas zjazdu trików. Niestety, nigdy jeszcze podczas tych zawodów nie wskoczył na pudło. Liczy jednak, że dzięki wytrwałości w końcu się to uda.

O Piotru można usłyszeć, że wyróżnia się wśród innych.

– *Wyjątkowość tego, co robiłem i robię, polega na łączeniu różnych stylów. Do tej pory wszyscy narciarze byli mistrzami wąskich umiejętności. Jedni robili tricki w specjalnie przygotowanych do tego snowparkach. Inni szusowali poza trasami. Jeszcze inni kładli główny nacisk na wspinaczkę z nartami czy uprawiali ski-touring. Łączenie tych wszystkich trendów dopiero teraz zaczęło być popularne – po projekcjach ostatnich narciarskich filmów ze świata.*

Piotrek jest prekursorem mieszania stylów wśród polskich narciarzy freeride'owych. Największym jego sukcesem jest zajęcie siódmego miejsca w zawodach Red Bull Snowthrill w edycji Europy Środkowo-Wschodniej, w 2005 (wtedy jeszcze nikt z Polaków, poza Piotrkim i Pawłem Górniakiem nie startował w zawodach). Jako jedyny zawodnik wystartował na nartach do telemarku i do tego tylko on zrobił frontflip'a (salto w przód) ze śnieżnego nawisu. – *Tęgo triku akurat wtedy nie ustaleń (nie został zaliczony przez sędziów). Po zawodach podszedł do mnie z wyrazami uznania czeski sędzia. Pogratiulował mi także norweski zawodnik, który wyraził swoje uznanie – a był to narciarz, który ustanowił na tych zawodach chyba rekord w wysokości skoku i trudności lądowania („wałnął dropa”, czyli skoczył z czterdziestometrowego klifu). Takie gratulacje osób znających się na rzeczy znaczą dla mnie bardzo dużo... Podobnie, jak zaproszenie mnie do grona członków Alpinus Expedition Team.*

Drugi sukces to czwarte miejsce na zawodach freestyle'owych Quiksilver Tour Ride w 2005 r. Również wtedy, jako jedyny, startował na spręcie do telemarku: – *Tak bardziej dla hety, bo czułem, że to jeszcze nie mój czas i nie moja dyscyplina. Chcia-*

ŚNIEŻNY BOHATER CZERWCA

tem pokazać, że nie tylko na „normalnych” nartach do freeski można robić fajne rzeczy.

Poza tym na liście osiągnięć Piotra znajduje się cała masa zjazdów w Tatrach, oczywiście na sprzęcie do telemarku. Do bardziej spektakularnych

należą zjazdy bardzo stromym Żlebem Szczerby – jest to szeroka przełęcz w masywie Giewontu, o bardzo złej sławie, próby zejścia tędy nie-raz kończyły się tragicznie. Zjeżdżał też żlebem Zagon w Dolinie Małej Łąki, który w górnej części jest trawiasty, dołem rozszerza się i jest stromy i kamienisty i Hińczową Przełęczą, na którą nie prowadzą nawet żadne szlaki turystyczne.

Jeździł także we Włoszech i w Austrii. W Południowym Tyrolu (Maso Corto) zaliczył wszystkie żleby w rejonie Teuffelsegg (równie niebezpieczne, jak te tatrzańskie). Każdy żleb to strome zbocza i niezła ekspozycja. Jazda tutaj jest bardzo ryzykowna, trzeba lawirować między kamieniami, wyszukując płatów śniegu.

Jeździ na nartach nawet latem, żeby utrzymać formę. W maju był na Maso Corto, w czerwcu wybiera się

do Austrii na lodowiec Hintertux.

W najbliższej przyszłości Piotrek planuje więcej czasu spędzać na klasycznych nartach freeride'owych z wiązaniami alpejskimi: – *Jak sądzę powinno mi to dać większą skuteczność w „ustawianiu” tricków (na telemarku bywa z tym ciężko) i mniejszy stres związany z ew. kontuzjami... Oczywiście chcę nadal dużo jeździć i skakać na nartach, głównie w górach.* (A.T.)



Sięgać wyżej...

Co raz cieplejsze i dłuższe dni sprzyjają uprawianiu różnych aktywności outdoorowych. Dobra pogoda jest szczególnie ważna dla wspinaczy – tych skałkowych jak i wysokogórskich. Pamiętajmy, że nie tylko aura jest kluczowa w tej aktywności. Tu najważniejsze jest bezpieczeństwo a za nie oprócz nas odpowiada również odpowiedni sprzęt.

BOREAL NELION



Wszechstronny całoroczny but, idealny do trudnego trekkingu, na wielodniowe wyprawy oraz szybkie wejścia zimowe. Przystosowany do raków półautomatycznych, posiada usztywnioną podeszwę środkową dla zapewnienia stabilności oraz warstwę EVA absorbującą wstrząsy. Wykonany ze skóry split-hide o grubości 2,6 mm. System Boreal Dry-Line zapewnia wodoodporność i oddychalność. System HFS wewnątrz doskonale trzyma piętę zapobiegając jej podnoszeniu się w bucie.

Cena: 999 zł
www.e-boreal.com/pl

BLACK DIAMOND MOMENTUM DS

W pełni regulowana uprząż do wspinaczki oraz turystyki kwalifikowanej. Podwójna regulacja pasa uprząży umożliwia użytkowanie uprząży w skałach, ale też w górach gdy jest zimno i trzeba założyć pod spód kurtkę bądź polar. Posiada podwójny regulowany pas i 4 silikonowe szpejarki. Waga to 410 g.



Cena: 259 zł
www.ravenoutdoor.appspot.com/

BOREAL JOKER

Super wygodny but wspinaczkowy na długie, całodienne drogi, do treningu i boulderingu.

Wykonany z najwyższej jakości skóry oraz poliuretanowej siatki na języku poprawiającej wentylację i komfort wspinania. Wkładka EVA na pięcie chroni stopę przy zeskokach. Guma Boreal FS Quattro, pięta wykonana w systemie IRA, średnio sztywna pół-podeszwa.



Cena: 329 zł
www.e-boreal.com/pl



Cena: 269 zł
www.petzl.pl

PETZL GRIDRI 2

Przyrząd asekuracyjny ze wspomaganym hamowaniem. Przeznaczony do asekuracji dolnej, górnej i na wędkę. Odpowiedni dla wszystkich pojedynczych lin dynamicznych, o średnicy 8,9 do 11 mm. Lekki i zwarty, waży jedynie 185 g. Nowy design zapewnia doskonałą kontrolę zjazdu. Specjalnie zaprojektowana, przegubowa rączka gwarantuje lepsze wycucie podczas wydawania liny.



HIMOUNTAIN SPANTIK

Uniwersalne spodnie wspinaczkowe wykonane z funkcjonalnego elastycznego, oddychającego, trwałego i łatwego w utrzymaniu materiału Dynam. Posiadają 4 kieszenie zapinane na zamek, wyprofilowane kolana i pośladki oraz regulowany obwód w pasie i nogawkach. Nadają się równie dobrze do innych aktywności outdoorowych.

Cena: 299 zł
www.himountain.pl



Cena: 80 zł
www.ravenoutdoor.appspot.com/

BLACK DIAMOND GRIDLOCK

Bezpieczny karabinek do asekuracji. Kuty na gorąco GridLock zapobiega przekręcaniu się karabinka. Pierścień bezpieczeństwa na dole zapobiega takim ułożeniom, w których karabinek mógłby zostać poddany poprzecznym obciążeniom. Karabinek waży zaledwie 76 g. Produkt nagrodzony OutDoor INDUSTRY AWARD 2010.



Cena: 249,90 zł
www.salewa.pl

SALEWA HELIUM

Nowa generacja znanego od kilku sezonów kasku Helium jest niezwykle lekka, ale bardzo wytrzymała. Idealny wybór dla wspinaczy, na via ferraty czy do speleologii. Technologia In-MOULD wykorzystana w tym kasku sprawia, że kask waży jedynie 260 g. Z tyłu znajduje się pokrętło, dzięki któremu szybko i łatwo dopasujemy kask do wielkości głowy (od 52 do 61 cm). Kask posiada również niezbędne uchwyty do czółówki. W tym sezonie dostępny jest w czterech modnych kolorach: zielonym, różowym, niebieskim oraz białym.

VICTORINOX – SWISS ARMY MWCH

Nóż używany przez szwajcarską armię. Posiada 10 urządzeń m.in. duże blokowane ząbkowane ostrze otwierane kciukiem, otwieracz do puszek, śrubokręt 6mm, szpikulec, piłkę do drewna. Jest poręczny (dł. 111 mm, waga 130 g). Producent daje na produkt dożywotnią gwarancję.



Cena: 122,30 zł
www.victorinox.com.pl

ALPINUS MT. KATMAI (LADY)

Wygodna, lekka i wyjątkowo praktyczna całoroczna kurtka softshellowa. Specjalna konstrukcja rękawa i podkroju pachy sprawia, że ruch ręki w górę nie powoduje wznoszenia się kurtki. Równie istotny jest system wentylacji, zapewniający odprowadzanie wilgoci na zewnątrz. Przedłużany tył, trójwymiarowo regulowany pełny kaptur z daszkiem, profilowane rękawy, regulacja obwodu dołu i regulowane mankiety umożliwiają optymalne dopasowanie do ciała oraz swobodne poruszanie się. Posiada membranę Hydrotex Soft Shell połączoną z wygodnym i ciepłym materiałem typu fleece.



Cena: 499 zł
www.alpinus.pl

Cena: 136 zł
www.mactronic.com.pl



MACTRONIC HLS-K2 R

Model HLS-K2 R to następca lampy czołowej K2. W czołówce została zmieniona dioda na najnowszy emiter firmy Luxeon o mocy 165 lm. W czołówce tej został poprawnie zbalansowany czas pracy, moc światła i masa urządzenia, co istotnie wpływa na ergonomię i funkcjonalność. Czołówka posiada pojemnik na 3 baterie AA umieszczony z tyłu głowy. Widoczność od tyłu podczas użytkowania zapewnia czerwone światło na pojemniku z bateriami, który posiada 3 tryby pracy wyłączony, stały i pulsacyjny.



Cena: 39 zł
www.petzl.pl

PETZL ANGE S

Karabinek nowej generacji – pośredni między karabinkami z klasycznym ramieniem i karabinkami „drucianymi”. Ultralekki (28 g) i kompaktowy. Idealny do alpinizmu i na drogi wielowyciągowe, na których zmniejszenie ciężaru sprzętu jest bardzo ważne. Przekrój o kształcie H zapewnia idealny stosunek ciężar / wytrzymałość. Technologia MonoFil Keylock zapewnia płynne otwieranie i zamykanie karabinka oraz znacznie większą jego żywotność.

THE NORTH FACE PROPHET 40

Prophet Collection to najpopularniejsza linia plecaków wśród najlepszych wspinaczy na świecie. Idealnie sprawdzają się one w czasie wspinaczek na dużych wysokościach, szybkich i lekkich wejść oraz złożonych wielodniowych wypraw. Został wykonany z niezniszczalnej tkaniny Cordura®

Bombastic™ i paneli materiału SuperFabric™, które zabezpieczają przed uszkodzeniami powodowanymi przez czekany i raki. Dwuwarstwowe dno plecaka także zostało odpowiednio wzmocnione by zapobiec przetarciom. Prosta rama V-Radial zapewnia małą wagę i doskonałe wsparcie, a wykonane metodą wtryskową panel na plecach i pas biodrowy z pianki E-VAP™ odpowiedni komfort w czasie długich podejść. Duża, wzmocniona i łatwo dostępna kieszeń pozwoli zabezpieczyć raki, a nowa klapa wyposażona w kieszenie na mniejszy sprzęt i możliwość szerszego otwarcia, ułatwia przytroczenie lin.



Cena: 499 zł
www.thenorthface.com

JESTEM KRÓLESTWEM SMOKA

Moich tajemnic strzegą niedostępne góry i niewielu śmiazków miało szansę je poznać. Chcesz być jednym z nich? Odważ się!
Aby Cię zachęcić, zdradzę Ci moje drugie imię – jestem Bhutan.

Akademia Nikona zaprasza w październiku na fotoekspedycję do Bhutanu. Odwiedzimy wspaniałe buddyjskie klasztory i świątynie, weźmiemy udział w rytuale puja, zobaczymy najpiękniejsze plenery Bhutanu. Naszym przewodnikiem będzie ceniony fotograf i podróżnik Paweł Chara. Odkryj tajemnice Królestwa Smoka. Zapraszamy.

Szczegóły na www.akademianikona.pl



AKADEMIA NIKONA







Pierwszy pokos

Z początkiem czerwca, gdy zaczynały kwitnąć trawy, nadchodził czas sianokosów. Gospodarze najpierw musieli wykłepać kosy. W całej wsi słychać było rytmiczne stukanie młotków i ostrzenie kosisk na kamieniach. Na sianokosy chłopci przywdziewali białe koszule – najlepiej chroniły przed słońcem. Zanim chwycili za kosy, przeżegnali się i patrzyli na gospodarza. On pierwszy zaczynał koszenie, za nim równo szli pozostali. Gdy trawa przeschła i aromat wysuszonych traw i ziół, dawał znać, że siano jest gotowe, na łąki przychodziły kobiety i dzieci. Grabiły siano ustawiając kopki, żeby jeszcze doschło, zanim zostanie zwiezione do stodół i brogów. Pierwszy pokos daje najwartościowsze siano. Jeśli pogoda sprzyjała, jeszcze dwa razy do września kosiarze mogli skosić łąkę.



NORWEGIA



KUBA



MALAWI

Poznaj Świat

Redaktor naczelny:
Janusz Czerwiński

Zespół i współpracownicy:
Wojciech Albiński, Ryszard Badowski,
Józef Baran, Paweł Chara,
Marek Kamiński, Grzegorz Kapla,
Dorota Kobierowska (honorowy sekretarz redakcji)
Robert Mazurek, Beata Pawlikowska,
Katarzyna Rojek, Dariusz Rosiak,
Marek Szpendowski

Adres redakcji:
Kowale, ul. Glazurowa 7, 80-180 Gdańsk
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980, 535 444 990
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo:
PROBIER
spółka z ograniczoną odpowiedzialnością sp.k.
Kowale, ul. Glazurowa 7, 80-180 Gdańsk
KONTO DLA PRENUMERATORÓW:
02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
tel. 58 350 84 64

Dyrektor wydawniczy:
Dariusz Małkowski
e-mail: dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl

Koordinator do spraw wydawniczych:
Beata Pernak

Nieoceniona pomoc techniczna:
Robert Krygier

Produkcja i Prepress:
Artur Bury, Julia Michalczevska

Druk:
RR DONNELLY Europe Sp. z o.o.

Dystrybucja:
TM Media Mirosław Tariski

Reklama:
Grzegorz Miedziński
grzegorz.miedzinski@poznaj-swiat.pl
tel. 501 641 706

Aleksandra Harasimiuk
ola.harasimiuk@poznaj-swiat.pl
tel. 664 115 333

Olga Kołakowska
olga.kolakowska@poznaj-swiat.pl
tel. 501 050 624

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów
i opracowania redakcyjnego tekstów.



Hannah
OUTDOOR EQUIPMENT

seria: Comfort

ilość miejsc: 2

waga: 3 300 g

wymiar po spakowaniu: 15 x 45 cm

wodoodporność: tropik 3000 mm / podłoga 7000 mm

CREEK 2: stabilny namiot z materiałów o wysokiej jakości.
Szeroki zakres użytkowania w każdych warunkach pogodowych.
Wystarczająco przestronny dla dwóch osób.
Dwa drążki, jedno wejście, jedna absyda.

www.sklep.hannah.pl
www.hannah.pl

Daj się odnaleźć

Jesteś przewodnikiem po kraju, który znasz jak własną kieszeń, pełnym energii i pasji pilotem wycieczek, doświadczonym instruktorem, ratownikiem czy po prostu kochasz podróże ?

Daj się odnaleźć na portalu stworzonym przez użytkowników!

Dołącz do nas na **www.eprzewodnicy.pl**

